

DOROTHY Uhnak

POLICJANTKA

Tę książkę dedykuję Tony'emu - z powodów, które oboje znamy, a wśród których na pierwszym miejscu znajdują się wzajemna miłość i zrozumienie. I jeszcze dlatego, że żyje moim życiem równie intensywnie jak ja i wie, ilu rzeczy musiałam się nauczyć

Wstęp

Jestem detektywem w nowojorskiej jednostce policji odpowiedzialnej za ochronę komunikacji miejskiej. Najczęstszą reakcją na takie stwierdzenie bywa pełen zdumienia okrzyk: „Ależ pani nie wygląda na policjantkę!”. Przez dziesięć lat pracy w policji zawsze straszliwie mnie irytowało, że okrzyk ten miał być czymś w rodzaju komplementu, i to zarówno ze strony oskarżonych, jak i znajomych nie znajdujących się w tarapatach. Najwyraźniej, zgodnie z pokutującym u nas stereotypem, policjantka powinna być rośła, ciężka, nieczuła, rzucająca się w oczy, powinna mieć twarz naznaczoną doświadczeniem, które powinno także wyciekać z jej oczu czy brzmieć w jej głosie.

Poza tym dziwiono się również, że wybrałam tę pracę, ponieważ kształciłam się w innych kierunkach - w dziedzinie pedagogiki, pracy społecznej, by pomagać na różne sposoby ludziom. Przyjaciele, którzy podjęli pracę w tych dziedzinach, odnosili się do mojego zawodu z uprzejmą lekką pogardą, a znajomi, dowiadując się o moim zajęciu, uważali za swój obowiązek wygłaszać tyrady, narzekając na niesłusznie wymierzone mandaty lub bezpodstawną demonstrację władzy ze strony jakiegoś pewnego siebie policjanta. W tych opowieściach zawsze cierpiał niewinny,

7

który był niewłaściwie potraktowany przez tego, kto powinien służyć obywatelom.

Zacząłam pracować w zawodzie jako dwudziestojednoletnia dziewczyna, niezwykle oddana pracy, co wydawało się trudne do zrozumienia dla innych. Dla mnie wybór mego zajęcia był sprawą oczywistą - zawsze

interesowały mnie stosunki międzyludzkie, ludzie, a nie produkty. W policji miałam do czynienia z surowcem, jaki stanowiło życie, tak bardzo różne od życia, z jakim stykałabym się w innej pracy.

Moja edukacja w dziedzinie życia zaczęła się naprawdę nie w salach wykładowych City College, lecz pierwszego dnia pracy w charakterze czynnej funkcjonariuszki policji. Sądziłam, raczej niepewnie, że zostanę pracownikiem opieki społecznej, toteż właśnie z tą myślą studiowałam socjologię, psychologię, kryminologię i pedagogikę. Jednakże od wczesnego dzieciństwa w głębi duszy marzyłam, żeby pracować w policji, a moimi bohaterami byli prawdziwi detektywi z dzielnicowego komisariatu. Wydawało mi się, że posiadli wszystkie tajemnice, ponieważ bez przerwy przychodzili i wychodzili w niejasnych misjach do nie ujawnionych miejsc z nieznanymi przyczyn. Dla mnie znajdowali się w samym centrum wszystkich podniecających i ważnych wydarzeń.

Obserwowałam ich, zazdroszcząc im sekretnej wiedzy o świecie.

Gdy zauważyłam nieduże ogłoszenie zamieszczone przez jedną ze szkół przygotowawczych administracji państwowej w sprawie zbliżających się egzaminów na policjantki, poczułam, że moja przyszłość może wiązać się właśnie z pracą w policji, a nie w opiece społecznej. Mimo to, zamiast chodzić na zajęcia w celu przyswojenia ogromnej ilości nieistotnego materiału, co jest charakterystyczne dla wszystkich egzaminów administracji państwowej, po-

który był niewłaściwie potraktowany przez tego, kto powinien służyć obywatelom.

Zaczęłam pracować w zawodzie jako dwudziestojednoletnia dziewczyna, niezwykle oddana pracy, co wydawało się trudne do zrozumienia dla

innych. Dla mnie wybór mego zajęcia był sprawą oczywistą - zawsze interesowały mnie stosunki międzyludzkie, ludzie, a nie produkty. W policji miałam do czynienia z surowcem, jaki stanowiło życie, tak bardzo różne od życia, z jakim stykałabym się w innej pracy.

Moja edukacja w dziedzinie życia zaczęła się naprawdę nie w salach wykładowych City College, lecz pierwszego dnia pracy w charakterze czynnej funkcjonariuszki policji. Sądziłam, raczej niepewnie, że zostanę pracownikiem opieki społecznej, toteż właśnie z tą myślą studiowałam socjologię, psychologię, kryminologię i pedagogikę. Jednakże od wczesnego dzieciństwa w głębi duszy marzyłam, żeby pracować w policji, a moimi bohaterami byli prawdziwi detektywi z dzielnicowego komisariatu. Wydawało mi się, że posiadli wszystkie tajemnice, ponieważ bez przerwy przychodzili i wychodzili w niejasnych misjach do nie ujawnionych miejsc z nieznanymi przyczynami. Dla mnie znajdowali się w samym centrum wszystkich podniecających i ważnych wydarzeń. Obserwowałam ich, zazdroszcząc im sekretnej wiedzy o świecie. Gdy zauważyłam nieduże ogłoszenie zamieszczone przez jedną ze szkół przygotowawczych administracji państwowej w sprawie zbliżających się egzaminów na policjantki, poczułam, że moja przyszłość może wiązać się właśnie z pracą w policji, a nie w opiece społecznej. Mimo to, zamiast chodzić na zajęcia w celu przyswojenia ogromnej ilości nieistotnego materiału, co jest charakterystyczne dla wszystkich egzaminów administracji państwowej, po-

8

zwoliłam, by moja nauka przebiegała dość typowo. Przystąpiłam do egzaminu pisemnego z dziecięcym zaufaniem - to dla mnie drobiazg,

poradzę sobie bez trudu. Ta wiara we własne siły trwała około trzech minut - tyle, ile zajęło mi przejście stu pytań arkusza egzaminacyjnego. Szukałam pytań, na które bez wątplenia znam odpowiedzi, żeby móc zastanowić się spokojnie nad resztą. Miałam po trzy odpowiedzi do wyboru, moje szanse wynosiły więc jeden do trzech. Nie wiedziałam kompletnie nic o administracji naszego miasta ani o jego statucie, kto jest za co odpowiedzialny, które ministerstwo czym się zajmuje w krytycznej sytuacji. Nagle zrozumiałam powagę sytuacji, a jedyną pociechę stanowiła niepewność innych osób zdających ze mną egzamin w dużej klasie liceum w centrum Manhattanu. Pod koniec egzaminu zaplątałam się kompletnie w skomplikowanych problemach dotyczących robotników drogowych pracujących przez wiele godzin, problemów, które prawdopodobnie można rozwiązać bez wysiłku, jeśli zna się trochę algebrę. (Przestałam być już taka zadowolona z siebie, że byłam chyba jedyną studentką City College, immatrykulowaną bez zaliczenia matematyki).

Porównując moje odpowiedzi z wstępnymi odpowiedziami opublikowanymi w „New York World-Telegram” w dwa dni później, obliczyłam, że osiągnęłam wynik sześćdziesięciu trzech punktów, tymczasem do zdania egzaminu wymagane było siedemdziesiąt. Jednakże odhaczając odpowiedzi w gazecie, doznałam dziwnego przypływu entuzjazmu i raczej irracjonalnego uczucia wyzwania - to jest praca, której pragnę, muszę ją mieć. Fakt, że nie wypełniłam poprawnie testu, nie miał najmniejszego znaczenia. Czytając po kilka razy niektóre pytania oraz moje odpowiedzi, zaczęłam wysuwać argumenty

9

kontra rozwiązaniom podanym w gazecie. W końcu wystukałam na

maszynie dwanaście stron protestu do komisji administracji państwowej - i zapewne po raz pierwszy komisja musiała żałować, że pozwoliła kandydatom zabrać do domu duplikaty arkuszy testowych.

Pisemny egzamin odbył się w kwietniu. W sierpniu otrzymałam suche zawiadomienie od wzmiankowanej komisji, że mam się stawić na badania lekarskie oraz egzamin ze sprawności fizycznej na początku września. Zawsze w skrytości ducha cieszyła mnie myśl, że członkowie komisji trzymali dwanaście napisanych przeze mnie na maszynie stron w swoich dłoniach, pieszcząc je czule niczym niewinne nadzieje. Cokolwiek się do tego przyczyniło (być może jakieś pytania, na które odpowiedziałam nieprawidłowo, zostały oprotestowane przez innych kandydatów) przeszłam pierwszą fazę egzaminu pomyślnie. Nie byłam specjalnie zdziwiona. Miałam głębokie przekonanie, że jakimś cudem musi mi się udać.

Znowu ukazało się nieduże ogłoszenie: Chętne do zawodu policjantki są proszone o przygotowanie się do egzaminu ze sprawności fizycznej. Tym razem poważnie zastanawiałam się, czy nie skorzystać z ich sali gimnastycznej. Ale w owym czasie byłam kierownikiem dwudziestodwuosobowej grupy dziewięcioletnich chłopców w domu opieki społecznej w dolnym East Side. Urządzaliśmy wyścigi, pływaliśmy w basenach miejskich, wędrowaliśmy pieszo po ulicach przez całe lato, byłam więc w dobrej kondycji fizycznej. Podnoszenie ciężarów było jednym z wymogów, ćwiczyłam więc, podnosząc małych chłopców, zaczynając od najlżejszych, kończąc na małych twardzielach, którzy zapierali się stopami o chodnik, zmuszając mnie do napinania mięśni. Upalnego, wilgotnego wrześniowego dnia stawiałam się na dużym

otwartym placu zabaw w parku Van Cortlandt

10

w Bronksie - tam właśnie miał się odbyć egzamin. Nad nami przebiegała nadziemna linia metra, pracujący zaś nieopodal robotnicy o rumianych twarzach zagrzewali nas do walki. Alejka pełna była starszych mężczyzn na emeryturze, młodych kobiet z dziecinnymi wózkami, młodzieńców o rozbawionych minach (najwyraźniej przyszłych klientów, ponieważ były to godziny zajęć szkolnych), poza tym zza drzewa podglądał nas mój mąż, dopingujący mnie potajemnie, Bóg wie, z jakiego powodu, poza jednym - że było to dla mnie naprawdę ważne.

Bieganie poszło mi dobrze, skoki również. Z mojego punktu widzenia był to wspaniały sport i tak łatwy, że miałam niejasne poczucie winy. Z pozycji leżącej na plecach musiałam zerwać się na nogi na dźwięk gwizdka, przebiec zygzakiem dookoła i przez beczkę, pokonać wzniesienie, przeskoczyć sięgając do ramienia przeszkodę, zawrócić i dobiec do mety. Robiłam to przez całe lato, ganiając za szybkonogimi małymi chłopcami, i zyskałam biegłość w robieniu uników i skrętów. Gdy przeskoczyłam przez przeszkodę, oślepiło mnie ostre światło. Fotograf z „New York Times” czekał na kogoś, kto wykona niekonwencjonalny skok. Mojego nauczył mnie dziewięć-ciolatek - był dość dziwny, ale skuteczniejszy niż to, czego uczono w większości szkół przygotowawczych.

Podnoszenie ciężarów było znacznie gorszą sprawą. Stałam, przyglądając się innym dziewczynom, żeby podpatrzeć, jak mam podnosić sztangę ponad głowę. Nie trwało to szczególnie długo, gdy bowiem zobaczyłam dziewczynę mniej więcej mojego wzrostu, która podeszła do najcięższej

sztangi - około dwudziestu kilogramów - i podniosła ją bez najmniejszego wysiłku, zgłosiłam się na ochotnika jako następna. Wybrałam największy ciężar i podniosłam go na wysokość ramion. Zadanie polegało na

11

tym, żeby podnieść go ponad głowę na wyprostowanych rękach. Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam unieść sztangę, ale ręce mi się ugięły.

Rozległ się zbiorowy jęk - współczucia, a jednocześnie ulgi, że przydarzyło się to mnie, a nie im. Egzaminator był bardzo miłym człowiekiem (jestem pewna, że bratem mężczyzny, który uwzględnił mój niezbyt logicznie napisany protest), ponieważ wezwał mnie do swego stanowiska i spytał cierpliwie, gdzie uczyłam się podnoszenia ciężarów.

Odpowiedziałam mu, że właśnie jestem w trakcie nauki, on zaś udzielił mi kilku wskazówek, kazał stanąć na końcu i przyglądać się, jak to robią inne dziewczyny. Gdy znów przyszła moja kolej, kazał mi podnieść najlżejszą sztangę. Z wielkim wysiłkiem udało mi się wyprostować ręce. Poradziłam sobie również z nieco większym obciążeniem i na tym się skończyło.

Ostatnia była „mordercza konkurencja”. Ćwiczyłam siad z pozycji leżącej, aż mój z natury płaski brzuch zrobił się twardy jak żelazo. Teraz kazali mi się położyć i podnosić ciężar umieszczony na szyi i ramionach.

Dziewczęta przytrzymały moje stopy, zrobiło się okropne zamieszanie. Mój stalowy brzuch stał się nagle miękki jak galareta - nie chciał się zgiąć, podciągnąć mnie do pozycji siedzącej. Ze śmiertelną determinacją (ponieważ czułam, że jest to samobójstwo dla moich wszystkich najważniejszych organów) i okropnym sapnięciem zmusiłam cały mój organizm do najwyższego wysiłku - usiadłam z najmniejszym dopuszczalnym ciężarem, praktycznie przy-spawanym do moich ramion.

Egzaminator spytał, czy chciałabym spróbować z nieco większym obciążeniem. Powiedziałam, że nie, raczej nie.

Mój wynik był wystarczający, ale niezbyt spektakularny. Tamtego dnia startowały trzy niesamowite dziewczyny,

12

długonogie i chude, które osiągnęły najlepsze wyniki we wszystkich konkurencjach.

Nazajutrz rano nie poszłam do pracy w domu opieki społecznej. Nie mogłam zwlec się z łóżka, ruszyć ręką. Moje ciało było jednym wielkim bólem, od ramion do czubków palców u rąk i nóg. Mój mąż Tony wyszedł do pracy, po czym wrócił po dwóch minutach z „New York Timesem”.

Było tam moje zdjęcie - w szortach z frędzelkami, z otwartymi ustami i wysuniętym językiem - skaczącej przez przeszkodę. Wyglądałam jak uciekający złodziej. Otaczały je fotografie nonszalanckich triumfatorek.

Jednakże w sumie nie wypadłam najgorzej. A może po prostu inne dziewczęta były gorsze albo nie miały odwagi napisać protestu. Z tysiąca dwustu czterdziestu dziewcząt, które przystąpiły do egzaminu, na końcowej liście znalazło się sto czterdzieści osiem. Ja byłam sześćdziesiąta trzecia. Rzecz jasna, cieszyłam się, że się na niej znalazłam, ale dręczyło mnie uczucie, zresztą typowe dla mnie, że powinnam znajdować się na pierwszej pozycji. Być może, gdybym uczyniła nieco większy wysiłek...

Policja miasta Nowy Jork (NYCPD - New York City Police Department) nie spieszy się z powoływaniem kandydatek na policjantki. W grudniu 1953 roku otrzymałam druk wezwania, bym się stawiła na rozmowę, jeśli chcę być uwzględniona jako kandydatka do pracy w jednostce policji

odpowiedzialnej za ochronę komunikacji miejskiej (NYCTPD - New York City Transit Police Department). Nigdy o takiej jednostce nie słyszałam. Zorientowałam się szybko, że wynagrodzenie i godziny pracy, jak również sama praca, nie różnią się w zasadzie od NYCPD i jeśli przyjmę propozycję, moje nazwisko pozostanie na liście policjantek NYCPD i gdy nadejdzie moja kolej, będę przez nich powołana.

13

Nie poszłam na rozmowę z radosnym uniesieniem, ponieważ wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że całe moje przyszłe życie będzie związane z policją. Gdy w rok później zostałam powołana przez NYCPD, rzuciłam pracę, ponieważ miałam autentyczne uczucie, że „znalazłam własny dom”. Przez dziesięć lat pracy w NYCTPD (której zadaniem jest ochrona całego systemu komunikacji miasta Nowy Jork) jednostka ta rozrosła się z małej organizacji policyjnej nadzorowanej przez wyższych funkcjonariuszy przydzielonych z NYCPD w całkowicie niezależną, nowoczesną, kompetentną organizację liczącą około tysiąca członków. Jest piątą co wielkości jednostką policji w stanie Nowy Jork. Mamy własnego szefa policji, wszyscy nasi wyżsi oficerowie skończyli FBI National Academy w Waszyngtonie. Przyznaję, że jestem szowinistką, jeśli idzie o NYCTPD, ponieważ pracuję w niej od wielu lat i jej rozwój napawa mnie dumą.

Teraz czytelnik ma prawo spytać mnie, czemu opowiadam w książce o wydarzeniach związanych z pracą w NYCPD, a nie w NYCTPD. Być może ważnym powodem jest, że nadal pracuję jako detektyw w jednostce policji zajmującej się ochroną systemu komunikacji miejskiej i obowiązuje mnie pewna dyskrecja. Drugi i najważniejszy powód to fakt, że

funkcjonariusze policji, niezależnie od terenu działania, mają wspólne doświadczenia, wspólną wiedzę, identyczne na całym świecie, albowiem policjant zamieszkuje cały świat i może poruszać się swobodnie we wszystkich dziedzinach policyjnej jurysdykcji z absolutnym zrozumieniem. Każdy policjant, gdziekolwiek mieszka i pracuje, potrafi zrozumieć problemy drugiego policjanta. Wiedza, którą zdobyłam, pracując w NYCTPD, nie różni się niczym od doświadczeń członków NYCPD. Czułam, jako pisarka, że będę miała

14

i

większą swobodę badania tego świata, jeśli przeniosę się z mojej jednostki na trochę szerszy teren „ulicy”.

Obecnie jestem przydzielona do służb specjalnych NYCTPD i współpracuję ściśle z członkami najwyższej kadry. Tylko od czasu do czasu pracuję w terenie i nie są to szczególnie niebezpieczne zadania. Są natomiast ogromnie ciekawe i wysoce poufne, dlatego też nie znalazły się w tej książce.

Zanim rozpocznę moją opowieść i zakończę ten oficjalny wstęp, chciałabym odpowiedzieć na kilka pytań, które potrafię przewidzieć na podstawie mojego doświadczenia.

Jedno z pytań, które często mi zadawano, brzmi: „Jak mąż odnosi się do pani pracy?”. Pracowałam z mężczyznami, którzy zdawali się mierzyć swoją męskość niebezpieczeństwami, na jakie byli narażeni, swoją twardością i nieczułością, jak również podporządkowaniem się ich żon. Owi mężczyźni oznajmiali bez ogródek: „Nigdy nie pozwoliłbym mojej żonie zostać policjantką!”. Mój mąż pracuje jako projektant instalacji

elektrycznych. Nigdy nie uważał, że którekolwiek z moich dokonań w pracy policyjnej ani też następująca potem reklama - artykuły w gazetach czy wywiady telewizyjne albo nagrody zawodowe - ujmują mu cokolwiek jako mężczyźnie. Raczej był ze mnie dumny i wzbogacało to nasz związek małżeński. Jego pełne, niezachwiane, szczere zaufanie, że poradzę sobie ze wszystkim, co się zdarzy, stanowiło źródło mojej siły w stawianiu czoła wszelkim trudnościom. W ciągu trzynastu lat naszego małżeństwa Tony powtarzał mi wielokrotnie, że dzięki pracy w policji osiągnęłam dojrzałość w obcowaniu z ludźmi, której wcześniej nie miałam, o czym wiedzieliśmy oboje. Stałam się mniej skłonna do pochopnych ocen, bardziej tolerancyjna i wyrozumiała. Nie wiem, czy osiągnęłabym

15

ją również, gdybym nie pracowała w policji, wiem natomiast, że jest to naprawdę istotna, bardzo ważna sprawa.

Z pewnością padnie wiele pytań ze strony tych, którzy mnie znają i którzy pracowali ze mną, i - mam nadzieję - ze strony moich czytelników, którzy poznają mnie za pośrednictwem tej książki. Czy opisani ludzie są autentyczni? Czy opisane zdarzenia naprawdę miały miejsce? Czy brałam w nich osobiście udział?

Odpowiedź na te pytania (i nie silę się tu bez potrzeby na dwuznaczność) musi brzmieć: „i tak, i nie”. Czy przedstawieni ludzie są autentyczni? Tak, oczywiście. Nie ma jednak w tej książce, łącznie z autorką, postaci sportretowanej ze stuprocentową wiernością. Każda z postaci ma swój pierwowzór w życiu, są to ludzie, których znałam albo obserwowałam, albo których spotkałam przelotnie, ale wywarli na mnie niezatarte wrażenie z takich czy innych powodów. Każda z nich posłużyła pisarce

jako środek do opisanie pewnej historii.

Czy to wszystko naprawdę się zdarzyło? Wszystko na ziemi zdarzyło się naprawdę. Wszystkie wspaniałe, wszystkie straszliwe, wszystkie przyziemne sprawy zdarzyły się i jeszcze się zdarzą, ponieważ ludzie się nie zmieniają i robią różne rzeczy albo dają się wciągnąć w to, co robią inni. W takim sensie moje opowieści są prawdziwe, ale wymodelowała je wyobraźnia pisarki w połączeniu z doświadczeniem policjantki. Czuję, że moim obowiązkiem jako pisarki jest dokonywanie wyboru, jak również zmienianie faktów i manewrowanie nimi w taki sposób, by tworzyły uporządkowaną całość, dramatyczne konstruowanie i kształtowanie opowieści, żeby była interesująca i logiczna, a jednocześnie ujawniała to, co pisarz uważa za prawdę.

Czy brałam osobiście udział w opisanych wydarzeniach? Prawie w każdym wypadku, do pewnego stopnia.

16

Teraz, zanim część moich kolegów wzniesie oczy do nieba, policjantka musi wyjaśnić - pisarka nie. W jakimś stopniu w nich uczestniczyłam, tak jak każdy inny funkcjonariusz policji, egzekwujący przestrzeganie prawa. Wszyscy mają podobne doświadczenia, rozumieją zdarzenia, w których aktywnie nie uczestniczyli. Wydarzenia opisane w tej książce zdarzyły się mnie osobiście, jak również innym policjantom. Policjanci są najwspanialszymi gawędziarzami na świecie, a moja praca w policji była wspaniałą okazją dla pisarki, by siedzieć i słuchać, jak snują swe opowieści. To pisarka je utrwaliła. To policjantka je zrozumiała. Być może właśnie wtedy i właśnie po to powstała ta książka. Zeby pokazać wam, spoza policyjnego świata, jak on wygląda.

Jak naprawdę wygląda.

Dorothy Uhnak Detektyw NYCTPD

1

Dziwny świat, straszny świat, znajomy świat

Tamtego ranka byliśmy podekscytowani. Może sprawiło to natarczywie ciepłe kwietniowe powietrze, może monotony głos wykładowcy, a może po prostu świadomość, że to ostatni dzień zajęć. Mimo że większość ludzi na ogół odczuwa naturalną więź z miesiącem swych urodzin, lubi go, ja zawsze byłam w kwietniu niespokojna, ponieważ jest jednym z miesięcy rozpoczynających kolejną porę roku, a ja nie znoszę początku ani też końca czegokolwiek. W maju zdecydowanie panuje już wiosna, wahania mijają, kończą się ciągle przeskoki od szarości do blasku słonecznego, od ciepła do przejmującego chłodu, i ogarnia nas nieustający letni upał.

Wrzesień to jeszcze jeden trudny dla mnie miesiąc - nie potrafię otrząsnąć z siebie resztek lata, zima skrada się podstępnie i niepostrzeżenie. Zawsze podczas tych granicznych miesięcy ogarnia mnie dziwny niepokój, czujne, pełne podniecenia, nerwowe oczekiwanie, by dotrzeć do sedna rzeczy - wtopić się w upał i nauczyć

19

się z nim żyć; wtopić się w chłód i straszliwie narzekać, ale być w nim.

Być może to właśnie była jedna z przyczyn podniecenia. Klasa przyszłych policjantów kręciła się i wierciła. Młodzi mężczyźni w nieco wygniecionych szarych mundurach z diagonalu znajdowali się w różnych stadiach ruchu albo też zastygli w apatycznym bezruchu. Moja biała bluzka była sztywna od krochmalu, gruba granatowa spódnica od munduru lepiała się do ciała, a czarny krawat ze swym niewygodnym węzłem

przypominał pętlę.

Skupiłam uwagę na mężczyźnie siedzącym po mojej lewej stronie - a właściwie raczej na jego prawej ręce, która wybijała denerwujący rytm: raz-dwa-trzy, raz-dwa, raz-dwa. Tańcowi palca towarzyszył cichy akompaniament lekko zdyszanego gwizdu. Z tyłu, dwa miejsca dalej, czarno obuta stopa kołysała się rytmicznie w takt jakiejś wewnętrznej muzyki. Inny mężczyzna, dwa rzędy przede mną, siedział rozparty, z wyciągniętymi do przodu nogami, co można było wywnioskować z pozycji jego kędzierzawej głowy, spoczywającej na oparciu krzesła. Jego sąsiad z lewej strony, drobny, nerwowy typ, pochylił się do przodu, by uniknąć zetknięcia z muskularnym ramieniem. Dziewczyna po mojej prawej ręce rysowała w kółko w notatniku kwiaty - o długich, delikatnych płatkach w kształcie strzał, wycelowanych w stronę okrągłego, czarnego, kolczastego słońca. Otaczające mnie twarze przypominały twarze ludzi pogrążonych w transie - jak gdyby każdy na sali, oprócz mnie, został zahipnotyzowany przez niezwykłą dawkę ciepła i monotonne gładzenie porucznika, który mówił o czymś. O czym? Starłam się skupić, wyodrębnić poszczególne słowa z leniwego strumienia pozbawionych znaczenia dźwięków. Mówił głośno, płynnie, ale nie miał w sobie za grosz życia. Coś na

20

temat prawa do rewizji i aresztowania. Rewizja i aresztowanie.

Rozluźniłam się, powstrzymując się od mrugania, zaniechałam prób koncentracji, pogrążając się w śpiączce, która nakryła nas wszystkich niczym odwrócona do góry dnem filiżanka. Nikt nie uczynił najmniejszego wysiłku, by uwolnić się od irytujących, brzękliwych

dźwięków, od stukotu i skrzypienia niewygodnych krzeseł pod ciężarem znudzonych do granic wytrzymałości ciał czy od buczonego, mentorskiego tonu porucznika. Wszystkie te odgłosy stanowiły przytłumione tło dla moich myśli.

Było dość dziwne, że długie tygodnie wykładów i prezentacji nie pozbawiły mnie zapału, nie stępiły radosnego podniecenia, które przenikało mnie nagle w najmniej oczekiwanych chwilach, wywołane jakimś słowem, powiedzeniem. Nigdy nie zwierzałam się z moich odczuć komukolwiek w Akademii Policyjnej, nawet trzem innym dziewczynom, które uczęszczały do niej wraz z setką młodych mężczyzn. Jednakże po powrocie do domu, opowiadając wieczorami Tony'emu o całym dniu, odkrywałam prawdziwe znaczenie paragrafów kodeksu karnego oraz kodeksu postępowania karnego, których musieliśmy nauczyć się na pamięć i z których byliśmy co tydzień przepytывani. Owe słowa, sformułowane w niezrozumiałym żargonie prawniczym, odnosiły się do ludzi, do czynów popełnionych przez ludzi, wśród których musiałam się obracać.

A Tony, znając mój szczery zapał do wszystkiego, co robiłam, dawał mi się wygadać, pozwalał, żeby narosło wokół nas napięcie. Wówczas przerywałam, zdając sobie wreszcie sprawę, że zaschło mi w gardle i że mówię już od kilku godzin, on zaś słucha spokojnie, z uwagą.

Wybuchaliśmy oboje śmiechem.

- O, Boże - mówiłam w końcu - wiesz co? Dzisiejsze zajęcia były piekielnie nudne!

21

Ale to też nie było całkiem zgodne z prawdą. Chociaż w powietrzu

dominował monotony głos nieudolnego wykładowcy, w otaczającą nas atmosferę wdzierał się powiew rzeczywistości. Gdy przechodziliśmy przez pachnącą stęchlizną salę, w której mieściło się coś w rodzaju policyjnego muzeum, oglądając w kilkusobowych grupach eksponaty w postaci broni, narkotyków, fragmentów dowodów rzeczowych, które pomogły rozwikłać na pozór nierozwiązywalne sprawy morderstw i innych przestępstw, odczuwaliśmy lekkie podniecenie. Przynajmniej ja na widok każdej pożółkłej kartki w szklanej gablocie, opowiadającej w lakoniczny i niewyszukany sposób, krok po kroku, o metodzie śledztwa, zaczynałam myśleć o ludziach zamieszanych w sprawę - tych, którzy dokonali owych straszliwych i niepojętych czynów, jak również tych, którzy doprowadzili do wykrycia sprawców. Byłam zafascynowana samą bronią. Oto pistolet, z którego zastrzelono cztery osoby. Wyrwał go z rąk jakiegoś szaleńca funkcjonariusz policji, skoncentrowany w tamtej chwili na tym jednym pistolecie w tej jednej dłoni. Świat ograniczył się dla niego wyłącznie do tego przedmiotu. Chłodna, pozbawiona emocji relacja wydarzeń nie oddawała dramatyzmu sytuacji. Nawet same zaprezentowane przedmioty wydawały się trochę bezbarwne, nierzeczywiste.

Pokazywano nam wyblakłe czarno-białe filmy dokumentalne, które miały działać stymulująco na nasze postanowienie, by wykonywać zadania skutecznie i z honorem. Młodzi, starannie dobrani policjanci o miłej powierzchowności demonstrowali nam, w jaki sposób należy rewidować zatrzymanego, jak go ustawić, by stopy znajdowały się w odpowiedniej odległości od ściany, a ręce były oparte o nią, tak byśmy zapewniali sobie bezpieczeństwo. Gdyby wykonał jakiś ruch, należało podciąć mu

nogi od przodu, żeby upadł na twarz. Następnie ćwiczyliśmy - a raczej my, kobiety, przyglądałyśmy się, jak ćwiczą mężczyźni - powalanie na ziemię. Powiedziano nam, że kobietom rzadko zleca się przeszukiwanie mężczyzn i że nauczymy się od innych policjantek, jak postępować w przypadku rewizji zatrzymanych kobiet.

Następnie pojawiał się starszy policjant, detektyw, i wzywał rekrutów, by go zrewidowali, ostrzegając ich z góry, że jest uzbrojony po zęby. Jasnooki rekrut ustawiał go zgodnie ze wskazówkami, przesuwając dłońmi wzdłuż ramion i rąk, następnie wzdłuż korpusu i nóg, po czym rzucał znaleziony pistolet lub dwa, czasami nóż, na stół. Zadowolony z siebie cofał się, po czym „umierał”, gdy detektyw od niechcienia rozbierał go z automatu, dwóch noży sprężynowych, Smith and Wessona kaliber 32, mosiężnych kastetów i pałki. Ta demonstracja miała częściowo na celu przestraszenie nas, głównie jednak ostrzeżenie oraz instruktaż. Zawsze wywierała na nas silne wrażenie, a delikwent, oczywiście, pamiętał ją do końca życia.

Przechodziliśmy również trening doskonalący naszą sprawność fizyczną, ale i z niego kobiety były zwolnione. Zapraszano nas jako widzów na zajęcia dzudo, byśmy przyglądały się podstawowym ciosom karate, ale instruktor, muskularny mężczyzna o płaskiej twarzy, spiczastych uszach i szarych oczach jak paciorki, nie dopuszczał nas do ćwiczeń i kwitował szyderycznym uśmiechem nasze prośby, by wypróbował na nas jakiś rzut czy cios. Spędzałyśmy ten czas ze starszymi policjantkami, słuchając z ciekawością ich relacji o różnych wydarzeniach. Opowiadały tak niedbale o wszystkim - o zatrzymaniach i osadzeniu w areszcie. Zastanawiałyśmy się, czy te relacje są zgodne ze stanem faktycznym, czy też po prostu bawi je wrażenie, jakie na nas wywierają.

Wszyscy ćwiczyliśmy strzelanie. Mężczyźni mieli standardowe służbowe rewolwery, a przyszłe policjantki - Smith and Wessony kaliber 32. Matka zapłaciła za moją broń. To chyba dość dziwny prezent od matki dla dwudziestoletniej córki - pierwszy rewolwer. Było to jednak spełnienie obietnicy, o której dawno zapomniałam, a którą matka złożyła, gdy miałam około dziesięciu lat.

- Gdy zostaniesz policjantką, kupię ci broń.

Obie byłyśmy poruszone, gdy dowiedziałyśmy się, że rewolwer kosztuje pięćdziesiąt cztery dolary - i to po cenie specjalnej. Wydatki na moje umundurowanie były kolejnym wstrząsem. Trzeba było przeznaczyć blisko dwieście pięćdziesiąt dolarów na zakup wymaganej spódnicy, zakietu, płaszcza (tak ciężkiego, że z trudem udawało mi się trzymać ramiona wyprostowane), kapelusza (który nie trzymał się na głowie), przewieszanej przez ramię płaskiej torebki (w której mieścił się rewolwer oraz notes, ale raczej brakowało już miejsca na szminkę, grzebień, a nawet chusteczkę do nosa). Na nogach nosiłyśmy czarne czółenka na średnim obcasie.

- Upewnij się, że są wygodne, bo będziesz w nich dużo stała.

Przepisy wymagały, by nosić białe bluzki, co oznaczało, że były jednakowo niewygodne, a czarny krawat i spinka sprawiały nam mnóstwo kłopotu. Ojcowie, mężowie lub bracia stali cierpliwie każdego ranka przed lustrem, próbując nauczyć nas, jak zawiązać ten absurdalny, idiotyczny węzeł.

Rzecz jasna, widziałam już przedtem broń palną - w kaburach policjantów, w dłoniach szybkich kowbojów i filmowych desperatów. Ale całkiem inną

sprawą jest posiadanie własnego rewolweru, trzymanie go w dłoni, ładowanie nabojami i ponoszenie zań odpowiedzialności. Strzel-
24

nica mieściła się w samym środku Central Parku, w budynku należącym do terenu parkowego. Tutaj nie było dyskryminacji - zarówno mężczyźni, jak kobiety mieli broń i musieli nauczyć się nią posługiwać. Pokazywano nam rysunki, demonstrujące położenie celownika, gdy trzymamy broń wyciągniętą na długość ręki i oddajemy strzał do celu. Muszka, wymierzona w środek tarczy, powinna znajdować się dokładnie pośrodku szczerbinki celownika, w linii poziomej z jej krawędziami. Gdy wystrzeliłam po raz pierwszy z rewolweru, byłam w pewnym stopniu przygotowana na huk. Był ogłuszający, odbił się echem w długiej sali strzelnicy, towarzyszył mu błysk ognia. Nie spodziewałam się jednak tak silnego odrzutu. Moja wyciągnięta ręka drżała. Rewolwer wydawał mi się coraz cięższy, usiłowałam trzymać go tak, jak to pokazywał rysunek. Instruktor, stojący za moim prawym ramieniem, kazał mi oprzeć rękę na znajdującej się przede mną podpórce. Gdy zaczęłam się ku niemu odwracać, chwycił mnie mocno za rękę. Nigdy nie powinno się odwracać, mając broń w ręku, należy trzymać ją lufą do dołu. Instruktorzy strzelania to najodważniejsi ludzie, jakich znam.

Myślałam, że strzelanie nie będzie stanowiło dla mnie problemu; uważałam to za coś naturalnego. Nie ma jednak nic naturalnego w posługiwaniu się bronią, toteż wpatrywałam się z niedowierzaniem w tarczę, gdy pistolet miotał się w mojej dłoni. Wystrzeliłam dziesięć nabołów, a w tarczy były dwa otwory - tylko dwa otwory, reszta kul poszła panu Bogu w okno. Instruktor wyjaśnił mi z ogromną cierpliwością, że nie

wolno szarpać gwałtownie za spust.

- Naciskasz go, naciskasz, naciskasz - mówił śpiewnie - dopóki nie stanie się nieuchronnym, automatycznym,

25

naturalnym zakończeniem i przedłużeniem twojej ręki, dłoni, palców.

Magiczne słowo „naciskać”. Ćwiczyłam godzinami w domu, trzymając w wyciągniętej ręce butelkę po mleku, by nauczyć się stabilizować położenie ramienia, opanować drżenie ręki. Trenowałam „strzelanie na sucho”, mierząc z nie załadowanego rewolweru - naboje leżały na komódce - do jakiegoś wyimaginowanego celu, w sam środek tarczy. „Odwiedź palcem spust i naciskaj, naciskaj...”. Podczas pracy w policji dowiedzieliśmy się, że co pewien czas organizowane są ćwiczebne sesje i jeśli komuś nie udaje się osiągnąć zadowalającego rezultatu w strzelaniu z przydzielonych naboju, musi dokupić je z własnej kieszeni. Najwyraźniej zanosilo się, że będzie to kosztowna zabawa.

W programie nauki znajdowało się zwiedzanie rozmaitych sądów - była to imponująca sieć budynków: sąd karny orzekający na kwartalnych sesjach, sesje nadzwyczajne, przestępstwa ciężkie, sąd pokoju, sąd kobiecy, sąd dla nieletnich. Tutaj kierowałeś skargę sądową po umieszczeniu zatrzymanego w ośrodku poprawczym. W przypadku przestępstwa ciężkiego prowadziłeś zatrzymanego do podziemi komendy głównej policji w celu zrobienia mu serii zdjęć. Dostarczałeś również wydruk z kartoteki policyjnej, zawierający wykaz skazań delikwenta, uzyskany z biura identyfikacji przestępców. Biuro otrzymywało ów wydruk na podstawie akt zatrzymanego wypełnianych w dzielnicy (gdy zdejmowano odciski jego palców). Następnie kierowałeś go do właściwego sądu i prowadziłeś swoją

sprawę aż do jej zakończenia. Satysfakcjonującym zakończeniem było, oczywiście, skazanie. Gdy uświadamialiśmy sobie nagle całą odpowiedzialność, jaka będzie na nas spoczywała, wszyscy milkliśmy, cichły dowcipne uwagi.

26

O, Boże, nieszczęsny porucznik nadal głądził, nieświadom, a może przyzwyczajony do faktu, że dawno już stracił słuchaczy. To obrzęd inicjacji, pomyślałam, znieawidzone początki, przez które trzeba przejść. Gdy się to wreszcie skończy, będę mogła wyrzucić te godziny z pamięci, ponieważ ani jedno słowo, wypowiedziane w tej ciemnawej, szarej sali, nie ma związku ze światem znajdującym się poza nią, do którego mieliśmy wkrótce wkroczyć. Nawiedziło mnie znów to uporczywe, powracające uczucie, przeniknęło mnie niczym zimny dreszcz - jestem naprawdę tutaj, naprawdę wdałam się w to wszystko. Obrzuciłam spojrzeniem otaczających mnie ludzi, całkowicie teraz przytomna i świadoma, gdzie jestem, czułam się jednak jak dwunastolatka, która zakradła się tu w przebraniu i której uszło to na sucho.

W sali panowała w tej chwili cisza, co wypełniło atmosferę jakąś nieoczekiwaną lekkością. Najwyraźniej wykład się skończył, porucznik zbierał bowiem swoje ołówki, kartki papieru. Zebrani na sali poruszali się leniwie, bez celu, przeciągając się i rzucając złośliwe uwagi na temat zdolności porucznika do mordowania nas wszystkich za pomocą słów. O co go oskarżyć? Uduszenie słowne?

Mary Leary, dziewczyna po mojej prawej ręce, spytała, czy mój mąż będzie jutro obecny na uroczystości i o której mamy się tutaj zjawić. Gwar rozmów i hałas przesuwanych krzeseł stawał się coraz większy,

westchnienia oraz jęki ulgi mieszały się z pytaniami i odpowiedziami, z pozdrowieniami wykrzykiwanymi przez całą długość sali. Niektórzy mężczyźni przepychali się między rzędami krzeseł w kierunku przejścia, spychając je na bok.

Donośny głos przeciął nagle powietrze jak sztylet.

- Baczość!

27

Wszyscy zastygliśmy na miejscach, nie patrząc na siebie, lecz wlepiając wzrok w katedrę, na której pojawiła się wyprostowana postać kapitana w granatowym mundurze. Nie widzieliśmy go nigdy przedtem. Nie wydal komendy po raz drugi, lecz stał, nieporuszony, na samym środku, mierząc nas lodowatym wzrokiem, aż wreszcie zapadła absolutna cisza, a wszyscy obecni rekruci, z lekkim zakłopotaniem, ściągnęli stopy, wyprężyli się służbiście i przycisnęli ręce do boków. Kapitan nawet nie drgnął, dopóki sala powoli nie przybrała z powrotem uporządkowanego wyglądu.

Mężczyźni w szarych mundurach stali w równych rzędach, jeden za drugim, przed metalowymi krzesłami. Cztery kobiety były zgromadzone razem po prawej stronie sali. Kapitan omiółł wszystkich spojrzeniem, zatrzymując je na jednym sektorze, który powoli zastygł w bezruchu, w idealnej postawie. Przez minutę nie było słycać nawet niczyjego oddechu. Potem kapitan powiedział:

- Teraz przemówi do was zastępca inspektora, George J. Harrington.

Zrobił szybki zwrot w prawo w swoich lśniących czarnych butach i energicznie zsalutował wysokiemu, siwowłosemu mężczyźnie, który zbliżył się do niego i od-salutował. Zastępca inspektora zlustrował nas od stóp do głów i na pewien ukryty sygnał, który w jakiś sposób dotarł do

wszystkich na sali, oddaliśmy mu honory. On zasalutował również i kazał nam usiąść.

Był wysokim mężczyzną o ostrych rysach twarzy i bardzo niskim głose, którego ani trochę nie podnosił. Mimo to słyhać go było nawet w ostatnim rzędzie i nie ulegało wątpliwości, że zamierza przykuć uwagę każdej osoby obecnej na sali.

28

- Jutro otrzymacie wszyscy świadectwo ukończenia Akademii Policyjnej i zostaniecie praktykantami w policji miasta Nowy Jork.

W jego głosie nie wyczuwało się pochwały, raczej coś w rodzaju pogardy. Jeśli spodziewaliśmy się zwykłych gratulacji i powitania, po pierwszych słowach zrozumieliśmy, że nic z tego.

- Nie znam żadnego z was. Nie chodzi mi o nazwisko, wygląd czy opinię. Nie znam waszych zdolności ani możliwości. Nie mam pojęcia, czy choćby jedna z osób znajdujących się na tej sali zostanie dobrym policjantem albo czy choćby jedna będzie złym. Wiem natomiast, że przeszliście najlepsze przeszkolenie akademickie, jakie może zapewnić policja. Oceny z egzaminów, które uzyskaliście w ciągu ostatnich trzech miesięcy, nie są miarą tego, jak wiele lub jak mało z niego skorzystaliście. Nie gratulujcie sobie, jeśli poszło wam dobrze - to wcale nie świadczy o tym, jakim gliną będziecie.

Rekrut w trzecim rzędzie zaczerwienił się z wściekłości. Skończył Akademię z celującymi ocenami i miał otrzymać nazajutrz nagrodę.

- Nie znam powodów, które was tu przywiodły, czemu wybraliście akurat zawód policjanta. Nie mam pojęcia, czy są słuszne, czy nie, albo czego oczekujecie od pracy, do czego się dla was sprowadza.

Ton i zachowanie inspektora wyraźnie mówiły, że wszyscy jesteśmy podejrzani - doskonale orientuje się w naszej motywacji i zdolnościach. Wszystko wiedział najlepiej.

- Znam jednak policjantów i świat policjantów. Obracam się w nim od dwudziestu trzech lat. Niewiele uda wam się skorzystać z mojego doświadczenia - musicie przeżyć to sami. Ale na początek powiem wam, co to

29

znaczy być funkcjonariuszem policji. Przemyślcie wszystko dobrze i nie mówcie potem, że was nie ostrzegąłem.

Po sali przebiegi cichy szmer. Zastępca inspektora umilkł - i natychmiast kaszel został stłumiony, kichnięcie powstrzymane, ustała wymiana spojrzeń.

- To jest wasze miasto - wrócił do tematu Harrington - i większość z was mieszka tu od urodzenia. Nie znacie go jednak, podobnie jak nie znacie jego mieszkańców. Nie obchodzi mnie wasze pochodzenie ani w jakich dzielnicach się wychowywaliście. Nie znacie swego miasta, ponieważ go nie widzieliście, a teraz będziecie patrzeć na nie oczami policjanta i radzę wam pozbyć się wszelkich złudzeń. Pełno w nim brudu, korupcji, zepsucia moralnego, cierpienia, tragedii, a wy staniecie się częścią tego wszystkiego.

Mówił równie cicho jak przedtem - chyba to słowa sprawiały, że jego głos wydawał się donośniejszy i wyraźniejszy. Słowa były ostre i skądś mi znajome. Już je kiedyś słyszałam.

- Mam na myśli nie historyjki, zamieszczane w gazetach, nie zdjęcia żon i dzieci zamordowanych, nie artykuły egzaltowanych bab na temat

narkomanów nękanym głodem narkotykowym. Bez względu na to, jak barwne są te opisy, dotyczą zaledwie powierzchni problemu, wy zaś, jako policjanci, musicie sięgnąć samych głębi. Będziecie dotykali ciała żywych i krwi umierających, będziecie musieli sobie z tym radzić.

Jego słowa nie brzmiały teatralnie. Mówił na to zbyt spokojnie, zbyt rzeczowo.

- Zmieni się całe wasze życie, a wasi najbliżsi ucierpią na tym przede wszystkim. Będziecie mieli do czynienia z najpodlejszymi, najnikczemniejszymi i najbardziej zdeprawowanymi jednostkami ludzkimi i jeśli myślicie, że

30

uda wam się zachować przy tym dziewiczą niewinność, oddajcie od razu swoje odznaki policyjne. Albowiem to was dotknie, udzieli się wam, i to, co teraz was przeraża, stanie się w krótkim czasie chlebem powszednim.

Nauczycie się nie wzruszać łzami drugiej osoby; nauczycie się, że nie jesteście stróżem własnego brata, że problemy drugiego człowieka nie są waszymi problemami. Im szybciej się tego nauczycie, tym lepiej.

Zastępca inspektora mierzył nas groźnym spojrzeniem, zaciskając szczęki. Przypominał kaznodzieję głoszącego nową i niemal bluźnierczą doktrynę i wyzywającego śmiałków, żeby mu się sprzeciwili, zaprzeczyli słuszności jego słów. Siedzieliśmy, wpatrując się w niego, połączeni z nim silną nicią fascynacji.

- Gdy zaczniecie pracować w terenie - mówił dalej spokojnym, rzeczowym tonem - zdarzy wam się oceniać starszego, bardziej doświadczonego policjanta. Przyjrzyjcie mu się i stwierdzicie, że nie porusza go to, co dzieje się wokół niego; że potrafi oglądać okaleczone,

pozbawione głowy ciało z czymś w rodzaju ciekawości, a następnie, w godzinę później jeść kanapkę z jajkiem, pić kawę, śmiać się i żartować. Pomyślcie wówczas, że jest potworem. Radzę wam jednak być z nim w komitywie, jeść swoją kanapkę, pić kawę, śmiać się i żartować. Im szybciej to zrobicie, tym lepiej. Nauczcie się wytwarzać wokół siebie twardego pancerz. Nie było o tym mowy podczas zajęć w Akademii, prawda? Cóż, musicie wypracować tę umiejętność sami. Otoczcie się ohydłą, cuchnącą skorupą, twardym pancerzem, odpornym na wszelkie uczucia. Pierwsze zauważą to żona i dzieci. Mógłbym powiedzieć, żebyście zostawiali go w pracy, w komisariacie, ale z góry wiem, że wam się nie uda, ponieważ nie będziecie pracować z papierkami, liczbami, słowami, lecz z żywymi

31

ludźmi. Będziecie oglądać ich w najgorszych, najokropniejszych sytuacjach. Jeśli się rozluźnicie i pozwolicie, by w otaczającym was murze powstała kiedykolwiek choćby jedna maleńka rysa, przepadliście z kretesem. Żona będzie się zamartwiać i znienawidzi waszą pracę. Nie ma na świecie żony policjanta, która lubiłaby pracę męża i to, jak na niego wpływa. Wasze dzieci odkryją, że posiadanie ojca gliniarza w niczym nie przypomina telewizyjnych lub kinowych historyjek. Będziecie bardziej skłonni do naska-kiwania na nie, bardziej podejrzliwi wobec nich, ponieważ napatrzycie się na to, co wyprawiają inne dzieciaki. Przekonacie się, do czego zdolny jest człowiek. Ostrzegam was - człowiek jest zdolny do absolutnie każdej zbrodni.

Kierował swoje słowa do mężczyzn, mimo że widział nas, kobiety, siedzące w pierwszym rzędzie. Obrzucił nas jednym surowym,

pogardliwym spojrzeniem, po czym przestałyśmy dla niego istnieć. Jeśli miał poważne wątpliwości i podejrzenia co do mężczyzn, jego stosunek do kobiet był całkowicie jasny.

Nie miał monotonnego głosu, ale to raczej słowa, nie sposób mówienia, oddawały jego płomienne ożywienie. Sprawiał wrażenie, jak gdyby usiłował stłumić jakieś intensywne, gwałtowne uczucie, które musi trzymać na wodzy, musi się pilnować, by nie zdradzić go w chwili nieuwagi.

- Każdy człowiek zdolny jest do popełnienia wszelkich ohydnych, niewyobrażalnych zbrodni. Każdy dopuścił się czegoś w przeszłości i dopuści się w przyszłości. Pomyślcie o tym przez chwilę. - I rzeczywiście umilkł, a my rzeczywiście zastanawialiśmy się przez chwilę nad jego słowami, tak potrafił zawładnąć wolą wszystkich obecnych na sali.

- Teraz - powiedział, przerywając tok naszych myśli, który sam zapoczątkował - odkryjecie, że jedynym bra-

32

tem, jakiego macie na tej ziemi, jest brat policjant; to jedyny człowiek, z którym możecie rozmawiać i który was zrozumie. Nie wasz rodzony brat, z którym się wychowywaliście i żyliście pod jednym dachem. Jeśli nie jest również gliniarzem, będziecie mówili o tych samych sprawach zupełnie różnymi językami. Będziecie mieli więcej wspólnego z posterunkowym w małej mieścinie, zamieszkaną przez czterysta osób, niż z własnym bratem, ponieważ ów policjant żyje w tym samym świecie co detektyw wysokiej rangi w którymkolwiek z wielkich miast na kuli ziemskiej; patrzy na ludzi tymi samymi oczami, oczami gliniarza. Wiele osób zdaje sobie sprawę z hermetyczności środowiska policjantów i różnie

ją interpretuje, najczęściej w pejoratywnym sensie. Odkryjecie jednak, gdy zostaniecie już funkcjonariuszami policji, że jest to nie tylko naturalna kolej rzeczy, lecz sprawa zasadnicza, albowiem jedynie policjant, pracujący policjant, potrafi zrozumieć język, świat i życie drugiego policjanta. Dla wszystkich innych osób są one obce i niepojęte, nie da się ich w żaden sposób im przybliżyć.

Zastępca inspektora nie czytał z kartki. Jego słowa płynęły z głębi duszy, wynikały z przemożnej potrzeby, by przekazać nam pewne rzeczy, ostrzec nas. To, że jego sposób mówienia i ton trudno było nazwać sympatycznymi, nie miało znaczenia. Nawiązał z nami pełny kontakt. Ani na chwilę nie zmienił tonu, no, może nieco go złagodził. Siedzieliśmy pochyleni do przodu, wsłuchani w jego słowa.

- Stopniowo zaczniecie myśleć kategoriami dwóch światów - ich (ogółu społeczeństwa) oraz naszego - i przyjmiecie do wiadomości przykry fakt, że przeciętny, przestrzegający prawa obywatel patrzy na nas z pewnym niesmakiem. Uważa, że ma konstytucyjne prawo do

33

słownego obrażania nas. Ale wam nie wolno odwzajemniać tej wrogości. Wystawiamy was, w waszych granatowych mundurach, jako cel dla każdego pomyleńca, wariata. Jesteście rozpoznawani jako pracownicy służby państwowej, a społeczeństwo oczekuje usług od tych, którzy są na jego utrzymaniu. Zaakceptujcie to jako część ceny, którą musicie zapłacić za pracę, którą wykonujecie. Zaakceptujcie to, jak również fakt, że podczas wykonywania tej pracy jesteście sami i jedynym facetem, który nadstawi za was karku, jest drugi gliniarz. Nie oczekujcie niczego od nikogo - nie doczekacie się. Nie będę wam mówił, na czym polega wasza

praca; przeszliście najlepsze w świecie trzymiesięczne przeszkolenie. Powiem wam jednak, czego nie wolno wam robić - oceniać kolegi policjanta ani ludzi, których aresztujecie. Waszą główną troską na tym etapie powinno być przystosowanie się do świata, w który wkraczacie. Jest to określony, odrębny, dziwny, straszny świat, znajomy świat, odarty z wszelkiego prawdopodobieństwa. Powoli nauczycie się koncentrować na sprawach, których wcześniej nie dostrzegaliście. W latach, które nadejdą, będziecie wracać pamięcią do czasów, gdy nie byliście jeszcze funkcjonariuszami policji, i dziwić się, jak mogliście istnieć w tym samym mieście i nie widzieć wszystkich tych rzeczy, które nauczyliście się dostrzegać.

Zastępca inspektora ignorował moją obecność, ale mówił bezpośrednio do mnie; jego opinie były dobrane i artykułowane dla mnie, kierowane do mnie, akceptowane i rozumiane przeze mnie. Wreszcie, po tylu tygodniach, dniach i godzinach poruszania spraw marginalnych, ktoś stanął przed nami i przemówił szczerze, prawdziwie. Zastępca inspektora zgarbił się nad pulpitem. Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiało zmęczenie. Odchrząknął, zaczął mówić głośno, po czym dokończył znacznie ciszej:

34

- Jutro odbędzie się uroczystość wręczenia świadectw, przyjadą komisarz policji oraz burmistrz, będą wam gratulować i wręczać rozmaite nagrody, wasze rodziny będą patrzeć z dumą, jak stoicie w granatowych mundurach z błyszczącymi odznakami, a wy będziecie robić sobie nawzajem zdjęcia. A potem, od pierwszego dnia służby, zaczniecie się uczyć, co to znaczy być policjantem. Nie sądźcie, że w tej chwili wiecie cokolwiek na ten

temat. Czytaliście lektury obowiązkowe, uczyliście się na pamięć przepisów prawa, procedur, kodeksów, norm, oglądaliście dowody rzeczowe, filmy i pokazy, słuchaliście wykładów. Odkryjecie, że w praktyce są interpretowane bardzo różnie. Nie mam pojęcia, ilu z was obecnych tu dzisiaj zostanie przy tej pracy, ilu uzyska wyższe stopnie, przejdzie próby, awansuje, ale wyjaśnijmy sobie jedną sprawę, niezależnie od tego, jakie są wasze cele - to nie jest praca, lecz sposób życia i jeśli się nań decydujecie, będziecie musieli żyć tak przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki będziecie funkcjonariuszami policji!

Na tym zastępca inspektora George J. Harrington zakończył swoją przemowę. Przesunął chłodnym spojrzeniem po sali, zatrzymując je na chwilę z oczywistą pogardą na kobietach - musiał utkwić wzrok prosto w nieszczęsnej Mary Leary, ponieważ wyraźnie przebiegł ją dreszcz - po czym zszedł z katedry i wymaszerował z sali.

Siedzieliśmy trochę oszołomieni, w kompletnym milczeniu, bez ruchu, i nawet gdy kapitan donośnym głosem pozwolił nam się rozejść, większość z nas nadal nie ruszyła się z miejsc, myśląc nad słowami, które opłotły nas niczym cienka pajęczyna.

- Jezu Chryste - rozległ się czyjś głos ze środka sali - cóż to za przemiły facet!

Te słowa powitał wybuch pełnego ulgi śmiechu, ponieważ teraz łatwiej było nam poradzić sobie z tym, co

35

usłyszeliśmy, popatrzeć na to z właściwej perspektywy, żartować.

Przerzucaliśmy się żarcikami, ale pod złośliwymi, ostrymi, błyskotliwymi uwagami kryła się niepewność. Inspektor postawił kropkę nad i,

powiedział nam, jak jest naprawdę, i nie można tego zmienić, śmiejąc się, przeklinając czy żartując. Sprawiał wrażenie człowieka, który wie i który, z sobie tylko znanych przyczyn, próbował nas uprzedzić.

Zacznijcie to poznawać; zacznijcie tym żyć

Mogę z czystym sumieniem powiedzieć to o policji - nie obijają się. Gdy skończysz szkolenie, przydzielają cię od razu do służby, tam, gdzie jesteś potrzebny, a jeśli nie czujesz się odpowiednio przygotowany do zadania, które ci zlecają, przygotowujesz się do niego bezpośrednio w pracy.

W Akademii przyjęty był za rzecz oczywistą ośmiogodzinny dzień pracy (od ósmej rano do czwartej po południu) od poniedziałku do piątku. W pierwszym dniu pracy zlecono mi służbę w charakterze strażniczki w kobiecym areszcie, dyżur od północy. Trzeba było przyjechać do pracy o dwudziestej trzeciej trzydzieści i zluzować pół godziny wcześniej policjantkę, która pełniła dyżur od szesnastej do północy. Była to tradycyjna grzeczność, na której korzystałam nazajutrz o wpół do ósmej rano, gdy kolejna koleżanka zaczynała służbę. Nikogo poza tobą nie obchodzi, jakie zmiany musisz poczynić we własnym życiu, by dostosować je do wymogów pracy w policji. Jeśli okazuje się, że trudno ci położyć się spać, gdy wracasz do domu o ósmej trzydzieści rano, to przykre, ale co z tego? Jeśli jakimś cudem uda ci się zasnąć

37

i budzisz się około trzeciej, czwartej po południu, zaczynasz się zastanawiać, na jaki posiłek pora, po czym decydujesz się na filiżankę herbaty, by dotrzeć do kolacji. Ja jadałam kolację z Tonym, gdy wracał do domu o szóstej. Brałam prysznic o ósmej i szykowałam się do mojego wieczoru, gdy on odpoczywał. Kładł się spać o wpół do jedenastej, gdy

wychodziłam do pracy, chowając kanapkę do torebki i myśląc, co się zawsze dzieje ze śniadaniem.

Wyjaśniono nam grafik dyżurów, potem jeszcze raz, ale wciąż nie mogliśmy się w nim połapać. Nie sposób było obliczyć, ile dni naprawdę się pracuje, skoro dzień zaczynał się o północy (czy to nie było „jutro“?), a kończył w porze, gdy większość ludzi dopiero szła do pracy. Wiedziałam tylko, że mam wolne soboty i niedziele. Wcześniej czy później, zapoznając się lepiej z grafikiem, przekonam się, że mam wolne weekendy, może nawet w okolicach Bożego Narodzenia, co jest bardzo miłą perspektywą. Komisariat Harlemu, do którego zostałam przydzielona, przypominał tylko jednym 46. Komisariat z mojego dzieciństwa, a mianowicie po obu stronach wejścia znajdowały się dwie zielone latarnie. Poza tym pasował idealnie do sąsiednich budynków - był wiekowy, szary, zmurszały, nadający się do remontu, brzydki, przygnębiający i niewygodny.

Mój pokój, ponura klitka na pierwszym piętrze, na które trzeba było się wdrapać po żelaznych schodach osłoniętych siatką, był wyposażony w zniszczoną kozetkę - podobną do tych, które wykorzystują psychiatrzy podczas seansów psychoanalitycznych z pacjentami - ciężkie krzesło z zaokrąglonym oparciem z obłazącą żółtą farbą, dwa zwykłe drewniane krzeselka, jedno przepisowe szare biurko z blatem z czarnego plastiku i małą elektryczną płytkę, na której stał czajnik do gotowania wody.

Policjantka, którą zluzowałam, miała podkrążone oczy i od-

38

i budzisz się około trzeciej, czwartej po południu, zaczynasz się zastanawiać, na jaki posiłek pora, po czym decydujesz się na filiżankę herbaty, by dotrzeć do kolacji. Ja jadałam kolację z Tonym, gdy wracał do

domu o szóstej. Brałam prysznic o ósmej i szykowałam się do mojego wieczoru, gdy on odpoczywał. Kładł się spać o wpół do jedenastej, gdy wychodziłam do pracy, chowając kanapkę do torebki i myśląc, co się zawsze dzieje ze śniadaniem.

Wyjaśniono nam grafik dyżurów, potem jeszcze raz, ale wciąż nie mogliśmy się w nim połapać. Nie sposób było obliczyć, ile dni naprawdę się pracuje, skoro dzień zaczynał się o północy (czy to nie było „jutro“?), a kończył w porze, gdy większość ludzi dopiero szła do pracy. Wiedziałam tylko, że mam wolne soboty i niedziele. Wcześniej czy później, zapoznając się lepiej z grafikiem, przekonam się, że mam wolne weekendy, może nawet w okolicach Bożego Narodzenia, co jest bardzo miłą perspektywą. Komisariat Harlemu, do którego zostałam przydzielona, przypominał tylko jednym 46. Komisariat z mojego dzieciństwa, a mianowicie po obu stronach wejścia znajdowały się dwie zielone latarnie. Poza tym pasował idealnie do sąsiednich budynków - był wiekowy, szary, zmurszały, nadający się do remontu, brzydki, przygnębiający i niewygodny. Mój pokój, ponura kłitka na pierwszym piętrze, na które trzeba było się wdrapać po żelaznych schodach osłoniętych siatką, był wyposażony w zniszczoną kozetkę - podobną do tych, które wykorzystują psychiatrzy podczas seansów psychoanalitycznych z pacjentami - ciężkie krzesło z zaokrąglonym oparciem z obłazącą żółtą farbą, dwa zwykłe drewniane krzeselka, jedno przepisowe szare biurko z blatem z czarnego plastiku i małą elektryczną płytkę, na której stał czajnik do gotowania wody. Policjantka, którą zluzowałam, miała podkrążone oczy i od-

się, a następnie poinformowała mnie, że „goście” śpią. W areszcie znajdowały się trzy kobiety, zatrzymane na noc. Nie powinnam spodziewać się kłopotów z ich strony: dwie pijane, jedna prostytutka - nic szczególnego. Moja poprzedniczka wskazała na kozetkę, otworzyła dolną szufladę biurka, wyjęła z niej jakieś postrzępione książki w miękkich okładkach i powiedziała, żebym się nie przejmowała.

Siedząc sama w pokoju, w kompletnej ciszy, nie miałam pojęcia, czym się zająć. Zapisałam wcześniej w moim dzienniku: dyżur w takim a takim miejscu, takim a takim czasie i tak dalej. A teraz byłam tutaj, na służbie. Przejrzałam książki. Wszystkie zawierały historie o prywatnych detektywach i pięknych, niezwykle zgrabnych blondynkach lub rudowłosych, przejawiających skłonności przestępcze. Postanowiłam rzucić okiem na moje podopieczne, obawiałam się jednak, że mogę je obudzić. Wreszcie, stąpając na palcach i czując się jak intruz, otworzyłam zewnętrzne drzwi i zerknęłam na śpiące w areszcie trzy postacie, po czym zamknęłam drzwi. Zagotowałam wodę w czajniku i znalazłszy jedynie kawę rozpuszczalną, zanotowałam sobie w pamięci, by przynieść herbatę ekspresową. Wyjrzałam przez okno osłonięte metalową siatką, ale przed oczami miałam tylko ceglany mur. Wysłałam na korytarz. Był pusty i cichy. W powietrzu unosił się znajomy zapach, właściwy wszystkim budynkom publicznym - zapach ludzi, butów, starych papierosów, zwietrzałych cygar, ubrań i czasu. Szłam cicho, mając niejasne poczucie winy z powodu tego najścia, w kierunku pokoju detektywów. Paliło się tam światło, mała jarzeniowa lampka rzucała niebieskawy blask na blat pustego biurka. Na wieszaku wisiała czapka, z przyległego pomieszczenia padała smuga nikłego światła. Gdy weszłam głębiej do pokoju, zobaczyłam skraj łóżka

polowego i czyjeś stopy, odwróciłam się więc i wyszłam z powrotem na korytarz, omal nie zderzając się z potężnym czarnoskórym mężczyzną w czapce zsuniętej z czoła. Zaparło mi na chwilę dech z zakłopotania i onieśmienia. Przyglądał mi się bez zdziwienia, lekko mrużąc ciemne błyszczące oczy.

- Szukasz czegoś?

- Tak - odpowiedziałam - eee... damskiej toalety. Podniósł rękę, w której trzymał papierową torbę w taki sposób, jak dziecko trzyma paczkę.

- Wszyscy korzystamy z jednej. - Wskazał na drzwi nieco dalej w korytarzu. - Po prostu zamknij się w niej na zasuwkę, a będzie damska.

- Mam dyżur w kobiecym areszcie - powiedziałam, odczuwając potrzebę wyjaśnienia, usprawiedliwienia mojej obecności.

- Aha - mruknął z ogromnym serdecznym rozbawieniem. Uśmiech igrał mu na wargach, ale oczy były poważne. Mój nowy, nieskazitelny mundur mówił sam za siebie. - Chcesz trochę kawy? Mamy jej od groma i trochę. Pokręciłam przecząco głową, a mężczyzna wszedł do pokoju detektywów. Tylko tyle wydarzyło się podczas mojej pierwszej nocy. Siedziałam, przechadzałam się, przeczytałam po kilka stron każdej z książek, usiłowałam nie zasnąć, aż wreszcie, w końcu nastał ranek i zlużowała mnie kolejna policjantka. Nie widziałam nawet twarzy więźniarek, których pilnowałam.

Stawiałam się na mój drugi dyżur w piątek w nocy, a właściwie w sobotę rano - minuta po północy zmienia całkowicie dzień - uzbrojona w grubą powieść, która miała mi wystarczyć na długo, pudełko herbaty

ekspresowej i dodatkową paczkę papierosów. Zauważyłam w dolnej szufladzie zestaw przyborów do manicure i zamierza-

40

łam go wykorzystać. Na pierwszym piętrze panował istny harmider - podniesione męskie głosy, dobiegające z pokoju detektywów, stukot maszyny do pisania, odgłosy bieganiny. Dyżurna policjantka maltretowała starą maszynę.

- Rany, istny dom wariatów! - powiedziała, gasząc papierosa w przepelnionej popielniczce. - Umiesz pisać na maszynie?

Powiedziałam, że tak, na co wstała, odsuwając z hałasem krzesło.

- Do licha, wymagają od człowieka, żeby był sekretarką! Jestem maszynistką z bożej łaski. - Wyglądała rzeczywiście dokładnie tak, jak to określiła. Wargi miała nierówno uszmkowane, przez co wydawały się krzywe, włosy byle jak podstrzyżone, oczy niestarannie podkreślone ołówkiem. Wyłamała palce, następnie potarła je nerwowym ruchem. - Posłuchaj, przepisuję raport dla detektywa Harrisa. Dopiero zaczęłam, może więc skończysz za mnie? Problem w tym, czy uda ci się odczytać jego pismo. I czy potrafisz tłumaczyć. Jeśli to jest angielski, to ja jestem Holenderką, a nazywam się O'Leary i Holenderką nie jestem.

- Z jakiego powodu całe to zamieszanie? - spytałam, starając się, by zabrzmiało to niedbale, zerkałam jednak niespokojnie w stronę drzwi. Policjantka O'Leary pochyliła się ciężko, poprawiając coś przy butach, po czym wyprostowała się z chrząknięciem.

- Och, zwykła piątkowa noc w Harlemie. Przyzwyczaisz się. Mają tu kilku chłopaków - bójka na noże. Wiesz, porachunki gangów. Jest też parę dziewczyn, ale prawdopodobnie przyjadą po nie z ośrodka dla nieletnich,

bo wyglądają bardzo młodo.

Mniej więcej przez dwadzieścia minut po jej wyjściu biedziłam się, mrużąc oczy, nad niezwykle sformułowaniami detektywa LeRoya Harrisa i zastanawiałam się,

41

do jakiego stopnia wolno mi ingerować w jego tekst. Cele aresztu były puste, hałas na korytarzu wzrósł, chociaż nie mogłam rozróżnić słów. Raport detektywa Harrisa bynajmniej nie był barwny. Po otrzymaniu „cynku” policja zatrzymała pięciu chłopców, w wieku od siedemnastu do dwudziestu lat, pod zarzutem pchnięcia nożem Maceo Littlejohna Johnsona Jr., który został przewieziony do szpitala w Harlemie, z siedmioma ranami kłutymi, zadanyymi przez nieznaną osobę (osoby) około godziny dwudziestej trzydzieści, na rogu Lenox Avenue i Sto Osiemnej. Trzy dziewczyny, w wieku od szesnastu do osiemnastu lat, zostały również zatrzymane. Zastanawiałam się właśnie, jak też może wyglądać autor notatki, gdy nagle stanął w progu. Przypominał swój charakter pisma - mały, zgarbiony, zagadkowy. Głos miał głuchy, ale jednocześnie dość ostry. Wyglądał raczej na bukmachera.

- Och, przepisałaś już? - spytał bez zbędnych wstępów. - Jeszcze chwila, a porucznik urwie mi głowę.

Zdawał się nie zauważać, że nie jestem policjantką O'Leary.

- Już kończę. Czy detektyw Harris?

Wyjął kartkę z mojej dłoni, skinął z roztargnieniem głową, po czym nagle przystanął na chwilę w drzwiach.

- Och, dzięki - powiedział szeptem, nie patrząc na mnie.

Zostałam znowu sama i przez godzinę siedziałam niespokojna i pełna

urazy. Z korytarza dobiegał coraz głośniejszy hałas. Coś się tam działo, a ja czułam, że powinnam wiedzieć, co. Należało mi się w końcu słowo wyjaśnienia - przecież jestem policjantką.

W progu stanął wysoki, młody, ciemnowłosy mężczyzna o schludnym wyglądzie. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i krawat.

- Dzień dobry, jestem porucznik Bouvreau, szef tutejszych detektywów.

42

- Tak jest, panie poruczniku, melduje się funkcjonariuszka Uhnak. -

Chciałam się podnieść, ale powstrzymał mnie przyjaznym gestem.

- Wiem, sierżant podał mi twoje nazwisko. Dorothy, prawda? - Miał miły, cichy głos i był grzeczny. Zrobiło mi się przyjemnie, gdy zwrócił się do mnie po imieniu - wreszcie ktoś zaakceptował fakt mojej obecności tutaj. -

Mamy mały problem. - Porucznik Bouvreau przysunął sobie chybottliwe krzesło i usiadł na nim okrakiem, przodem do oparcia, przewieszając przez nie długie ręce. Spokojnie i ze szczegółami wyjaśnił mi, że zatrzymali trzy dziewczyny. Czuje, że jedna z nich jest bliska załamania i wyjawienia, który chłopak pchnął poszkodowanego nożem. Powiedział, że nie znają siedemnastoletniej Louise Wilcox i nie wydaje im się, żeby należała do gangu. Sprawiała wrażenie zbyt nieśmiałej, zbyt przerażonej tym, co się stało. Przyjrzał mi się z powagą, przyglądając długimi palcami sterczący, chłopięcy kosmyk ciemnych włosów na krótko ostrzyżonej głowie. -

Uważam, że się świetnie nadajesz. Jesteś młoda, niewiele starsza od tamtych dziewcząt. Myślę, że Louise będzie potrzebowała wkrótce odrobiny współczucia. - Zawahał się, marszcząc lekko brwi. - To twoje pierwsze zadanie, prawda?

- Tak, panie poruczniku. - Poczułam pewną ulgę, że orientuje się w

sytuacji. Skinął w milczeniu głową, dając świadectwo temu, że rozumie moje uczucia i zdaje sobie sprawę, że uczynię wszystko, by spisać się jak najlepiej.

- No, cóż - rzekł miło - chcę, żebyś poszła tam ze mną. Będziesz musiała wymyślić coś na poczekaniu, Dorothy. - Mówił nadal z przyjacielską powagą, ale jego głos brzmiał teraz łagodniej, słowa wyrażały prośbę. - Wszystko, co usłyszysz lub zobaczysz u nas, jest ważne. Przypomina to nieco grę. Mamy tych dobrych i tych złych. Żli są ci, którzy głośno mówią; ty będziesz dobra. Rozumiesz?

43

Louise będzie potrzebowała czyjś ramienia. Zamierzamy napędzić jej nielicznego stracha. Zechce wówczas porozmawiać z kimś, kto okaże jej odrobinę życzliwości. Potrafisz?

- Chyba tak - odpowiedziałam, przelękając nerwowo ślinę.

- Jestem o tym absolutnie przekonany. - Jego pewność siebie wydawała się zakorzeniona od dawna, wynikała z lat spełnionych oczekiwań.

Po raz pierwszy weszłam do pokoju detektywów służbowo. Pięciu bez wątpienia murzyńskich chłopców stało po jednej stronie pokoju. Trzech bez wątpienia murzyńskich detektywów ryczało na nich wszystkich razem i na każdego z osobna. Jeden wściekły młody irlandzki detektyw walił w klawisze opornej maszyny, sylabizując pod nosem słowa ukazujące się na papierze. Detektyw Harris szeptał coś do telefonu, osłaniając słuchawkę dłonią i rzucając ukradkowe spojrzenia.

W przyległym pomieszczeniu, z którego zniknęło łóżko, trzy młode Murzynki stały przy oknie, wyglądając przez okratowane okno. Odwróciły się, patrząc na mnie tępo.

- To funkcjonariuszka Uhnak - przedstawił mnie grzecznie porucznik Bouvreau. Żadna z nas się nie odezwała. Porucznik wskazał na dwa krzesła i opuścił pomieszczenie. W chwilę później jeden z detektywów przyniósł jeszcze dwa krzesła i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Lepiej usiądźcie - powiedziałam cicho, próbując zapanować nad niepewnością. Dziewczeta nie drgnęły, wstałam więc i wzięłam z biurka pod ścianą notatnik i długopis. To były jeszcze dzieci. W czasach, gdy zakładałam dom, niektóre z moich najlepszych przyjaciółek były dziećmi. Nie widziałam żadnej różnicy. Odwróciłam się, stając do nich twarzą.

44

- Ty - powiedziałam uprzejmie, rzeczowo, pewna, że właśnie o to mi chodzi - usiądź tutaj. - Dziewczyna nie poruszyła się, poddając mnie ocenie, próbując wyczytać coś z mojej twarzy, głosu. - No, już. Powoli i z pewną godnością wysunęła się naprzód, krzywiąc wargi w grymasie zniecierpliwienia i rozbawienia. Podeszła niechętnie, usiadła jednak, a dwie pozostałe, nie spuszczając z niej oczu, poszły w jej ślady.

- Nie - powiedziałam do drugiej zatrzymanej - nie tutaj. Siadaj tam. - Mierzyłyśmy się w milczeniu spojrzeniami, wreszcie wysoka, szczupła dziewczyna zerknęła na pierwszą i przesiadła się.

Niepotrzebna mi była pomoc, by rozpoznać Louise Wilcox. Miała jasną skórę, niemal żółtą, twarz ściągniętą, zmęczoną, w jej dużych oczach lśnił strach. Była nieatrakcyjną, płaską jak deska i niezgrabną dziewczyną średniego wzrostu, w różowym cętkowanym swetrze i poplamionej brązowej spódnicy. Odgarnięte za uszy włosy opadały w długich, niesfornych, spiralnie zwiniętych lokach, grzywka sterczała sztywno nad czołem.

Pierwsza dziewczyna, najwyraźniej przywódczyni, była ładna i doskonale o tym wiedziała. Włosy, upięte na czubku głowy, przypominały kwiat szarłat. Sprawiały wrażenie, jak gdyby miał je zdmuchnąć nagły powiew wiatru. Twarz miała umiejętnie umalowaną, czarne oczy lśniły jak dwa węgielki. Była smukła i pełna wdzięku, jej kształtne biodra opinała czerwona spódniczka.

- Czegoście nas tu zamknęli i pomiatacie nami? Nic nie zrobiliśmy. Czułam, że jej sposób mówienia jest pozą. Miała inteligentną twarz. Wyraźnie grała.

- Cóż, myślę, że wiesz, dlaczego. Tamci chłopcy... to wasi przyjaciele?

45

- Przyjaciele? Ha, słyszałyście, co nawija ta policyjna dama? - Wskazała na mnie palcem i siedząca obok niej dziewczyna wyszczerzyła zęby. - Przyjaciele? Rany, tamci faceci nie nazywają swoich lasek przyjaciółkami! Zaśmiała się na całe gardło, ale bez humoru, bez radości, świdrując mnie wzrokiem. Miał to być obraźliwy dźwięk i sygnał dla drugiej dziewczyny, która zawtórowała jej posłusznie. Louise siedziała cicho, ze spuszczoną głową, dłonie jej drżały. Palce miała chude i żółte.

Drzwi otworzyły się tak niespodziewanie, że upuściłam długopis. Do pokoju zajrzał czarny detektyw, którego spotkałam poprzedniej nocy na korytarzu. Przesunął piorunującym spojrzeniem po dziewczynach.

- Która to Louise? - spytał groźnym basem. Louise podniosła wzrok, paniczny strach wykrzywił jej wargi. Detektyw przyjrzał się jej, następnie pokiwał głową, ściągając usta.

- Taak - powiedział. - Taak. - Stał jeszcze chwilę w progu, po czym wycofał się, zatrząskując za sobą drzwi.

Siedziałyśmy w milczeniu. Louise przycupnęła na brzegu krzesła, zapierając się o podłogę czubkami zdartych butów.

- Hej - odezwała się pierwsza dziewczyna, szturchając ją mocno - to tylko ich sztuczki. Chcą nas wszystkie nastraszyć.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli się zamkniesz - przywołałam ją grzecznie do porządku. Dziewczyna zadarła brodę do góry i mlasnęła cicho językiem o zęby.

W drzwiach ukazała się spokojna twarz porucznika Bouvreau.

- Panienko, proszę ze mną, i ty również - powiedział, skinąwszy na dwie dziewczyny. Louise podniosła się, ale porucznik pokręcił przecząco głową.

- Ty jesteś Louise,

46

tak? Zostaniesz tutaj. - Jego głos był obojętny, nie dawał niczego do zrozumienia.

Louise wpatrywała się w niego, dolna warga jej opadła, ukazując błyszczące zęby.

Dziewczyna numer jeden podeszła do drzwi, kołysząc biodrami, po czym odwróciła się. Jej oczy rzucały groźne błyski.

- Hej, ty, Louise - wysyczała ostrzegawczo - trzymaj gębę na kłódkę! Czyjaś ciemna dłoń wyciągnęła ją szybko za drzwi i docierał do nas już tylko jej obrażony głos, wykrzykujący przekleństwa. Podniosła się okropna wrzawa, słychać było odgłosy uderzeń i krzyki.

Louise gapiła się na mnie. Skóra wokół jej ust była napięta i blada, na ziemistej teraz twarzy malowało się przerażenie.

- Dlaczego - spytała cicho cieniem, załamującym się głosem - wciąż tu zaglądamy i pytamy o Louise? Ja nic nie zrobiłam. Dlaczego?

Nie mogłam na nią patrzeć.

- Louise, ile masz lat?

Lista pytań była długa. Robiłam, co mogłam, by tylko omijać wzrokiem jej twarz. Wiedziałam, że nie odrywa spojrzenia od drzwi, próbując przygotować się psychicznie na ich nagłe otwarcie, na widok nieprzyjaznych twarzy patrzących na nią, wymawiających jej imię. Zwrócenie się do kogoś po imieniu, pomyślałam, może wzbudzić różne uczucia.

Drzwi otworzyły się znowu. Tym razem pchnął je detektyw Irlandczyk. Trzymał za ramię niskiego, zażywnego Murzyna w średnim wieku, w okularach w rogowych oprawkach na gładkiej twarzy. Wepchnął go do pokoju i ustawił przed krzesłem, na którym siedziała Louise.

47

Następnie skierował światło małej lampki stojącej na biurku prosto na twarz dziewczyny. W jej oczach zamigotało paniczne przerażenie.

- A teraz, panie Morris - powiedział detektyw - proszę się przyjrzeć jej spokojnie i dokładnie. Prawdopodobnie będzie to sprawa o zabójstwo i nie chcemy żadnych pomyłek. - Po czym dodał, wymawiając dobitnie każde słowo, jego głos dźwięczał jak dzwon: - Czy to ta dziewczyna?

Louise zrobiła się szara jak popiół, gdy mężczyzna taksował ją wzrokiem, obchodząc ją dookoła. Wreszcie stanął przed nią, zdjął okulary, oparł na swym okrągłym brzuchu, po czym włożył je znowu.

- Tak - rzekł pewnym głosem. - Nie ma najmniejszych wątpliwości. To ona.

Następnie wyszli obaj bez słowa komentarza. Louise pochyliła się ku mnie, gdy pisałam nadal moją notatkę. Uderzyła porywczo dłonią w blat

biurka.

- Hej - wychrypiała z trudem - dlaczego oni to robią? Dlaczego gapią się na mnie? Nie znam tego faceta, nigdy go nie widziałam. Co oni wyrabiają? Poczęstowałam dziewczynę papierosem, ręka mi drżała, gdy podałam ogień najpierw jej, potem zapaliłam sama. Jej strach był zaraźliwy i poczułam się onieśmielona, czemuś winna z powodu otwierających się drzwi, porozumiewawczych spojrzeń zaglądających mężczyzn.

- Od jak dawna zadajesz się z tą bandą, Louise? Przebiegł ją wyraźny dreszcz.

- To zwyczajni koledzy. Mieszkają w sąsiedztwie.

- Lubisz ich? - spytałam. Wzruszyła ramionami, zaciągając się i wydmuchując sobie dym prosto w oczy. Zrozumiałam, że nie jest palaczką, ona jednak chyba nie bardzo wiedziała, co robi. - Wiesz co, wydaje mi się to dziwne, wyglądasz inaczej niż tamte dziewczyny. One są

48
twarde, a przynajmniej tak uważają. Ty jesteś inna, nie sprawiasz wrażenia dziewczyny, która pakowałaby się w takie kłopoty.

- Ja nic nie zrobiłam. Nie jestem zła, nigdy nie miałam kłopotów z policją.

- Cóż, teraz masz, i to duże - powiedziałam okrutnie, starając się nie słyszeć własnego głosu, własnych słów. - Wiesz, co myślę, Louise? Ze ci twoi „przyjaciele” chcą cię wrobić.

Podniosła głowę do góry, wargi miała suche, lewa powieka jej drgała.

- Mówię poważnie. Nie wiesz, co tam teraz na ciebie gadają. Nie sądzę, żeby chcieli zwalić wszystko na tamte dwie dziewczyny. Zapewne ty zostaniesz kozłem ofiarnym.

Ta możliwość coraz bardziej do niej docierała. Doskonale zdawała sobie

sprawę ze swojej pozycji wśród „kolegów”. Było logiczne, że ją obciążą, ponieważ się nie liczyła. Teraz ja byłam „przyjaciółką” Louise. Rozmawiaj ze mną, Louise, możesz mi zaufać.

W sąsiednim pokoju rozległ się głośny hałas, nastąpiło jakieś poruszenie. Obie spojrzałyśmy w kierunku drzwi. Słysząc było podniesione męskie głosy, jakieś szuranie, odgłosy bójk, chrząkanie, wreszcie wszystko ucichło. Dziewczyna wpatrywała się we mnie.

- Wiesz co, Louise? Nie sądzę, żeby oni wszyscy byli warci twojego małego palca. Chodzisz do szkoły - powiedziałaś, że chcesz zostać kiedyś pielęgniarką. A czym zostaną tamte dwie dziewczyny? Zapewne niczym więcej, niż są w tej chwili. Uważaj na numer jeden, Louise - właśnie ją tam wzięli w obroty moi koledzy. Jak myślisz, dlaczego cię tu zostawili, dlaczego wciąż tu zaglądają i pytają o Louise?

Drzwi znowu się otworzyły. Myślałam, że wyskoczą z zawiasów. Do pokoju wpadła kobieta, przytrzymywana

49

przez dwóch detektywów, krzycząc jak oszalała i wrywając się w stronę dziewczyny. Zerwałam się na równe nogi i stanęłam między nimi, ale ktoś mnie odepchnął. Louise skuliła się na krześle. Potężnie zbudowana Murzynka o roznamiętnionej twarzy rzuciła się na nią, ale ją powstrzymano.

- Ta kurwa zabiła mojego chłopca? Ta kurwa? - wyła. Detektywi wyciągnęli ją na zewnątrz i w pokoju zapanowała okropna cisza. Louise była szara. Trzęsła się jak galareta, nie mogła ruszyć się z krzesła. Nogi miała splecione, cała pochylona się do przodu, oczy wychodziły jej z orbit. Do pokoju wszedł porucznik Bouvreau i zamknął za sobą drzwi.

Przyglądał się Louise, na jego przystojnej twarzy o regularnych rysach gościł smutek. Pokręcił głową.

- To była matka Maceo. Zmarł piętnaście minut temu. Posłuchaj, Louise - powiedział cicho, przykucnąwszy obok jej krzesła. - Nie sądzę, żeby to było morderstwo, naprawdę. - Dziewczyna próbowała skupić na nim rozbiegany wzrok, w kącikach ust zebrały jej się pęcherzyki śliny.

-Domyślam się, że coś ci zrobił. Coś złego. Czy wyrządził ci krzywdę? - Przemawiał łagodnie, jak do małego dziecka, zapewniając o swej życzliwości i zrozumieniu. - Czy ugodziłaś nożem Maceo, dlatego że zrobił ci coś złego?

Louise kilkakrotnie przełknęła głośno ślinę, ale nie udało jej się wykrztusić ani słowa.

- Pewnie będziesz wolą rozmawiać z kobietą. Możesz powiedzieć funkcjonariuszce Uhnak, co zrobił Maceo, nie musisz się wstydzić. Jestem po twojej stronie. Jeśli zrobił to, co myślę, nie masz się o co martwić. Słyszałem o nim same złe rzeczy. - Porucznik Bouvreau wstał i położył rękę na ramionach dziewczyny. - Opo-

50

wiedz pani Uhnak o wszystkim. - Mrugnął do niej uroczyście, po czym zostawił nas same.

Louise wybuchnęła płaczem, wstrząsały nią spazmy, z trudem chwyciła powietrze.

- Wrobili mnie. Boję się. Och, proszę pani, boję się, że mnie zabiją.

Staralam się nie patrzeć na twarz dziewczyny, ale widok konwulsyjnych ruchów jej rąk był jeszcze gorszy.

- Nie wierzę w to, Louise. Myślę, że zwalają wszystko na ciebie, ponieważ

nic ich nie obchodzisz. Posłuchaj, wierzę ci. Widzę, jaką jesteś dziewczyną, ale oni będą trzymać się razem, dopóki nie udowodnimy, że sprawy miały się inaczej. Nie przejmuj się nimi. Oni się o ciebie nie martwią. Opowiedz mi, co się naprawdę wydarzyło. Wierzę ci.

Mówiłam tej dziewczynie: jesteś nikim - nie znaczysz nic w oczach ludzi najważniejszych w twoim ograniczonym światku. Jesteś nikim. Właśnie to jej mówiłam.

Louise spojrzała na mnie z udręką i uczyniwszy ogromny wysiłek, zdecydowała się.

- To był Frenchy. On dźgnął Maceo za to, że zadawał się z jego dziewczyną, tą smarkulą Marci. Maceo powiedział mu, że może spać z każdą dziwką, która mu się spodoba, z Marci też. Zaczęli się bić. Marci dała Frenchy'emu nóż, wszyscy tam byliśmy. Widziałam to na własne oczy, ale przysięgam na Boga, że nie mam z tym nic wspólnego. - Potem dodała z czymś w rodzaju zakłopotania: - Nikt nie walczył o mnie. To Marci miała nóż, a potem Frenchy oddał go jej z powrotem. Schowała go w staniku i wszyscy uciekliśmy w różne strony ulicą. Mnie gliniarze zgarnęli godzinę później w domu i przywieźli nas wszystkich tutaj. Przysięgam na Boga, oni mnie zabiją, wiedzą, że ich sypnęłam. Tak mówili, tak mówili.

51

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Louise wierzy w to, co mówi, ponieważ szlochała, trzymając przy ustach chusteczkę, którą jej dałam. Miałam wrażenie, że za chwilę się udusi.

Nie minęła nawet godzina, gdy Marci, w obliczu oskarżenia o morderstwo pierwszego stopnia, wyjawiała, gdzie ukryła nóż. Frenchy zaś chełpił się

otwarcie, że zabił swego wroga, udowadniając tym samym, iż jest mężczyzną, i pytał, czy reporterzy zrobią mu zdjęcie do gazet.

Jednakże ofiara wcale nie zmarła. Rozpuszczenie takiej pogłoski było częścią planu. Przesłuchiwany w szpitalu, cały w bandażach, podłączony do kroplówki Maceo parsknął tylko pogardliwie, gdy spytano go o imię napastnika. Taki był kodeks. Sam planował własną uliczną zemstę, gdy zagoją się jego bohaterskie rany.

O trzeciej nad ranem komisariat opustoszał. Dziewczęta zabrano do żeńskiego ośrodka dla nieletnich, chłopcy zostali zatrzymani w podobnych placówkach, zależnie od wieku. Pomogłam mężczyznom napisać na maszynie raporty: zeznania chłopców i pozostałych dwóch dziewczyn. Długie, chaotyczne, niemal irracjonalne relacje z tego samego wydarzenia, widzianego różnymi oczami: bohaterski wyczyn, rzeczowa relacja, akt sprawiedliwości, zwykłe wydarzenie piątkowej nocy. Cieszyłam się ogromnym powodzeniem w pokoju detektywów, ponieważ umiałam pisać na maszynie szybko i bez patrzenia na klawiaturę. Przynieśli mi kubek kawy, którą piłam, mimo że była słodka jak ulepek.

Mój własny pokój wydawał się teraz jeszcze bardziej pusty; szare ściany miały zielonkawy odcień. Oczy szczypały mnie ze zmęczenia. Gardło bolało mnie od zbyt wielu papierosów, w ustach miałam ohydny smak. Do pokoju wszedł porucznik Bouvreau i uśmiechnął się do mnie. - Świetna robota, Dorothy. Chciałem ci podziękować.

52

Byłam zbyt zmęczona, by cokolwiek czuć, jednakże pod znużeniem kryło się pewne uczucie.

- Co się stanie z Louise?

- Nic - odpowiedział. Potem, przyjrząwszy mi się bacznie, dodał: - To było paskudne, prawda? Ale czy siedmiokrotne ugodzenie chłopaka nożem na ulicy nie jest również wstrętne?

- A czy Louise się nie liczy? - Nie chciałam, by moje słowa zabrzmiały gniewnie, byłam jednak zbyt wyczerpana, by panować nad emocjami.

- Nie - odrzekł spokojnie - właściwie nie. To brzmi dla ciebie okropnie, wiem. Ale to prawda. Louise po prostu się nie liczy. - Wstał. - Może zdrzemniesz się chwilę? Przez resztę dyżuru będzie tu spokojnie.

Pokręciłam przecząco głową.

- Nie jesteś zmęczona? - spytał. - Jak się czujesz? Oczy mu błyszczały, przyglądał mi się z ciekawością.

- Brudna - odpowiedziałam. - Czuję się tak brudna, że nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się zeskrobać ten brud z siebie!

Porucznik Bouvreau uśmiechnął się niewesoło, w jego głosie zabrzmiało lekkie rozdrażnienie.

- Och, uda ci się. Tylko nie szoruj się zbyt mocno, żeby nie zedrzyć również skóry. Będzie ci potrzebna. Przed nami sobotnia noc. To była tylko rozgrzewka.

Na dyżurze od soboty wieczorem do niedzieli rano policja urządziła wielką obławę narkotykową. Usłyszałam tupot nóg po schodach o wpół do drugiej nad ranem i odłożyłam niedzielną gazetę. Słyszać było głośnie rozmowy. Po chwili zorientowałam się, że mówią po hiszpańsku. Do pokoju zajrzał czarnoskóry detektyw Tyewells, jak zwykle w czapce zsuniętej na tył głowy.

53

- Hej, Uhnak - powiedział swym melodyjnym głosem

- mamy kobietę. Trzeba przeprowadzić natychmiast gruntowną rewizję. Zostawiłam w celach moje podopieczne, dwie prostytutki mamroczące coś w półśnie, i podążyłam za Tyewellsem do pokoju detektywów. Jeden z czarnych detektywów krzychał po hiszpańsku na małego Portorykańczyka, który gapił się na niego tępo. Najwyraźniej oburzony, detektyw odwrócił się i powiedział, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

- Ten skurczybyk udaje, że nie rozumie mojego hiszpańskiego!

- Posłuchaj - rzekł, nachylając się do mnie Tyewells. Był niesamowicie potężnym mężczyzną. - Ta kobieta ma przy sobie narkotyki. Widziałaś kiedyś herę?

- Nie, to znaczy tylko w Akademii podczas pokazu.

- Taak - mruknął Tyewells, starając się zachować cierpliwość. - No cóż, to nie Akademia, a ona ma towar przy sobie. Jeśli jednak go nie ma, to znaczy, że całą sprawę rozdmuchała grupka wściekłych mieszkańców. - Tyewells westchnął głęboko, chyba żałował, że się tu znalazłam.

- Uczyli cię, jak przeprowadzić gruntowną rewizję? Chodzi o naprawdę gruntowną rewizję.

Mierzył mnie badawczym wzrokiem, szukając na mej twarzy oznak zrozumienia. Miałam niejasne wrażenie, że stara się być delikatny. Nie zdawał sobie sprawy, że zabrzmiało to protekcyjnie.

- Jeśli ma przy sobie herę - powiedziałam chłodno

- pan będzie wiedział o tym pierwszy!

Tyewells wydał z siebie jakiś dźwięk, coś pośredniego między jękiem a śmiechem, po czym zsalutował mi, gdy mijając go, wchodziłam do mniejszego pomieszczenia.

Detektyw Irlandczyk, Quileen, oparty o biurko, nie spuszczał wzroku z

kobiety.

54

- Nie miała okazji, by to wyrzucić. Nie spuściliśmy jej ani na chwilę z oka. Sprawdź porządnie - powiedział i wyszedł.

Kobieta była niewysoką Portorykanką o ziemistej cerze i długich czarnych brudnych włosach. Palila papierosa, strząsając popiół do stulonej w kształt miseczki dłoni, następnie wyrzuciła jej zawartość na podłogę, nie patrząc nawet na szare płatki. Zastanawiałam się przez chwilę, próbując przypomnieć sobie procedurę. Obiecywano nam, że inne policjantki nauczą nas rewidować więźnia płci żeńskiej. Ale nikt tego nie uczynił.

- Mówisz po angielsku? - spytałam.

Kobieta wzruszyła ramionami, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć, widać jednak było, że zrozumiała.

- Dobra. Jestem funkcjonariuszka Uhnak. Mam cię zrewidować. Byłoby znacznie lepiej, gdybyś oddała mi towar sama.

Czekałam przez chwilę, mając nadzieję - o, Boże, jakże się o to modliłam!

- że wsunie rękę pod sukienkę, poda mi zgrabną małą paczuszkę i na tym koniec. Kobieta przyglądała mi się z obojętnym wyrazem twarzy, mniej więcej w taki sposób, jak ktoś, kto nie darzy sympatią kotów, przyglądałby się kotu syjamskiemu.

- Nie, to nie. - Wzięłam głęboki oddech. - Rozbieraj się. Jeśli to słowo było szokiem dla mnie samej, to dla

kobiety oznaczało wyłącznie rozkaz, albowiem spokojnie wstała i zsunęła z nóg pantofle. Bez nich była bardzo niska. Nie patrząc na mnie, ale świadoma, że ją obserwuję, skoncentrowała się na swoim zadaniu.

Rozpięła zamek błyskawiczny czarnej sukni, która była na nią o wiele za

długa. Pozwoliła jej opaść na podłogę, następnie podniosła ją i rzuciła na krzesło. Potem odpięła pończochy, w których było pełno oczek, i swobodnie, bez odrobiny wstydu

55

zdjęła pas-majtki i stanik. Bieliznę miała bardzo brudną od długiego noszenia, nie praną od niepamiętnych czasów. Stała przede mną naga, nie przejmując się niczym, z lekkim uśmiechem na ustach. Twarz musiałam mieć czerwoną jak burak, czułam, że policzki mnie pałą.

Wskazałam na części ubrania rozrzucone na podłodze i na krześle.

- Podnoś każdą rzecz osobno i wytrząśnij tutaj, nad biurkiem.

Nie chciałam dotknąć niczego, co miała na sobie. Teraz, obserwując ją i wiedząc, że nic nie wypadnie z jej ubrania, zrozumiałam, co miał na myśli detektyw Tyewells. Prawdopodobnie wiedziałam to już w chwili, gdy po raz pierwszy mi powiedział, ale nie chciałam przyjąć do wiadomości tego, co musiałam zrobić. Gruntowna rewizja.

Kobietę bawiło moje zażenowanie. Zacisnęłam zęby i odepchnęłam ją od biurka, po czym cofnęłam rękę jak oparzona. Miałam wrażenie, że jest chora i brudna.

- W porządku, zabawa skończona - powiedziałam. - Dawaj hereę.

Wargi kobiety rozchyliły się, ukazując cztery złote przednie zęby.

Odrzuciła do tyłu opadające w strąkach czarne włosy, wyginając nieprzyzwoicie ciało.

- Jak chcesz to dostać, skarbie - uśmiechnęła się lubieżnie - to weź sobie sama.

Byłam wstrząśnięta i jednocześnie wściekła. Kobieta nie zdawała sobie najwyraźniej sprawy, że mój gniew wziął górę nad irytacją czy nawet

wyniosłością.

- Kładź na biurku tę małą paczuszkę hery albo wyrzucę cię przez okno!

Uśmiech zniknął błyskawicznie z jej twarzy, wzruszyła ramionami.

56

- Dobra, dobra, policyjna damulko, nie musisz tak się wściekać.

Wyjęła z intymnego miejsca walcowaty pojemnik i położyła go na biurku.

- Otwórz to - poleciłam.

Wysypała na blat biurka osiem małych plastikowych paczuszek białego proszku.

- Ubieraj się - powiedziałam, odwracając się do niej tyłem. Nie mogłam na nią patrzeć.

Było mi niedobrze, odczuwałam nieprzepartą chęć, by uciec z pokoju. Nie chciałam patrzeć na jej chudą, ziemistą twarz, a tym bardziej na jej ciało.

Było coś przerażającego w kobiecie, która rozbierała się bez protestu, gdy jej kazano, która nie miała zahamowań, by pokazać komuś obcemu szarą, brudną bieliznę. Która nie czuła się poniżona, gdy kazano zrobić jej coś

poniżającego, i która robiła to bez cienia skrzepowania, bez mrugnięcia

okiem czy skrzywienia warg. I nie podobało mi się to, że znajdowałam się

w sytuacji kogoś, kto może kazać rozebrać się lub ubrać, kto ma taką

władzę nad drugim człowiekiem. Było to wzajemne poniżenie, czułam

ogromne brzemie i wstręt. Dla tej kobiety nie było żadnej nadziei,

odsłoniła się przede mną bez odrobiny szacunku dla siebie, jak gdyby nie

miało to najmniejszego znaczenia. I rzeczywiście nic nie miało dla niej

znaczenia, nic nie było ważne.

Nie poprosiła, bym pomogła jej zasunąć zamek błyskawiczny przy

sukience, i mimo iż wiedziałam, że ma z tym duży kłopot i wije się jak

piskorz, wzdragałam się przed dotknięciem jakiegokolwiek części jej ciała. Moja dłoń, niczym oddzielny żywy organizm, wciąż pamiętała krótki kontakt z jej ramieniem.

Tyewells, który stał tuż za drzwiami, wszedł natychmiast, gdy tylko wsunęłam głowę do pokoju detektywów.

57

- Dobra, dobra, policyjna damulko, nie musisz tak się wściekać.

Wyjęła z intymnego miejsca walcowaty pojemnik i położyła go na biurku.

- Otwórz to - poleciłam.

Wysypała na blat biurka osiem małych plastikowych paczuszek białego proszku.

- Ubieraj się - powiedziałam, odwracając się do niej tyłem. Nie mogłam na nią patrzeć.

Było mi niedobrze, odczuwałam nieprzepartą chęć, by uciec z pokoju. Nie chciałam patrzeć na jej chudą, ziemistą twarz, a tym bardziej na jej ciało. Było coś przerażającego w kobiecie, która rozbierała się bez protestu, gdy jej kazano, która nie miała zahamowań, by pokazać komuś obcemu szarą, brudną bieliznę. Która nie czuła się poniżona, gdy kazano zrobić jej coś poniżającego, i która robiła to bez cienia skrepowania, bez mrugnięcia okiem czy skrzywienia warg. I nie podobało mi się to, że znajdowałam się w sytuacji kogoś, kto może kazać rozebrać się lub ubrać, kto ma taką władzę nad drugim człowiekiem. Było to wzajemne poniżenie, czułam ogromne brzemie i wstręt. Dla tej kobiety nie było żadnej nadziei, odsłoniła się przede mną bez odrobiny szacunku dla siebie, jak gdyby nie miało to najmniejszego znaczenia. I rzeczywiście nic nie miało dla niej znaczenia, nic nie było ważne.

Nie poprosiła, bym pomogła jej zasunąć zamek błyskawiczny przy sukience, i mimo iż wiedziałam, że ma z tym duży kłopot i wije się jak piskorz, wzdragałam się przed dotknięciem jakiegokolwiek części jej ciała. Moja dłoń, niczym oddzielny żywy organizm, wciąż pamiętała krótki kontakt z jej ramieniem.

Tyewells, który stał tuż za drzwiami, wszedł natychmiast, gdy tylko wsunęłam głowę do pokoju detektywów.

57

- Osiem paczuszek - powiedziałam.

Spojrzał na mnie, szukając czegoś w mojej twarzy, na jego własnej malowało się inteligentne rozbawienie. Skinął głową, po czym pokazał gestem porucznikowi Bouvreau, że sprawa została załatwiona.

- Udało się. Wszyscy mogą się odprężyć. Mamy heroinę. - Następnie skłonił się przede mną szorstko, wyrażając mi w ten sposób uznanie.

Dobrze, moje dziecko, dobrze.

Reszta mojego dyżuru przebiegła względnie spokojnie. Spędziłam czas od północy do rana w moim małym pokoiku, słuchając, jak aresztantki śpiewają cicho pod nosem, kłócą się przez kraty, skarżą się, szlochają, śpią niespokojnie, chrapią, kaszlą, przeklinają. Zaczynałam je rozumieć.

Odczuwałam wręcz fizycznie ich nieszczęsne, beznadziejne położenie, ocierało się o moją skórę niczym coś namacalnego, niczym ciepła, lepka, brudna ciecz. Przytłaczająca atmosfera internowania, uwięzionych kobiet, dawała mi się straszliwie we znaki. Umieszczano je w areszcie tylko na jedną noc, te okropne, stracone kobiety, a nazajutrz rano stawały przed sądem i prawdopodobnie czekało je więzienie, tym razem na czas określony. Spędzały tutaj jedną noc, ale ja miałam wrażenie, że sama

odbywam karę więzienia w mojej własnej szczególnej celi. Nie mogłam się powstrzymać od patrzenia na nie, na ich twarze, ich oczy, odzwierciedlające lata życia, czasu spędzonego w dziwny sposób, całkowicie dla mnie obcy i niezrozumiały. Próbowałam z nimi rozmawiać. Pozwalałam się wykorzystywać, wyświadczałam drobne przysługi, bez znaczenia dla mnie, a tak ważne dla nich tutaj, w tym miejscu. Dawałam im grzebienie, chusteczki higieniczne, papierosy, kawę, słodycze. Podczas rozmowy usiłowałam znaleźć jakąś wskazówkę, która

58

pomogłaby mi zrozumieć, czemu tak żyją, w przeciwnym razie musiałabym wyciągnąć wniosek, że ich życiem kieruje szalony, ślepy los. Siedząc przy biurku, pijąc niezliczone filiżanki herbaty, by nie zasnąć, czułam ich niechęć, pogardę, nienawiść i gorycz, skierowane nie przeciwko mnie, lecz przeciwko wszystkim i wszystkiemu na świecie, co spowodowało, że znalazły się w tym miejscu, gdzie grzebień lub czysty papierowy kubeczek są ważne i pełne znaczenia.

Były to sytuacje, z którymi się dotąd nie zetknęłam, ludzie, jakich nie znałam. Zupełnie nie przypominało to filmów. Przeważała straszliwa stała monotonia. Nawet podczas piątkowych i sobotnich nocy, gdy pokój detektywów był pełen ludzi, wszystko odbywało się w podobny sposób. Przychodzący ze skargą płakali ze zdenerwowania lub wściekłości; podejrzani patrzyli wilkiem, ponuro albo protestowali, przerażeni; matki pytały żałośnie: „Gdzie on jest? Co z nim zrobiliście?”, a detektywi odpowiadali: „Trzeba było pytać o to wcześniej, proszę pani. Powinna się pani była interesować, gdzie przebywa pani syn”.

Teraz już wiedziałam, że specyficzna atmosfera komisariatu składa się

właśnie z tego: cierpienia i rozpacz, które wiszą w powietrzu niczym gęsty dym z papierosów.

I że wszyscy detektywi, ci z komisariatu w Harlemie i ci z moich dziecięcych fantazji, wszyscy detektywi, bez względu na kolor skóry, wzrost czy budowę, po prostu absolutnie wszyscy mają takie same oczy - surowe i mądre.

Wzniesiecie wokół siebie gruby nieprzebyty mur

Nie mogę zrozumieć, czemu każda policjantka chciałaby być na stałe przydzielona do kobiecego wydziału policji. Chyba jedynym plusem są stałe godziny pracy i więcej wolnych weekendów. Poza tym jest to typowa praca biurowa. Odbieranie telefonów, przepisywanie na maszynie raportów przesłuchań osób wnoszących skargi, układanie harmonogramów pracy, prowadzenie kartoteki - wszystkie te nudne, straszliwie nieciekawe, monotonne zajęcia budziły we mnie rozdrażnienie i odrazę graniczącą z rozpaczą. Dowiedziałam się jednak, że kobiety pracujące tutaj uważają się za mały elitarny zespół. Po odbyciu służby w kobiecym areszcie zostałam przydzielona do pracy w wydziale na dyżurze od ósmej do szesnastej i przykuta do biurka. Miało to swoje dobre strony, ponieważ wracałam do domu dość wcześnie, by przygotować kolację dla Tony'ego, potem zaś mogliśmy wybrać się razem do kina albo po prostu na spacer. Wieczór należał do nas. Tak było przez tydzień.

W następnym tygodniu mój dyżur trwał od szesnastej do północy, moją partnerką była May Evans. Miała około

60

czterdziestki, jasne włosy i brwi, szczupłą twarz. May sprawiała wrażenie osoby absolutnie kompetentnej. Przejawiało się to w jej sposobie bycia,

mówienia. Wyrażała się zwięźle, z domieszką humoru, nie marnując słów. Wszystko było jasne, wyraźne, bez zbędnych przymiotników.

May oprowadziła mnie po Manhattanie - był to rodzaj wycieczki z przewodnikiem, podczas której zobaczyłam wiele rzeczy, których nie widziałam przedtem. Nie lodowisko w Rockefeller Center, lecz sunący tłum, który przyglądał się osobom jedzącym obiad, albowiem pogoda była zbyt ciepła dla łyżwiarzy. Jej uwagi były krótkie, ostre, celne.

- Obserwuj tamtego faceta w brązowym garniturze.

I rzeczywiście, mężczyzna przysunął się do grupki kobiet, potem się cofnął, pozornie bez celu. Gdy podeszliśmy bliżej, rzuciły nam się w oczy pewne rzeczy - szarawy odcień warg, nieobecne spojrzenie, utkwione gdzieś w przestrzeni, twarz bez wyrazu. Snuł swoje fantazje erotyczne, wywołane przez przypadkowy kontakt z ubraniem, biodrem czy ramieniem jakiejś turystki.

- Nazywamy ich „ocieraczami” - wyjaśniła szorstko May. - To właśnie robią. Przedstawiciel całej wielkiej menażerii. Przyciska się do kobiet, które najczęściej myślą, że to z powodu tłoku, i odsuwają się albo nawet nie zwracają na niego uwagi. Wtedy robi się trochę bardziej bezczelny i niekiedy sprowokowana kobieta ogląda się i patrzy na niego. Napotyka jednak zagapione w przestrzeń spojrzenie i dochodzi do wniosku, że poniosła ją wyobraźnia, albo piorunuje go wzrokiem i odsuwa się, on zaś po prostu przybliżył się do innej grupki.

- Co robimy z takimi? - Nie przypominałam sobie wzmianki o „ocieraczach” w kodeksie karnym.

May roześmiała się, chwytając głośno oddech.

- To zależy. Jeśli wygląda na prawdziwego desperata, idziemy za nim.

Śledzimy go, obserwując jego posunięcia

- oczywiście z bezpiecznej odległości. Gdy uważamy, że mamy na niego dość, zgarniamy go za zakłócanie porządku publicznego, ale to parszywe aresztowanie i trudno się do czegoś przyczepić. W sądzie będzie się tłumaczył, że miał właśnie przerwę na lunch, co jest przypuszczalnie prawdą; że pracuje po drugiej stronie ulicy - znowu prawda; że wyszedł po prostu trochę na słońce.

- Czyli w gruncie rzeczy nie złapaliśmy go na niczym.

- Cóż - powiedziała May - jeśli mamy dużo szczęścia, co się rzadko zdarza, możemy trafić na jakąś oburzoną kobietę, o którą przed chwilą się otarł i która zechce złożyć skargę. Albo przypadnie mu do gustu któraś z nas

- ty, ponieważ jesteś drobniutka, albo ja, ponieważ mam pięć kilo nadwagi. Pozwalamy mu zbliżyć się, nie podstawiamy się same takiej kreaturze, to zbyt wstrętne. Powiedzmy, że uważa mnie za ładną, podoba mu się moje solidne podwozie - poklepała się po biodrze - albo niebieska sukienka, w której przypominam mu matkę. Staje się więc jego celem, przysuwa się do mnie. Gdy zaczyna wykonywać podejrzane ruchy, zwijamy go. Tym razem jestem osobą wnoszącą skargę, nie tylko obserwatorem. - May westchnęła.

- Oczywiście, w sądzie i tak z nami wygra. A więc znów bierzemy go pod obserwację, śledzimy jego wszystkie posunięcia i czasami udaje nam się przyłapać go na obnażaniu się w miejscu publicznym, tyle że potajemnie, w tłumie, bo kto by go kiedykolwiek zauważył?

Odbyliśmy rundę po śródmiejskich kinach, dużych, oślepiających, premierowych, jak i tych lichych, odrapanych, do których chodzili ludzie,

by spędzić jakoś czas, zapełnić czymś pustkę, łudząc się nadzieją, że zobaczą cud

62

na wielkim szarym ekranie. My jednak nie obejrzałyśmy ani jednego filmu, lecz obserwowałyśmy ludzi. Gdy usiadłyśmy w ostatnim rzędzie, May powiedziała krótko:

- On!

Namierzała ich błyskawicznie - „kinowych myśliwych”.

- Zauważyłaś, że wykonał pierwszy ruch, gdy tylko weszłyśmy?

Oczywiście, nie zauważyłam.

- Patrz uważnie. Idzie tamtędy. Nie spuszcza go z oka. Daję mu około dziesięciu minut.

Rzeczywiście, nie minęło nawet tyle czasu, gdy ciemna postać znów zmieniła miejsce. Wypatrzyłam własnego „myśliwego”, otyłego, niezdarnego faceta, który powędrował przejściem do góry, następnie wrócił, szeleszcząc papierkami od cukierków i szukając wolnego krzesła.

- Ten jest po prostu głodny - powiedziała May. - Założę się, że grubas nie ruszy się z miejsca, dopóki nie skończą mu się zapasy jedzenia.

Miała rację. Następnie wyjaśniła, jak się mają sprawy z „kinowymi myśliwymi”.

- Podpadają pod kilka kategorii. Niektórzy siadają z tyłu za kobietą, obok której jest wolny fotel. Kobiety są zwykle absolutnie beztroskie, jeśli idzie o torebki. Przynajmniej połowa kobiet w kinie kładzie płaszcz i torebkę na wolnym miejscu obok siebie. Uważają to za całkiem bezpieczne, ponieważ nikogo nie ma w pobliżu. Nie przychodzi im na myśl, że facet w rzędzie za nimi sięga do torebki, wyjmuje z niej portfel i do widzenia. Są też tacy jak

nasz przyjaciel, degeneraci, którzy skaczą po całej sali, w poszukiwaniu nowych kontaktów. Taki facet siada i gapiąc się w ekran, zaczyna działać naprawdę powoli, po prostu przysuwa nogę nieco bliżej. Znasz takich typków, jesteś kobietą, chodziłaś do kina sama. Siedzisz zatem,

63

czując się dziwnie nieswojo, ale i trochę winna. Dla próby trącasz stopą jego stopę. Facet odsuwa się lekko i jesteś zadowolona. Nadal jednak masz to dziwne uczucie, wrażenie nacisku, ciepła, czegoś niedobrego. Wreszcie jesteś całkowicie pewna - i wstrząśnięta. Albo wstajesz oburzona i wychodzisz, depcząc mu po nogach, albo też, jeśli wystarcza ci odwagi, kopiesz go boleśnie w kostkę. Wtedy to on podnosi się bez słowa i oddala się chyłkiem, by poszukać innej ofiary.

Wracałam do domu z dyżuru od szesnastej do północy wyczerpana, lecz jednocześnie radośnie podniecona, i opowiadałam Tony'emu o wszystkich tych sprawach, które istniały zawsze, ale ja dopiero teraz uczyłam się je dostrzegać. Przypominało to studiowanie fascynującej hodowli mrówek czy pszczoł, przyłapanych na drobiazgach, które zmieniają całkiem nasz punkt widzenia.

- Widzisz tego mężczyznę? - pytałam, gdy szliśmy do kina na jakiś film. - Obserwuj go.

Tony sadowił się wygodnie w fotelu.

- Wiesz co, nie można już z tobą oglądać z przyjemnością filmu. Facet idzie po prostu do toalety. Odpreż się i popatrz na to, co się dzieje na ekranie.

Ale dawał się wciągnąć i po trzeciej zmianie miejsc przez faceta, szturchał mnie lekko.

- Jak myślisz, to degenerat czy złodziejaszek? Tony, który dzięki mnie stał się bardziej spostrzegawczy, wpadł we wściekłość, wracając metrem do domu.

- W wagonie był ten żaloszny „ocieracz”, który dobierał się do nieszczęsnej młodej dziewczyny, odurzonej narkotykami. Musiała być na tyle nieprzytomna, że nic nie czuła. Przyparłem go do ściany i gdy drzwi się otworzyły przy Czternastej Ulicy, wypchnąłem go z wagonu. Szkoda, że nie widziałaś, jak się rzucił do innych drzwi.

64

Na naszym ostatnim dyżurze od szesnastej do północy May po raz pierwszy przyszła do pracy przede mną.

- Wiesz co - powiedziałam - mam przeczucie, że dzisiaj nam się uda. -

Dwie dziewczyny, z którymi kończyłam Akademię, miały za sobą pierwsze aresztowania. Ja wciąż czekałam, tym razem jednak czułam, że dzisiaj wieczorem wszystko się odmieni. I tak się stało.

May nie podniosła wzroku znad papierów.

- Otrzymałyśmy dzisiaj specjalne zadanie. Musimy zawieźć parę dzieciaków do domu dziecka - powiedziała z papierosem przyklejonym do dolnej wargi.

Poczułam się głupio, ogarnęło mnie zakłopotanie z powodu jej kompletnego braku wiary w moje „przezucie”. Zignorowała moje słowa i zajęła się swoimi notatkami. Policjant w cywilnym ubraniu zawiózł nas do wschodniego Harlemu. Po dwóch tygodniach spędzonych z dala od tej dzielnicy, współczesna, pełna życia, podniecająca, prawdziwa atmosfera środkowego Manhattanu niemal zatarła przygnębiające wrażenie ciemnych zaśmieconych ulic. Kierowca zatrzymał się obok jaskrawoczerwonego

wozu komendanta straży pożarnej, zaparkowanego przed hydrantem.

Szofer, siwowłosy strażak, skinął nam poważnie głową, po czym zagłębił się z powrotem w lekturze czasopisma.

Blok mieszkalny, do którego przyjechałyśmy, różnił się od sąsiednich budynków jedynie tym, że cuchnęło w nim dymem i spalenizną, a na klatce tłoczyli się ciekawscy, podnieceni i zdenerwowani lokatorzy. Na niższych pół-piętrach ludzie wyciągali szyje do góry, na wyższych patrzyli w dół, co się dzieje na trzecim piętrze.

- Przypnij odznakę - poleciała Mary. Zauważyłam, że sama zdążyła już to zrobić.

Strażacy rozmawiali z lokatorami, wchodząc do różnych mieszkań i odhaczając coś na długich kartkach

65

papieru, przypiętych do clipboardów. Dokładali wysiłków, by ich zrozumiano, hołdując idiotycznemu przekonaniu, że jeśli będą mówili po angielsku wystarczająco głośno, zrozumie ich każdy, nawet cudzoziemiec. Na trzecim piętrze fetor był najsilniejszy. Zmieszana z zapachem spalenizny i wilgotnego brudu, roznosiła się przerażająca woń, dziwnie znajoma, choć nigdy dotąd nie napotkana.

Na podeście znajdowało się czworo drzwi, w tym troje było otwartych.

Stali w nich ludzie o wielkich oczach, ciemnej karnacji, niscy, drobni, trajkocący bez chwili wytchnienia po hiszpańsku. May zaczęła rozmawiać ze strażakiem, który wciąż jeszcze miał na sobie ciężki gumowy płaszcz i buty oraz duży niewygodny kapelusz, zakrywający mu prawie całą twarz. Zauważyłam, że ludzie gapią się w jedno suche ciemne miejsce w rogu podestu. Wysoki strażak podszedł z May do mnie, widziałam tylko, że ma

kwadratową szczękę i duże usta.

- Dzieciaki są pod siódemką, u pani Santiago. Dziewczynka ma około czterech miesięcy, a chłopczyk trzy latka. Te, które nie żyją, miały cztery i pięć lat - powiedział stanowczo, nie odrywając spojrzenia od tamtego rogu, po czym odszedł.

May popatrzyła na mnie, twarz miała spokojną i odprężoną.

- Ciała zabrano. Wyluzuj się. Chodź, pójdziemy po tamtą dwójkę.

Wiedziałam, gdzie leżały spalone ciała i co to był za dziwny zapach.

Próbowałam nie patrzeć w tamten kąt, który przyciągał mój wzrok jak magnes.

Pani Santiago stała w progu z mężem i trójką małych dzieci. Odsunęli się na bok, wykonując mnóstwo zapraszających gestów i wskazując swoje mieszkanie.

66

- Proszę usiąść, proszę wziąć to krzesło - powiedziała pani Santiago, zdejmując ze starego kuchennego krzesła małą dziewuszkę. - Maleństwa są tam. - Jej oczy powędrowały w kierunku pokoju. - Ubrałam je trochę cieplej. Dałam im ubranka moich dzieci - mówiła, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy i kiwając głową.

- Proszę pani, eee... proszę - rzekł pan Santiago. - Nie mówię za dobrze po angielsku. - Proszę pani, co zrobicie z dziećmiakami?

- Odwieziemy je do domu dziecka. Będą tam miały dobrze. - Głos May brzmiał szorstko na tle ich łagodnych głosów. Nie zaszczyciła ich nawet spojrzeniem, zapaliła papierosa, nie chcąc widzieć lub nie widząc, że pan Santiago gorliwie sięgnął do kieszeni spodni po zapalki.

- Napiją się panie kawy? - Pani Santiago podskoczyła do kuchenki

znajdującej się obok niewielkiego zlewu. Najwyraźniej kuchnia służyła jednocześnie jako salon, ponieważ pod ścianą stała kanapa oraz telewizor. May spojrzała na mnie. Na jej twarzy malował się wstręt. Nie dotknęłaby niczego w tym mieszkaniu. Pokręciła przecząco głową i zaczęła robić notatki.

- Nie, dziękuję, pani Santiago, nie pijam kawy. Jeden z maluchów, o wielkich oczach i zasmarkanym nosku, obserwował mnie nad blatem stołu. Gdy uśmiechnęłam się do niego, ukrył się za spódnicą matki, zerkając na mnie nieśmiało.

- Musimy poczekać na sierżanta. Wróci za chwilę - poinformowała mnie May, kompletnie ignorując ludzi, w których domu się znajdowałyśmy. Miałam wrażenie, że minęły godziny, zanim usłyszałam jakieś zamieszanie na klatce schodowej. Strażacy zabierali resztę swego sprzętu, dobiegł nas też piskliwy, histeryczny kobiecy krzyk. May nakazała mi gestem, bym

67

pozostała na miejscu, i wyszła na klatkę. Widziałam, jak rozmawia z sierżantem i drobną potarganą kobietą w pur-purowoczerwonej sukni. Czułam, że dostaję gęsiej skórki, dreszcz przebiegł mi po plecach. May trzymała dłonie na ramionach kobiety, przyciskając ją do ściany, kobieta zaś wiła się jak szalona, krzycząc wniebogłosy, jej głos przypominał zgrzytanie noża po szkle. Następnie zaczęła osuwać się po ścianie, jakby miała nogi z gumy, ale May szarpnęła ją do góry. Kobieta przestała wrzeszczeć, mówiła teraz coś szybko, pół po angielsku, pół po hiszpańsku, gestykulując żywo. Gdy odwróciłam się, zaskakując panią Santiago, która mi się przyglądała, uśmiechnęła się do mnie, ale był to gorzki,

melancholijny, odruchowy uśmiech. W desperacji powiedziała do małej, chyba siedmioletniej dziewczynki:

- Carmen, poczęstuj panią słonymi paluszkami.

Dziecko w milczeniu podało mi długą laseczkę z plastikowego kubka na wodę, podziękowałam i odgryzłam suchy, klejący się kęs.

Wróciła May i nie zwracając uwagi na Santiagów, usiadła przy stole.

- Cholerna kurwa - powiedziała. - Nędzna mała kurewka!

- Czy to była... matka?

- Tak, myślę, że można tak ją nazwać. Wiesz, o co jej chodziło? Słuchaj, dziecino, i ucz się życia. Ta dziwka włóczyła się gdzieś przez całą noc.

Zostawiła dzieciaki same, one zaś znalazły zapalki i wznieciły pożar.

Dwójka nie żyje, a wiesz, co ją gryzie? Tylko nie spadnij z krzesła!

Otrzymywała zasiłek na te, które zginęły w płomieniach. Na pozostałą

dwójkę mają łożyć regularnie „mężowie”. Ma nakaz sądowy, ale

oczywiście trudno z nich coś ściągnąć. Ojcowie zmarłych dzieci mieszkają w Puerto

68

I

Rico - rzekła z ironią - a więc płaci za nich opieka społeczna. Wiesz, do czego chciała namówić sierżanta ta szmata? No, proszę, zgadnij.

Nie przychodziło mi nic do głowy, ale May nie czekała, aż coś wymyślę.

Wyjaśniła rzeczowo, zakładając, że i tak w końcu sama bym do tego doszła:

- Właśnie tak. Chciała, żeby sierżant napisał w swoim raporcie, że w płomieniach zginęła ta dwójka dzieci, która przeżyła. Dzięki temu dostawałaby nadal zasiłek. „Co się ze mną stanie?” - tylko to ją

obchodziło. „Co się ze mną stanie?”.

Nawet najmłodsze dziecko, mimo że nie rozumiało jej słów, było przerażone wyrazem jej twarzy, wykrzywionej i wściekłej. May odwróciła się gwałtownie do pani Santiago.

- Dobra, przygotujcie tamtą dwójkę, zabieramy je natychmiast.

Pani Santiago pokiwała głową i wykonawszy coś w rodzaju ukłonu, poszła szybko do drugiego pokoju. Wróciła, niosąc małe różowe zawiniątko i trzymając za rączkę niedużego chłopczyka o długich czarnych włosach, opadających na oczy nierównymi kosmykami. W ciemnych wielkich oczach nie było jednej łzy, szedł obok kobiety w absolutnym milczeniu.

- Raymond - powiedziała cicho. - To jest Raymond. - Stała, niepewna, komu ma powierzyć dziecko. - A to maleństwo, które śpi, to Conchita. Wyciągnęłam dłoń do Raymonda, który ruszył ku mnie, ale May wstała.

- Ty weź niemowlę - poleciała mi. - A ty, synku, chodź do mnie. -

Chłopczyk natychmiast podszedł do niej posłusznie. May pozbierała torebkę i kartki papieru, następnie, nie patrząc na dziecko, wyciągnęła rękę, do której mały włożył swoją.

69

- Posłuchajcie, wy, tutaj - powiedziała May, przystając w progu, twarz miała surową, głos nieprzyjemny i okrutny. - Takie są skutki, gdy wychodzicie na całą noc, zostawiając dzieci same. Słyszeliście?

Chudy pan Santiago cały zeszywniał, w jego ciemnych oczach płonęło silne uczucie. Przełykając z trudem ślinę, mówił cichym, żalonym głosem:

- Był tu u nas strażak i powiedział to samo. Ale my nigdy tak nie robimy. -

W jego głosie brzmiało nie tyle wyzwanie, ile duma. - Moja żona nie

pracuje. - Widząc kamienną twarz May, dodał drżącym głosem: - Moja żona uratowała tych dwoje dzieciaków. Wyciągnęła oboje z płomieni! May patrzyła na niego obojętnie, nie wiadomo było nawet, czy słyszy jego słowa, widzi twarz.

- Taak - mruknęła, wychodząc na klatkę i nie oglądając się - wy nigdy tak nie robicie. Wy nie!

Wątle ciało pana Santiago przeszył dreszcz, mężczyzna zacisnął wargi. Trzymając niemowlę w ramionach, ruszyła w stronę drzwi.

- Biedne maleństwa - powiedziała pani Santiago. - Dałam im ubranka moich dzieci. Mogą je zatrzymać. Nie musicie ich zwracać. - Była to wcale niemała ofiara.

Na jej drobnej twarzy malował się niemy protest: „My nie jesteśmy tacy jak tamta kobieta. Ja jestem matką, ona nie”. Patrzyła na mnie z przygnębieniem, oczy wyrażały czułość i cierpienie.

- Dziękuję, pani Santiago - powiedziałam, dodając po chwili impulsywnie:

- Jest... jest pani dobrą kobietą. Naprawdę tak uważam.

Nic na to nie odrzekli i być może ich obraziłam, dziękując im i wyrażając moją ocenę, ale po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć.

70

Na klatce schodowej, gdy przechodziłyśmy obok matki zmarłych dzieci, May powiedziała coś do niej szybko po hiszpańsku. Kobieta nie odezwała się, nie spojrzała też na synka, który mijał ją z palcem w buzi, ani na niemowlę śpiące w moich ramionach.

W samochodzie May postawiła chłopca przy oknie. Zapatrzył się w milczeniu na ulicę.

- Ci ludzie - wybuchnęła May - ci przekłęci ludzie powinni zostać tam,

skąd przyjechali!

Przyłożyłam palec do ust, wskazując gestem głowy chłopca.

- On? Nie mówi po angielsku - wyjaśniła, patrząc gdzieś ponad głowę dziecka i nie dotykając go nawet skrawkiem ubrania.

Chłopczyk spytał o coś po hiszpańsku wysokim dziecięcym głosem.

May pokręciła głową i odpowiedziała mu krótko.

- Nie wiedziałam, że znasz hiszpański.

- Hunter College - wyjaśniła lakonicznie. Zdumiało mnie to, albowiem ani trochę nie nabrała tam oglądy.

- Chce iść do toalety... lepiej niech wytrzyma. Dziecko zaczęło przestępować z nogi na nogę, mruczając coś pod nosem.

Spojrzałam na niemowlę w moich ramionach. Dziewuszka miała delikatną karnację kawy z mlekiem, malutki nosek, jej usteczka poruszały się przez sen w odruchu ssania.

- Śliczne dziecko - powiedziałam, ale May zdawała się nic nie słyszeć.

W sierocińcu siostra zaprowadziła nas do biura. W budynku panowała cisza i spokój. Był to zupełnie inny świat

- bezpieczny, odosobniony. Wielkie kornety zakonnice wyraźnie wzbudziły strach Raymonda, przytulił się z całej

71

siły do nóg May, gdy usiadła na krześle. Odepchnęła go, stanął więc prosto, drżąc na całym ciele. Matka przełożona bez komentarza zapisała wszystkie szczegóły, następnie powiedziała coś do interkomu. Po chwili zjawiała się druga zakonnica, ubrana w biały szeleszczący habit.

Chłopiec wpatrywał się w ogromny krucyfiks nad głową matki

przełożonej, wciąż ssąc palec i głośno oddychając.

- To jest Raymond - powiedziała matka przełożona.

- Raymondzie, pożegnaj się z tymi miłymi paniami i idź z siostrą Margaret Mary. Przygotuje ci dobrą kolację. - Jej głos brzmiał spokojnie i stanowczo.

Chłopiec zeszywniał cały, gdy zakonnica zbliżyła się do niego, w jego oczach błyszczało przerażenie.

- Chodź ze mną, Raymondzie - powiedziała siostra łagodnie. - Dostaniesz smaczną jajecznicę. Lubisz jajecznicę? - Raymond ze zdwojoną energią zaczął ssać palec.

- Nie zjadaj paluszka, dziecino - uśmiechnęła się zakonnica. - Dam ci coś smaczniejszego do zjedzenia.

- On nie rozumie po angielsku - powiedziałam, nadal trzymając na ręku śpiące maleństwo.

Matka przełożona skinęła ze zrozumieniem głową.

- Mamy tu siostry, które znają hiszpański. Szybko się oswoi.

- Musi iść do toalety - dodałam.

Matka przełożona uśmiechnęła się, stukając długopisem w blat biurka.

- To rutynowe postępowanie. Toaleta, mycie rąk i buzi, lekka kolacja i do łóżka. Wszystko będzie dobrze.

Raymondowi łzy spływały po policzkach, ale nie pisnął nawet słowa.

Uchwycił się długiej powiewnej szaty zakonnicy, ona zaś wyciągnęła ręce po niemowlę. Wstałam, patrząc na malutką bezbronną twarzyczkę.

- Ona śpi, siostro. Spała przez cały czas.

72

Trzymałam ją wciąż w ramionach, a siostra cierpliwie czekała.

May zerwała się nagle z krzesła i wyszarpnąwszy maleństwo z moich objęć, podała je zakonnicy. Gwałtowny wstrząs obudził dziecko, które zachłysnęło się z przerażenia i zaczęło rozpaczliwie płakać.

- Ruszaj się, Uhnak, to nie twoje dziecko, a my nie mamy całej nocy do stracenia!

Mogłabym ją w tej chwili zabić. W tym cichym, spokojnym miejscu, założonym i prowadzonym z absolutnym oddaniem, poczułam większe pragnienie, niżbym kiedykolwiek u siebie podejrzewała, by użyć siły fizycznej. Nie odpowiedziałam jej, nie słyszałam nawet, jak matka przełożona zegnała się z nami.

Gdy wróciłyśmy do samochodu, usiadłam na tylnym siedzeniu. Kierowca obejrzał się na mnie przez ramię.

- Jest mnóstwo miejsca z przodu - zauważył. Pokręciłam głową. Wzruszył ramionami i uruchomił

silnik. May rozmawiała z nim. Zastanawiali się, czy pojechać do Chinatown na chop suey, czy do włoskiej restauracji. W końcu zdecydowali się na włoską restaurację. Usiadłam z nimi przy stole, słuchając, jak czytają na głos menu, oceniając danie po daniu, wybierają dobre czerwone wino, spoglądając na zegarki, by sprawdzić, ile mamy czasu. Kierowca przeprosił nas i poszedł zatelefonować, a May popchnęła kartę w moją stronę. Odepchnęłam ją niegrzecznie. Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem.

May westchnęła głęboko i odłożyła kartę, wygładzając ją dłonią.

- Dobra - powiedziała niskim, poirytowanym głosem. - To naprawdę cholernie trudne. Cała noc, cała sytuacja, wszystko. Ja też tam byłam, pamiętasz? - spytała oskar-życielskim tonem przez zaciśnięte zęby.

- Doprawdy?

Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiało jakieś uczucie, oznaki życia.

- Och, tak, Dorothy, Byłam tam również. Przez cały czas. Ale jest pewna ogromna różnica. Widzisz, nauczyłam się pewnej sztuczki. Proszę bardzo, skorzystaj z mojego rozległego doświadczenia starszej rangą. Bardzo prosta sztuczka. Spróbuj ją zastosować. Tylko jedno - nigdy nie patrz im w oczy. Nigdy nie patrz im prosto w twarz.

- Spojrzała na swoje dłonie, rozprostowała palce, po czym przeniosła spojrzenie z powrotem na mnie. - Widzisz, w ten sposób nie będzie cię potem nękać ich wspomnienie. Nie będziesz pamiętała, jak wyglądają, więc zapomnisz o nich. Po prostu tak! - Pstryknęła palcami tuż przed moim nosem.

- Głosy łatwo zapomnieć, a słowa nic nie znaczą. Nie patrz im w oczy, a będziesz bezpieczna. A teraz zamówisz coś, czy będziesz siedziała i patrzyła, jak się opychamy?

Zamówiłam ravioli, zjadłam odrobinę i wypiałam dwa kieliszki wina.

Zakreśliło mi się mocno w głowie i to May przypadło w udziale pisanie na maszynie raportu, zanim udałyśmy się do domu.

Gdy wróciłam, Tony prawie spał. Obudziłam go, chcąc mu opowiedzieć o tym, co przeżyłam. Słuchał w milczeniu, rozumiejąc moją potrzebę wyrażenia uczuć słowami, wyrzucenia wszystkiego z siebie, oczyszczenia się.

- Musiałam patrzeć im w oczy - powiedziałam. - Czy to nie głupie... nic na to nie poradzę. Muszę teraz dźwigać ten ciężar.

Tony pocieszał mnie, jak mógł, ale słowa nie miały znaczenia, nie

zapadały głęboko. Znaczenie miało jedynie brzmienie jego głosu, zatroskanego, znużonego, zasmuconego. Nie było to wiele, ale wystarczyło. Nic więcej nie mógł dla mnie zrobić.

74

Nazajutrz miałam wolny dzień i poszliśmy do przyjaciół na spotkanie towarzyskie. Gospodarz, tryskający entuzjazmem i energią, nasz wieloletni przyjaciel, przedstawił nas jeszcze jednemu małżeństwu, którego wcześniej nie znaleźliśmy.

- I ostrzegam was - rzekł do nich z uśmiechem - Dotty jest prawdziwą, rzetelną policjantką - nosi broń i tak dalej!

Kobieta postąpiła naprzód, żądna nowych wrażeń, chcąc usłyszeć podniecające historie.

Mężczyzna, około trzydziestki, zadbany, elegancko ubrany, typ naukowca, uśmiechnął się szeroko z miną człowieka dobrze poinformowanego. Miał na imię Marty.

- Posłuchajcie - rzeki, unosząc brwi - ja znam gliniarzy. Wiem o was, gliniarzach, wszystko!

Tony przesłał mi pełne współczucia spojrzenie.

- Doprawdy? - spytałam lodowatym tonem. - Nie, Marty, nie masz o nas zielonego pojęcia.

I stałam się bardzo uciążliwym gościem - milczącym, niekomunikatywnym, ku konsternacji mojego gospodarza, albowiem najwyraźniej zapowiedział mnie jako świetną gawędziarę.

A ja nie opowiedziałam im nic.

Będę służyć prawu; będę służyć ludziom

Podczas moich kilku pierwszych miesięcy pracy w policji byłam niemal

całkowicie odsunięta od głównych jej zadań: zapobieganiu przestępstwom, wykrywaniu i ujmowaniu przestępców. Widziałam zatrzymanych, gdy byli w areszcie, nie brałam jednak udziału w tym, co uważałam za prawdziwą pracę policji. Gdy więc przydzielono mnie do pracy z detektywem w Bronksie, byłam nie tylko pełna oczekiwań, ale i obaw.

Bill Bayreuth był wysokim, tyczkowatym mężczyzną, mówiącym monosylabami, o twarzy tak pomarszczonej i poczerwieniałej jak stara, dawno temu wyprawiona skóra. Przypominał z wyglądu kowboja i chodzi! zgarbiony, stawiając długie kroki, jak gdyby jego stopy nie lubiły zetknięcia z chodnikiem i szukały gładkiej powierzchni. Był typem człowieka, który nie odzywa się, jeśli nie ma czegoś do powiedzenia, a ponieważ nie miał nic do powiedzenia, przeważnie milczał. Gdy stawiliśmy się na spotkaniu z grupą licealistek przed głównym wejściem do żeńskiej szkoły w Bronksie, za pomocą kilku gestów i krótkich mruknięć poinformował mnie, gdzie będzie,

76

jakimi znakami mamy się porozumiewać i jakie będą nasze kolejne kroki. Stałam z grupką pięciu dziewcząt. Za moich czasów licealnych nosiłyśmy mokasyny i białe skarpetki, używałyśmy niewielkiej ilości szminki. Wyglądałyśmy schludnie, świeżo, a po pierwsze młodo. Te dziewczyny miały po szesnaście lat. Wszystkie były bardzo podobne do siebie pod względem ubrania, uczesania, makijażu. Długie nata-pirowane grzywki były kunsztownie ułożone w taki sposób, by dotykały pokrytych jasnym cieniem i umalowanych grubo kredką powiek. Wargi miały blade od jasnej szminki i wszystkie wyglądały mizernie, jak gdyby cierpiały na gruźlicę. Ubrane były elegancko, na nogach nosiły czółenka na średnim obcasie, ale

ich zachowanie przeczyło pozornemu wyrobieniu. Na ich buziach malowało się ożywienie, rozmawiały, wybuchając co chwilę chichotem niebezpiecznie zbliżonym do hysterii. Słuchając ich głosów, westchnień i słów, czułam się dziwnie stara, chociaż nie dzieliła nas duża różnica wieku. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że szesnaście lat to tak młody wiek, i zastanawiałam się, czy ja też tak się zachowywałam, czy piszczalam i wybuchałam nagle idiotycznym, bezsensownym śmiechem, po czym natychmiast robiłam się śmiertelnie poważna.

- Proszę pani, jak pani myśli, pojawi się dzisiaj? Czekwały na odpowiedź w milczeniu, z otwartymi ustami, z oczami utkwionymi w napięciu w mojej twarzy.

- No cóż, poczekamy, zobaczymy. - Byłam pewna, że słowa te zabrzmiały tak, jak gdyby padły z ust ich nauczycieli, starych i mądrych, spokojnych i cierpliwych. - Pamiętajcie, proszę, że nie wolno wam niczego robić.

Zajmiemy się tym z moim partnerem. - To zabrzmiało dobrze: nie ma powodów do zmartwienia.

77

Pokiwały głowami, czerpiąc chyba otuchę z mojego podejścia do sytuacji. Dziewczęta były pod silnym wrażeniem, że wszystko dzieje się „tu i teraz”

- świadome chwili, odczuwały podniecenie, a jednocześnie strach. Ja czułam się dokładnie tak samo jak one, wiedziałam jednak, że nie mogę się zdradzić, ponieważ ich opanowanie było wiernym odbiciem mojego. Całkowicie na mnie polegały. Dziwne, ale nappełniło mnie to pewnością siebie.

- Moja mama była dzisiaj rano wrakiem człowieka - oświadczyła jedna z dziewcząt, zdmuchując kosmyk włosów z ust. - Nie chciała, żebym poszła

dzisiaj do szkoły, ale powiedziałam jej, że muszę.

Inne pokiwały głowami, wyraźnie wszystkie matki miały podobne zdanie. Poprzedniego wieczoru siedzieliśmy długo z matkami i niektórymi ojcami w mieszkaniu jednego z rodziców, lekarza. Wszyscy opisywali, z najwyższym zdenerwowaniem, w jaki sposób ich córki były molestowane przez mężczyznę, na którego teraz czekaliśmy. Wypowiadali się nader gwałtownie, niektórzy ojcowie, siedzący wygodnie przy suto zastawionym ciastami niskim stoliku, zagrozili nawet, że wezmą sprawy w swoje ręce. Zony kładły uspokajającym gestem pięknie wymani-kiurowane dłonie na szerokich męskich ramionach, nawołując do umiarkowania. Bill wyjaśnił, że ich córki będą pod opieką policji, że po ujęciu przez nas zboczeńca zostaną poproszone, by stawily się przed sądem w celu wniesienia skarg, i że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprawca zostanie uznany winnym. Nie muszą się niczego obawiać. Rodzice zgodzili się, żebyśmy spotkali się z dziewczętami przed szkołą, poza tym obiecali wnieść skargę. Mimo to każda matka próbowała dziś rano zatrzymać córkę w domu.

78

Przyglądając się dziewczynkom, domyślałam się, jakie były ich argumenty: „Ależ mam, nie chcę być tą jedyną, której nie puszczono!”. Jedna z dziewcząt, niska, nieco pulchna, pyzata, w ciemnych okularach w rogowej oprawie, zastygła nagle w bezruchu, trzymając sztywno głowę. Jej głos był niski i stanowił dokładną imitację głosu aktorki telewizyjnej, wygłaszającej kwestię, że jej sąsiadka zza ściany używa złego detergentu. - Przyjechał! Widziałam jego samochód, skręcił za róg. Czarnowłosa dziewczyna odgarnęła grzywkę z czoła i zerknęła w tamtą stronę.

- Nie wytrzymam tego! - powiedziała stanowczo.

- Dziewczęta, wiecie, po co tu jesteśmy. Mój partner też go zobaczył. A teraz rozluźnijcie się, proszę.

Czułam ściskanie w gardle, jak gdyby przełyk mi się nagle skurczył. Po drugiej stronie ulicy Bill stał oparty leniwie o latarnię, udając, że czyta gazetę. Nie byłam pewna, czy zauważył, że dałam mu znak.

Irytacja z powodu nagłej nerwowości i hysterii nastolatek, które żywiołowo przeżywały własne podniecenie, pozwoliła mi opanować panikę, ukryć ją głęboko, skoncentrować się na czymś, co odwracało moje myśli od paralizującego mnie napięcia.

Po kilku minutach zobaczyłam, że mężczyzna idzie ulicą w naszą stronę. Zapamiętałam, jak dziewczęta opisywały jego wygląd, i na tej podstawie wytworzyłam sobie własny wizerunek zboczeńca. Byłam pewna, że natychmiast rozpoznam go w tłumie. Przebiegły, w wytartym ubraniu, zwyrodniałe skłonności odcisnęły bez wątpienia piętno na jego fizycznych cechach. Zapewne chodzi zgarbiony, zataczając się, niepewnym krokiem. To wszystko spowija go niczym łatwa do rozpoznania peleryna. Jego

79

rzeczywisty wygląd stanowił dla mnie cenną lekcję. Tak jak mówiły dziewczęta, miał rude włosy, nie był natomiast - jak zeznały, a może, jak sobie wyobraziłam - stereotypowym karykaturalnym potworem. Był to młody człowiek drobnej budowy, średniego wzrostu, w okularach, schludnie ubrany w szare spodnie i szarą marynarkę. Mógłby codziennie rano przynosić ci mleko lub chleb, sprzedawać w sklepie zegarki, prowadzić autobus lub być kuzynem twojego męża. Jego wygląd stanowił dla mnie szok. Był żywym dowodem na to, co usiłowano wpoić rekrutom

w Akademii - przeciętny, szary człowiek o pospolitym wyglądzie może być zdolny do morderstwa, podpalenia, kradzieży, sodomii czy wszelkich innych przestępstw wyszczególnionych w kodeksie karnym.

- Czy któraś z was wybiera się na sobotnią zabawę?

- Wszystkie spojrzały na mnie, jak gdyby mi odbiło.

- Mam cudownego chłopaka, ma na imię Tony. Opowiadałam wam o Tonym?

Niska blondynka wydała z siebie coś w rodzaju jęku, skierowałam więc moje słowa bezpośrednio do niej, przykuwając jej uwagę, ostrzegając ją.

- To najsympatyczniejszy chłopak, jakiego kiedykolwiek znałam, blondyn. To zabawne, ponieważ zawsze byłam przekonana, że wolę brunetów.

- Kiedyś chodziłam z blondynem - powiedziała dziewczyna z długą grzywką. Skłoniła głowę i trajkotała szybko, cieniutkim głosikiem. Byłam jej za to bardzo wdzięczna.

- Niestety, zapomniałam, jak miał na imię, zupełnie nie mogę sobie przypomnieć. - Wybuchnęła nerwowym chichotem.

Podtrzymałam rozmowę, by rozluźnić dziewczęta, zdając sobie sprawę z ich uczuć i w pełni je dzielając.

Rudowłosa mężczyzna oparł się o płot, jakieś cztery metry od nas.

80

- O Boże! - powiedziała blondynka z przerażeniem w oczach. - Nie wytrzymam tego!

- Tony nie jest zbyt wysoki, ale ma niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe, łagodny, głęboki głos...

Blondynka jęknęła znowu.

- Nabrał podejrzeń - powiedziała głośnym szeptem.

- Zawsze się wycofujemy, gdy nadchodzi. Wie, że coś jest nie tak, doskonale wie.

- Zachowajcie spokój. Po prostu stójcie tutaj, bądźcie cicho i nie ruszajcie się z miejsca.

Jedna z dziewcząt, stojąca obok, szturchnęła mnie łokciem, tak że omal nie upuściłam sterty podręczników, które trzymałam pod pachą.

- On to robi - syknęła. - Obnaża się.

Zanim zdążyłam zareagować, dziewczęta obejrzały się wszystkie, popatrzyły na niego, potem na mnie i wybuchnęły ni to płaczem, ni to śmiechem. Gdy się odezwałam, mój głos był silniejszy i pewniejszy niż ja sama.

- Odwróćcie się, patrzcie na mnie i rozmawiajcie dalej.

- Posłuchały mnie, wdzięczne za to polecenie, ja zaś przeczesalam dłonią włosy, nie spoglądając przed siebie, ponieważ mężczyzna znajdował się dokładnie na linii mojego wzroku. - Mój partner przechodzi właśnie przez ulicę. Nie, wszystkie patrzcie na mnie, nie odwracajcie się, głuptasy, bo facet ucieknie. Stójcie tylko i nic nie róbcie.

- Widziałam, jak Bill podchodzi i odwraca mężczyznę ku sobie, chwytając go za ramię. - Dobrze, dziewczęta, już po wszystkim. Chcę, żebyście podeszły teraz ze mną do niego i zidentyfikowały go.

Ujęłam blondynkę pod rękę, pozostałe dziewczęta niechętnie podążyły za nami. Bill, lekko pochylony, przyciskał rudzielca do płotu. Mężczyzna miał już zamek

81

błyskawiczny zapięty. Dziewczęta zerkały na niego kolejno, szepcząc: „tak”, po czym odchodziły.

- Teraz spiszemy go w komisariacie za obnażanie się w miejscu publicznym, a wieczorem zadzwonię do was wszystkich i powiadomię was, kiedy macie się stawić z matkami w sądzie. Dobrze?

Wszystkie pokiwały twierdząco głowami z wyraźną ulgą, nie mogąc się doczekać, kiedy je zwolnię, po czym odeszły całą grupą. Najpierw w absolutnym milczeniu, w końcu trajkocąc histerycznie i oglądając się na nas przez ramię, popędziły, by podzielić się podniecającymi wiadomościami z innymi koleżankami.

Ręka mi drżała, gdy zapalałam papierosa. Podeszłam do zatrzymanego. Twarz miał bez wyrazu, mrugał powiekami za brudnymi szklami okularów bez oprawek. Miał nieduży okrągły nos i rumiane policzki. Oczy i usta otaczała siateczka drobnych zmarszczek, skóra była jednocześnie gładka i zmięta. Ręce zwisały mu bezwładnie po bokach. Nie wydawał się ani zdenerwowany, ani arogancki, ani zmartwiony. Sprawiał raczej wrażenie kogoś pogrążonego w rodzaju transu, nieobecnego, zapatrzonego w jakiś odległy punkt, w innym czasie, w innym miejscu. Bill go przesłuchiwał, on zaś odpowiadał monosylabami, tępo, ledwie dosłyszalnie.

- Ta młoda dama jest funkcjonariuszem policji. Czy wiedziałeś o tym, gdy obnażałeś się przed nią i innymi dziewczętami?

Mężczyzna zamrugał kilka razy rytmicznie powiekami.

- Nie, wcale się nie obnażałem.

- Aresztujemy cię pod zarzutem obnażania się w miejscu publicznym - powiedziałam, nie mając pewności, czy powinnam w ogóle się odzywać.

- Nie - powiedział, nie zdradzając żadnych uczuć.

82

- Kręcisz się często wokół tej szkoły, prawda? Spojrzał obojętnie na Billa.

- Nie.

- Mówiłeś sporo naprawdę nieprzyzwoitych rzeczy tamtym dziewczynkom, prawda? I zachowywałeś się obrzydliwie?

Stał zwrócony twarzą w stronę Billa, ale sprawiał wrażenie, jak gdyby wpatrywał się w coś poza nim.

- Nie - odparł. W jego ustach było to słowo bez znaczenia.

- No, cóż, one twierdzą, że tak było. Powiedziały nam, że ich dotykałeś i robiłeś im różne rzeczy.

Mężczyzna milczał przez chwilę, po czym rzekł z dumą, jak dziecko:

- Mój brat jest gliniarzem.

Bill zeszywniał cały na te słowa. Zmrużył oczy i spytał z papierosem zwisającym mu z dolnej wargi:

- Tak? A gdzie pracuje? Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony.

- W Nowym Jorku.

- Jasne. W Nowym Jorku. A w którym komisariacie?

- Mój brat jest gliniarzem - powtórzył z uporem.

- Świetnie - powiedział Bill. - Teraz pokażesz mi swój dowód osobisty i pojedziemy na policję.

- Zobaczymy się z moim bratem? Jest gliniarzem.

W komisariacie sporządziliśmy protokół zatrzymania. Nasz aresztowany nazywał się Phillip Rettick. Miał trzydzieści jeden lat, był kawalerem, mieszkał z matką, pracował jako urzędnik.

I, jak twierdził, jego brat jest gliniarzem.

Bill powtórzył jego słowa dyżurnemu porucznikowi.

- Guzik mnie obchodzi, czy jego wuj jest burmistrzem - rzekł porucznik Schwartz. - Przymykamy łachmytę.

- Po czym dodał, zniżając głos: - Zwłaszcza biorąc pod uwagę, kto składa skargę. Jeden z ojców jest prawnikiem. Wczoraj zrobił dziką awanturę przez telefon.

Rudzielec był spokojnym, chętnym do współpracy are-sztantem, odzywał się tylko wówczas, gdy go o coś pytano, kręcąc głową, gdy wysuwano przeciwko niemu oskarżenia. Wydawał się zagubiony i zakłopotany. Gdy wsiadaliśmy do wozu patrolowego z zamiarem udania się do komendy głównej policji w celu zrobienia zdjęć, a następnie do sądu, zatrzymał się i spojrzał na zegarek.

- Spóźnię się - powiedział.

- Dokąd?

- Do pracy. Muszę tam być o czwartej.

- Tak, jasne - mruknął Bill, popychając go do samochodu.

W sądzie Rettick został postawiony w stan oskarżenia, a Bill przedstawił sprawę zastępcy prokuratora okręgowego, niskiemu, jasnowłosemu mężczyźnie w okularach w jasnobrazowych oprawkach, zjeżdżających mu na czubek nosa.

- Mamy jeszcze pięć skarg złożonych przez nastolatki. Jutro chcę go zaaresztować ponownie za obnażanie się w miejscu publicznym i zwykłe naruszenie nietykalności osobistej. Ten włóczęga kręci się w pobliżu szkoły od tygodni. Dziewczynki w końcu odważyły się powiedzieć o tym rodzicom.

- Dobrze - skinął głową prokurator, zaglądając już do dokumentów kolejnego oskarżonego - poprosimy o odroczenie sprawy do jutra. Proszę,

żeby dziewczęta stawiły się z rodzicami.

Została wyznaczona kaucja w wysokości tysiąca dolarów. Rettick, wodząc po sali nieobecny wzrokiem, nie odezwał się ani słowem. Poszedł posłusznie z Billem,

84

a następnie z urzędnikiem sądowym, który zaprowadził go do celi. Bill przyniósł z powrotem nakaz aresztowania i sędzia podpisał go. Bill pokazał mi gestem, że mam na niego czekać w sali sądowej, po czym zniknął w areszcie.

Usiadłam w ostatniej ławce, przyglądając się wysokiemu sufitowi i ciemnej boazerii. Sala przypominała ogromną, głuchą pieczarę, nietrudno było zrozumieć smutek na twarzach przyjaciół i krewnych czekających na pojawienie się różnych aresztantów. Oficjalne odczytanie wnoszonych oskarżeń cechowała zimna anonimowość. Znaczenie miały jedynie nazwiska, i to tylko bezpośrednio zainteresowanych. Głos urzędnika był stłumiony i niewyraźny, słyszałam pierwsze słowa i nic poza tym.

Aresztant stawał przed sędzią. Jego krewni starali się zrozumieć cokolwiek z odczytywanych dokumentów, chwyтали aresztowanego za ramię, piorunowali go wzrokiem, coś mu szeptali na ucho, łkali cicho lub głośno szlochali. Oskarżenia natomiast były odczytywane śpiewnym głosem i wszystkie brzmiały tak samo, mimo że dotyczyły różnych koszmarnych zbrodni. Prokurator okręgowy spoglądał znad papierów, mówiąc coś.

Ława sędziowska wymieniała uwagi ze stenografistką. Adwokat wygłaszał mowę albo wyznaczano obrońcę z urzędu. Bliska osoba, zwykle żona, wstawiała, szukając twarzy, do której mogłaby się zwrócić, wówczas obrońca ujmował ją pod ramię albo urzędnik sądowy podpowiadał jej, by

się cofnęła. Jej cały świat zamykał się w tej chwili w tej ogromnej pieczarze, sali, wypełnionej obcymi, którzy dźwigali własne brzemie, unikali spojrzeń innych ludzi, nie mieli ochoty dzielić czyichś tragedii, zakłopotania czy obaw. Spuściłam wzrok, gdy starsza kobieta, czyjaś matka, w brudnym, zbyt dużym niebieskim płaszczu i grubej jaskrawej chuście, szła niepewnie szerokim przejściem, wodząc spojrzeniem po twarzach i sprawdzając, czy idzie w dobrym kierunku.

85

Gdy Bill wyszedł wreszcie z zabezpieczonego siatką pomieszczenia prowadzącego do aresztu, usta miał zaciśnięte, zmarszczki na twarzy stały się bardziej widoczne.

- Wyjdźmy stąd, porozmawiamy na zewnątrz. Wyszliśmy do ogromnego marmurowego holu, gdzie stały grupki zmartwionych ludzi, pogrążonych w rozmowie. Prawnicy instruowali bliskich załamania krewnych, chłonących z nadzieją każde słowo i gest.

- O Chryste - powiedział Bill - właśnie mi powiedział, że jego brat jest kapitanem policji.

- To prawda?

- Skąd mam wiedzieć? Ten facet jest naprawdę stuknięty. Zachowuje się, jak gdyby nie kontaktował. Trzeba na takich uważać. W każdej chwili mogą stracić głowę. Dobrze, że się go pozbyliśmy.

Wróciliśmy do komisariatu, by zdać sprawozdanie oficerowi dyżurnemu.

Wykręciłam pierwszy numer z listy, na której znajdowały się nazwiska dziewcząt. Było to mieszkanie córki lekarza, u którego spotkali się rodzice wczorajszego wieczora.

Głos pani Smali był grzeczny i ładnie modulowany, mówiła miło, z wdziękiem, który miał podkreślać jej pozycję jako żony lekarza.

Zapamiętałam ją z wczorajszego spotkania - miała ostre rysy, błyszczące oczy, jasną karnację, była drobnej kości, proste ciemne włosy szeszy-wała gładko do tyłu w wymyślny kok.

- Owszem, pani Uhnak, Joannę opowiedziała nam o tym. Nie wyobraża pani sobie, jaką ulgę wszyscy odczuwamy. Wykonaliście państwo kawał wspaniałej roboty, jesteśmy ogromnie wdzięczni za sposób, w jaki zostało to przeprowadzone. Mam na myśli ochronę naszych dziewczynek.

- No cóż, to nasza praca. Chcielibyśmy teraz, żeby Joannę i pozostałe dziewczęta wraz z matkami spotkały

86

się z nami jutro rano o dziewiątej trzydzieści w biurze skarg. Mieści się ono na drugim piętrze w budynku sądu karnego przy Centre Street 100 i...

- Oczywiście - przerwał mi uprzejmy głos - naszą główną troską jest dobro dziewcząt, to rzecz naturalna. Z ogromną ulgą powitaliśmy wszyscy wiadomość, że ten mężczyzna znalazł się za kratkami. Zdaje sobie pani, rzecz jasna, sprawę, że dziewczynki są bardzo wrażliwe - taki wiek...

- Oczywiście, że tak. Będziemy czekali na państwa w biurze skarg przed wpół do dziesiątej, cała procedura jest niezwykle prosta...

- Chodzi nam przede wszystkim o dziewczęta - powtórzył głos w słuchawce. - Właśnie dlatego jesteśmy tak ogromnie wdzięczni i wiem, że zrozumiecie.

Zapadła chwilowa cisza.

- Co mamy zrozumieć, pani Smali? - spytałam cicho, nie chcąc przyznać, że doskonale wiem, co ma na myśli, wiem już od chwili, gdy jej wytworny

głos zabrzmiał w moim uchu.

- To oczywiste, że nie chcemy narażać naszych córek na coś, co mogłoby im wyrządzić krzywdę. Uważamy wszyscy - ja, doktor Smali i pozostali rodzice - że dziewczęta zostały już narażone na wystarczającą ohydę. Naprawdę wydaje nam się, że poddawać je w tej chwili procedurze sądowej...

Jej dość stanowcze słowa przytłoczyły mnie, poczułam znużenie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam wyczerpana i zmęczona, nie tylko fizycznie, lecz również psychicznie. Uczyniłam wysiłek, by się pobudzić, otrząsnąć z marazmu, stawiając jej czoło.

- Co ma pani na myśli, pani Smali? Nie bardzo rozumiem - powiedziałam głośniej, zimnym tonem.

87

Bill przerwał pisanie raportu i popatrzył na mnie przez zmrużone oczy, wydmuchując kłęby dymu papierosowego. Słuchając mnie, domyślił się wszystkiego z mojej miny.

Głos w słuchawce nabrał nieco ostrzejszych tonów, brzmiało w nim coś w rodzaju ostrzeżenia.

- Jestem pewna, że potrafi pani zrozumieć, iż nie chcemy pozwolić na to, by nasze córki stały się w sądzie w charakterze powódek. Czujemy się całkowicie usatysfakcjonowani faktem zatrzymania tamtego mężczyzny i umieszczenia go w areszcie. Jeśli o nas idzie, rezultaty państwa działania ogromnie nas cieszą. Doktor Smali zamierza nawet napisać list do komisarza policji, z wyrazami uznania dla pani oraz pani partnera za wspaniałą współpracę i błyskawiczną akcję. Jestem pewna, że przyda się to państwu.

- Pani Smali, sprawa nie została jeszcze zakończona. - Bill pocierał twarz dużą dłonią, mierzwiąc brwi. - Zaaresztowaliśmy dzisiaj tego mężczyznę za obnażanie się w miejscu publicznym, jeśli jednak nie złożycie państwo skargi, sprawa może zostać oddalona.

Pani Smali była teraz bardzo stanowcza.

- Tak, rozumiem. Ale on obnażył się przed panią. Żadna z dziewczynek nie widziała tego dzisiaj.

- Jasne, że widziały, przecież stały ze mną. Wszystkie widziały.

- Nie, moja droga - powiedziała pani Smali nie znoszącym sprzeciwu tonem - nic podobnego. Uważamy, wszyscy rodzice uważają - i muszę powiedzieć, że trzy matki są w tej chwili ze mną - umilkła na chwilę, a ja oczami wyobraźni zobaczyłam owe trzy matki, kiwające posłusznie głowami - że działanie państwa przyniosło odpowiedni efekt. Jesteśmy zadowoleni, że wskutek waszego oskarżenia ten mężczyzna został aresztowany.

88

- Proszę pani...

- Jak już podkreśliłam, nie chcemy narażać córek na dalsze przykre przeżycia. Naszym zdaniem postępowanie sądowe będzie szkodliwe dla ich zdrowia psychicznego, są takie wrażliwe.

- Czy nie sądzi pani, że wywarłoby na nich bardzo silne i pozytywne wrażenie, gdyby stawiły się w sądzie i przekonały się naocznie, że mężczyzna, który je molestował i obnażał się przed nimi przez kilka tygodni, został aresztowany natychmiast po zgłoszeniu tego faktu policji? Zrozumiałyby, że w każdym podobnym wypadku powinny zwracać się o pomoc do funkcjonariuszy policji. - Zignorowałam nieme sygnały Billa,

jego minę pełną rezygnacji i obrzydzenia. - Czy według pani nie są na tyle dorosłe, by upewnić się, że mogą liczyć na ochronę policji i sądu?

- Nie zamierzam dyskutować z panią - zauważyła rzeczowo i jednocześnie surowo pani Smali.

- Wczoraj wieczorem, gdy detektyw Bayreuth i ja rozmawialiśmy z państwem...

- Po państwa wyjściu rozmawialiśmy jeszcze dłużej o tej sprawie. Doktor Smali - wymówiła to święte nazwisko z dumą żony eksperta, przemawiającej wobec audytorium żon ostatnich mężów - zwrócił nam uwagę na ewentualną krzywdę, jaką może wyrządzić dziewczętom składanie zeznań przed sądem, i wszyscy postanowiliśmy zgodnie, że pozwolimy, by policja sama zajęła się tą sprawą. Przecież w końcu jest to wasza praca! - dodała ostrym tonem.

- Tak, to nasza praca.

- No właśnie! - Tym razem głos pani Smali brzmiał znów radośnie. - Chcemy jeszcze raz pani podziękować. Proszę mi wierzyć, moja droga, pewnego dnia, gdy sama zostanie pani matką, zrozumie pani nasze uczucia.

89

- Tak - mruknęłam, nie odpowiadając bynajmniej na przemądrzałe słowa, po których nastąpił cichy trzask odkładanej słuchawki. - Cholera! Niech to diabli wezmą! „Doktor Smali mówi, doktor Smali uważa”! - wybuchnęłam, przedrzeźniając chłodny, wyniosły głos.

- Chyba spodziewałem się tego od samego początku. Powinniśmy byli z miejsca zaciągnąć te dziewczyny do komisariatu. - Bill zgasił zaślinionego papierosa i natychmiast zapalił następnego. Jego twarz miała beznamiętny

wyraz, przyglądał mi się, nie reagując na mój gniew.

Bill Bayreuth zadzwonił do mnie do domu po dziesiątej wieczorem, zaskakując mnie ogromnie.

- Posłuchaj, Dot, Rettick naprawdę ma brata gliniarza.

- I co z tego?

- A to, że jest kapitanem - odparł Bill ostrym, napiętym tonem. - Kapitan Rettick, członek oddziału komisarza do poufnych zadań.

Zamknęłam oczy, widząc nijakiego rudzielca o twarzy bez wyrazu, powtarzającego jak dziecko: „Mój brat jest gliniarzem. Mój brat jest gliniarzem”.

- Mamy stawić się na spotkanie z kapitanem Retti-ckiem. Jutro. Mamy się spotkać w kafejce, znasz tę brudną dziurę na rogu, niedaleko sądu, prawda? O dziewiątej. Sierżant Gerrity zadzwonił do mnie dziesięć minut temu. Teraz idę napić się trochę mleka na mój wrzód. Do zobaczenia rano. Gdy dotarłam na miejsce, Bill pił już drugą filiżankę kawy. Kelnerka przyniosła mi herbatę w grubej, wyszczerbionej, niegdyś białej filiżance. Torebka herbaty ekspresowej zwisała po jej jednej stronie. Wlałam do herbaty łyżeczkę wodnistego mleka i upiłam łyk letniego płynu. Gdy odstawiałam filiżankę na ciężki, nadbity spodeczek, do naszego stolika zbliżył się wysoki rudowłosy mężczyz-

90

na. Uśmiechnął się szeroko, na co Bill natychmiast zaczął się podnosić.

- Bayreuth? - spytał rudy, po czym nakazał Billowi gestem ręki, by usiadł.

- I funkcjonariuszka Uhnak?

Usiadł na krześle obok Billa. Był wysokim rumianym mężczyzną o jasnozielonych oczach, kącik ust drgał mu ledwie dostrzegalnie. Brata

przypominał jedynie z koloru włosów. Był dobrze zbudowany, miał inteligentną, ożywioną twarz. Ubrany był w świetnie skrojony ciemnobrązowy garnitur, oślepiająco białą koszulę i drogi ciemny krawat z małą złotą spinką, stanowiącą replikę jego odznaki. Gdy wyciągnął rękę po papierosa, którym poczęstował go Bill, zauważyłam, że ma długie, wąskie dłonie. Pod białą skórą pokrytą zlocistorudymi włoskami widoczne były błękitne żyłki.

- Dziękuję. Och, panienko, czy mógłbym dostać trochę kawy? Poproszę czarną. - Rozejrzał się po kafejce, jak gdyby nigdy przedtem nie był w żadnej kawiarni, przyglądał się tapecie, oświetleniu, blatowi stolika. Jego piękne oczy, ocienione długimi gęstymi rzęsami, błędnymi z zainteresowaniem po sali. Mogłoby się здаwać, że zapomniał, po co tu przyszedł, albo że postanowił nie poruszać tej sprawy. Wreszcie zatrzymał wzrok na mnie.

- Cóż, po pierwsze chciałbym powiedzieć, że jestem nieprawdopodobnie zaskoczony i wstrząśnięty. - Pokręcił lekko głową, utkwiwszy spojrzenie w papierosie, który obracał w palcach. - Jestem pewien, że potraficie zrozumieć moje uczucia w tej całej sprawie. Mam na myśli mojego brata. Uniósł swe kształtne łukowate brwi, a ja zauważyłam nikłe piegi na jego czole. Bayreuth wpatrywał się bez słowa w maleńką lśniącą kałużę kawy tuż obok swego mankietu.

91

- Czy mogłaby pani opowiedzieć mi, co się wydarzyło wczoraj? Wszystko po kolei, od chwili gdy przyjechaliście pod szkołę.

Opowiedziałam mu o okolicznościach aresztowania jego brata. Kapitan przerywał mi kilka razy, zadając rzeczowe, fachowe pytania dotyczące

szczegółów. Potem zapadła cisza, kapitan zdawał się rozważać to, co usłyszał.

- Jest jedna ważna rzecz, o której panu kapitanowi nie powiedziałam.

Bill spiorunował mnie wzrokiem, kopiąc mnie jednocześnie w kostkę, ale było za późno. Kapitan podjął jednak błyskawicznie temat, nie dlatego, że zobaczył minę Billa, lecz że wyczuł jego sygnał. Gdy odwrócił twarz w stronę mego partnera, dostrzegłam lekkie lśnienie złoci-storudawego zarostu na jego policzku.

- Ty mi powiesz, Bayreuth, muszę znać wszystkie szczegóły, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Rozumiesz, że moją główną troską jest mój brat. Zeby mu pomóc, muszę znać dokładnie całą sytuację.

Bill wpatrywał się w połyskującą kroplę kawy, jak gdyby to było żywe stworzenie, które czai się, by mu wskoczyć na rękaw. Wymamrotał szybko, że od kilku tygodni pięć dziewcząt było niepokojonych i molestowanych przez jego brata.

Kapitan Rettick zgasił papierosa o brzeg filiżanki i popatrzył z niesmakiem na efekt tego, co zrobił, jak gdyby popełnił jakieś faux pas. Przygryzł w zamyśleniu wargę, następnie wysunął do przodu brodę.

- Mój Boże, nie miałem pojęcia, że z tym chłopakiem jest aż tak źle. Od pewnego czasu wiedziałem, że coś jest nie w porządku - od jego powrotu ze służby w Korei. Mój młodszy brat nie był nigdy, jak to się mówi, orłem, ale to dobry chłopiec. Nie sprawił wam żadnego kłopotu, prawda?

92

- Nie - odpowiedział szybko Bill - nie, panie kapitanie, był w porządku.

- Tak sądziłem. To miły chłopak, bardzo nieśmiały. Nigdy nie wyrządziłby nikomu krzywdy. Ta cała sprawa z dziewczętami... czy zamierzają wnieść

przeciwko niemu skargę?

- Nie, ich matki im nie pozwolą.

Kapitan zagwizdał cicho z ulgą, słysząc moje słowa.

- Dzięki Bogu i za to. A więc sprawy nie wyglądają bardzo źle, prawda? -

Kapitan uśmiechnął się szeroko, ukazując białe równe zęby. - A zatem da się wszystko załatwić.

Kapitan znów się uśmiechnął - był to oślepiający, pewny siebie uśmiech, który rozjaśnił jego przystojną, chłopięco gładką twarz.

- Pani Uhnak, jestem pewien, że potrafi pani zrozumieć moją troskę o brata. Proszę mi wierzyć, gdybym zdawał sobie sprawę, że jest chory, umieściłbym go w szpitalu dla weteranów wojennych. Właśnie to zamierzam uczynić teraz. Mieszka z naszą siedemdziesięcioletnią matką. Muszę ją chronić. Powiem, że brat ma kłopoty z żołądkiem - miewał je w przeszłości. Proszę mi wierzyć, zajmę się nim. Nic podobnego więcej się nie zdarzy.

Kapitan przemawiał z pewnością siebie człowieka nawykłego do przejmowania spraw, wydawania rozkazów. Najwyraźniej się odprężył, ponieważ cały problem został zredukowany do prostego ogłoszenia rozwiązania.

- Co chce pan, żebyśmy zrobili, kapitanie? Patrzył na mnie przez chwilę, po czym spytał Billa:

- Nie widziałeś, jak się obnażył, prawda, Bayreuth. Nie było to pytanie, lecz stanowcze stwierdzenie. Bill skinął głową.

- Dobrze. - Odwrócił się do mnie. - Rozumiem, że jest to pani pierwsze aresztowanie, pani Uhnak.

Świadomość, że zebrał o mnie informacje, sprawdził mnie, wytrąciła mnie z równowagi.

- Tak jest, panie kapitanie.

- W takim razie sprawa jest prosta, proszę mi wierzyć. Zapewnię pani całkowitą ochronę. W pani aktach nie będzie żadnej wzmianki o zwolnieniu, aresztowanie zostanie zaliczone, nie musi się więc pani o nic martwić. - Kapitan miał pewien wdzięk przejawiający się w sposobie, w jaki gestykułował szczupłymi złocistymi dłońmi, w jaki mrużył zielone oczy i zniżał głos, by nadać sprawom właściwy wymiar. Nic się nie stało. Całkowicie panujemy nad sytuacją. Było to wystudiowane, wyćwiczone zachowanie. - Poprosimy o rozprawę sądową tuż przed przerwą na lunch, kiedy nie będzie nikogo poza nami w sądzie. Widzi pani sama, że uprościmy to maksymalnie.

Czekałam, obserwując go bez słowa. Kapitan skinął głową, przyjmując moje milczenie za podporządkowanie się.

- Załatwimy oddalenie sprawy z powodu uzasadnionych wątpliwości. Pani potwierdzi to dobrowolnym pisemnym oświadczeniem złożonym pod przysięgą. Oczywiście, nie będę prosił pani o zmianę zeznania.

Nie potrafiłam modulować głosu tak jak on, słysząc w nim było lekkie drżenie.

- Nie będzie sprawy opartej na domniemaniu faktycznym? Zostanie oddalona?

Kapitan odchylił głowę do tyłu i po raz pierwszy roześmiał się głośno. Był to głęboki, ciepły dźwięk, bardzo młodzieńczy, i ustał równie niespodziewanie, jak się zaczął, ale wokół oczu wciąż pozostały drobne

zmarszczki.

- Cóż, miło mi widzieć, że ktoś skorzystał cokolwiek ze szkolenia prowadzonego w Akademii Policyjnej. Pro-

94

szę się o nic nie martwić. Widzi pani, poczyniliśmy pewne... - Rozłożył ręce. - Prokurator okręgowy rozumie sytuację, a sędzia pokoju jest... można powiedzieć, starym przyjacielem. Prokurator zażąda od pani pisemnego oświadczenia pod przysięgą i to wszystko. Nasz adwokat pokieruje panią podczas zeznań, by usprawiedliwić oddalenie sprawy z powodów uzasadnionej wątpliwości, co ma zostać w aktach. Proste i zgodne z prawem. Proszę tylko słuchać adwokata.

Odchylił się do tyłu, taki pewny siebie i zadowolony, że nim zdążyłam się zastanowić, wyrwały mi się słowa:

- A czy mam wybór?

Usta mu zadrżały, splótnął dłonie, wyginając palce. Po raz pierwszy zobaczył moją twarz, moją, a nie lustrzane odbicie własnego wizerunku, mimo to jednak odpowiedział uprzejmym tonem:

- Czy nie chciałaby pani, żeby potraktowano w taki sam sposób pani brata?

- Ja nie mam brata.

- No cóż, ja mam.

Nie zwracałam uwagi na to, że Bill niemal miażdży mi stopę swoim wielkim butem, tak byłam zafascynowana zmianą koloru oczu Retticka. Ich zieleń wypłowiła nagle, zbladła, oczy wyglądały jak pokryte szklistą glazurą. Policzki mu się zapadły, zacisnął wargi, uderzył lekko w stół zaciśniętą pięścią, tylko raz, zaznaczając, że fakt został stwierdzony, a

sprawa zamknięta. Koniec dyskusji.

Po chwili znów się odprężył, kolor powrócił do jego tęczy, wyciągnął do mnie dłoń przez stół, uścisnął ją silnie, następnie podali sobie ręce z Billem.

- Nie pożałuje pani tego, obiecuję. Proszę tylko zeznawać zgodnie ze wskazówkami prokuratora i adwokata. Wszystko odbędzie się szybko i bezproblemowo.

95

A potem niech pani po prostu o wszystkim zapomni. Ale ja będę pamiętał, proszę mi wierzyć. Mam niezawodną pamięć. - Zabrzmiało to jak groźba, wypowiedziana jednak miłym tonem. - Zyskała pani na zawsze dobrego przyjaciela, a nigdy nie wiadomo, czy pewnego dnia nie okaże się to przydatne.

Dobry przyjaciel uśmiechnął się serdecznie, poklepał Bayreutha po ramieniu i odszedł.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Bill bawił się łyżeczką, nabierając zimną, lurowatą kawę i wylewając ją z powrotem do filiżanki.

- I co?

- Zrobisz to, co ci kazał - powiedział Bill, spoglądając na mnie. - Koniec. Kropka.

Prokurator okręgowy przesłuchiwał mnie krótko. Zażądał wyjaśnień na temat okoliczności aresztowania, starannie unikając jakiegokolwiek wzmianki o obecności nastolatek, po czym zadał kilka pytań na temat odległości. Gdzie znajdował się podsądny? A gdzie ja? Następnie spytał mnie ostrożnie, czy jestem absolutnie pewna tego, co widziałam. Wahałam się jedynie przez ułamek sekundy, po czym odrzekłam lekko drżącym

głosem: „Tak”. Czy ktoś inny również to widział - proszę odpowiedzieć po prostu tak lub nie. Byli tam również „inni ludzie”. Nie potrafię powiedzieć z całą pewnością, co widzieli. Czy podsądny zachowywał się spokojnie? Tak.

Obrońca był sympatycznym mężczyzną, niewysokim, łysym, o krzaczastych brwiach i bujnych wąsach. Zachowywał się wobec mnie bardzo uprzejmie, jego głos brzmiał serdecznie. Czy podsądny zaprzeczył, jakoby się obnażał? Tak. Czy zachowywał się spokojnie, nie sprawiał kłopotu? Tak. Czy przed aresztowaniem powiedział coś do mnie lub zrobił coś w celu zwrócenia mojej uwagi? Może wołał coś, gwizdał, robił jakieś gesty? Nie.

96

Czy jestem pewna, absolutnie pewna - bo przecież zawsze istnieje możliwość pomyłki, człowiek jest tylko człowiekiem - że naprawdę widziałam, jak się obnażył? Siedziałam tam, nie mogąc uwierzyć, że się waham, czekam, aż wreszcie odpowiedziałam cicho, obcym głosem: „Nie, nie sądzę, żeby to była pomyłka - nie, nie, jestem całkiem pewna”.

Obrońca przyglądał wąsy, podziękował i pozwolono mi opuścić miejsce dla świadków.

Zajął je podsądny z twarzą przypominającą maskę - nieruchomą, niczym się nie wyróżniającą. Nie, nie obnażał się. Tak, służył w armii Stanów Zjednoczonych w Korei. Tak otrzymał medal Purple Heart. Tak, jest członkiem szanowanej organizacji weteranów. Tak, mieszka z matką i utrzymuje ją. Tak, pracuje w Poczcie Stanów Zjednoczonych. Nie, nigdy przedtem nie był aresztowany. Nie, nie obnażał się, dziewczyna się myli. Ponieważ prokurator nie zadaje podsądnemu pytań podczas przesłuchania,

Rettickowi polecono opuścić miejsce dla świadków.

Sędzia pokoju, mężczyzna o nalanej twarzy i ziemistej cerze, siwych skroniach i szpakowatych włosach, pochylił się do stenografistki i powiedział do niej cicho:

- Sprawa oddalona - z powodu uzasadnionych wątpliwości.

Następnie podniósł dłoń, dając jej znak, ona zaś skinęła głową i opuściła rękę na kolana.

Przywołał gestem podsądnego, by zbliżył się do ławy, obrońca zaś ujął go za ramię i popchnął do przodu.

- Młody człowieku - rzekł sędzia donośnym, czystym głosem, w którym kipiało oburzenie - trzymaj się z dala od szkół oraz młodych dziewcząt i nie chcę cię więcej widzieć w moim sądzie! Zrozumiałeś?

97

Sędzia nie patrzył na podsądnego, lecz wprost na mnie. Skinął raz głową, niemal niezauważalnie. Tak, to odnosiło się do mnie.

Podsądny stał w milczeniu, zdezorientowany. Nie miał pojęcia, czy jest wolny, czy też powinien coś powiedzieć

- zapewniać o swej niewinności, a może przyznać się do winy. Adwokat nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Wreszcie Rettick wymamrotał, nie wiadomo, czy do sędziego, czy też gdzieś w przestrzeń:

- Tak. Dziękuję.

Gdy przechodził obok nas, utkwiał we mnie na chwilę wzrok, jego bezbarwne oczy badały moją twarz, jak gdyby próbował sobie przypomnieć, gdzie mnie widział, albo ustalić, kim jestem. Siedziałam sztywno, patrząc, jak wychodzi ze swym adwokatem z sali sądowej, potem Bayreuth wstał i my również opuściliśmy w milczeniu salę.

Kapitan czekał na nas na zewnątrz. Z uśmiechem pomachał do nas ręką.
- Świetnie - powiedział - świetnie, pani Uhnak. Może zje pani ze mną lunch? Adwokat zabiera właśnie mojego brata do domu. Zamierzamy jak najszybciej załatwić formalności, by umieścić go w szpitalu dla weteranów. - Położył dłoń na swym płaskim brzuchu. - Naprawdę umieram z głodu, chodźmy gdzieś dalej od centrum, tutejsze lokale to po prostu speluny.

- Nie, dziękuję, kapitanie Rettick. Jakoś straciłam apetyt.

Uśmiech zniknął z ust kapitana, rysy mu stwardniały, co wyglądało znacznie bardziej naturalnie przy jego wydatnych kościach policzkowych, kwadratowej szczęce i zaciętych wargach.

- Powiedziałem pani dzisiaj rano i powtarzam teraz

- proszę o wszystkim zapomnieć. Po prostu zapomnieć!

98

I odszedł, nie oglądając się.

Twarcz Billa nie wyrażała żadnych uczuć - ani współczucia, ani żalu, ani oburzenia, ani gniewu.

- Nie powinnaś była niczego mówić, Dot. To po prostu jedna z tych spraw.

Fatalnie, że zdarzyła się podczas twego pierwszego aresztowania. To naprawdę obrzydliwa sprawa, zapomnij więc o niej, tak jak ci kazał. -

Skrzywił się, przyciskając dłoń do boku - wrzód dał znać o sobie.

Udałam, że nie zauważyłam jego cierpienia.

- Jasne, Bill, jasne.

Jadąc metrem do domu, zastanawiałam się przez cały czas nad rzeczą, która najbardziej mnie zaniepokoiła - nie sama sprawa, sposób, w jaki ją załatwiono, wcale nie. Myślałam o sobie - o chwili wahania na miejscu dla

świadków, o przyjęciu roli, odegraniu jej. Usiłując zajrzeć w głąb siebie, ocenić fakty uczciwie, w pełni, nie wiedziałam, czy było to wahanie zamierzone, czy po prostu tylko wynikające z mojego zdenerwowania, ponieważ po raz pierwszy zeznawałam jako świadek. A może próbowałam odsunąć od siebie fakt, że jestem integralną częścią tego wszystkiego, zostawić sobie furtkę. Czy miałam wybór? Czy mogłam cokolwiek zrobić? Czy po prostu pogodziłam się z tym tak łatwo, tak bardzo łatwo stałam się trybikiem w maszynie? Nie wiedziałam, naprawdę nie wiedziałam, dręczyła mnie jednak niepewność i żal, że wycofałam się z bezsensownej walki.

W cztery dni później, przydzielona ponownie do kobiecego wydziału policji, zastałam na biurku wiadomość, że pani Smali prosi o bezzwłoczny telefon w ważnej sprawie.

Prawdopodobnie chce mi powiedzieć o liście pochwalnym do komisarza. Albo wyjaśnić, czemu go jednak nie napisała. Może doktor Smali uznał, że nie byłoby to właściwe. W końcu to oni płacą mi pensję ze swoich

99

podatków, czy to nie wystarczy? A może chcą, żebym schwytała wściekłego psa, który zaatakował ich francuskiego pudła. Czy nie za to mi płacą? Tak by należało sądzić.

Ton pani Smali był ostrzejszy niż podczas naszej ostatniej rozmowy. Czegoś brakowało, prawdopodobnie towarzyskich uprzejmości. Z trudem chwytiała oddech.

- Bardzo dziękuję, że pani zadzwoniła. Próbowałam bezskutecznie panią złapać. - Jej słowa zabrzmiały z lekka oskarżycielsko, jak gdybym się przed nią ukrywała. - Powiedziano mi w komisariacie, gdzie mam pani

szukać.

- Przepraszam, pani Smali, ale właśnie wychodzę na akcję. Nie chcę być nieuprzejma, ale naprawdę się spieszę.

- Chciałabym dowiedzieć się, co zdarzyło się w sądzie. - Zona doktora najwyraźniej traciła panowanie nad sobą, była zaniepokojona.

- Niewiele, proszę pani. - Odczuwałam okrutną przyjemność, mówiąc jej to. Był to rodzaj zemsty. - Nic, czego nie można byłoby przewidzieć.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - Wiedziała. Teraz wiedziała.

- Sprawa została oddalona - odpowiedziałam rzeczowo. Brzmiało to tak zwyczajnie. - Sędzia pokoju uznał, że istnieje uzasadniona wątpliwość: moje słowo przeciwko słowu podsądnego. Prezentował się w sądzie całkiem przyzwoicie - ogolony, uczesany, wymyty. Absolutnie nie wyglądał na degenerata. Czy mówiła coś pani?

Aż się zachłysnęła, słysząc tę wiadomość, po czym powiedziała szybko, jak gdyby chcąc mi powierzyć sekret, którego nie mogła dłużej ukrywać:

- On wrócił, proszę pani. - Przerwała, czekając być może na moją reakcję na tę niewiarygodną nowinę, ja jednak milczałam jak grób. -

Powiedziałam, że wrócił.

100

Przed szkołę. Dziewczynki go widziały. A wczoraj... obnażył się przed nimi. Są kompletnie przerażone. Pani Uhnak, czy jest tam pani? Słyszysz pani, co mówię?

Pani Smali nigdy nie zrozumiałaby mojego uśmiechu. Coś we mnie narastało, narastało. Uczyłam się. Wszystkiego - o szczerych deklaracjach, oburzeniu poszkodowanych stron, solennych zapewnieniach. Zajmę się nim, to się więcej nie zdarzy. Może być pani pewna. Absolutnie.

Oczywiście, wrócił przed szkołę - a gdzie niby miał być? Oczywiście, obnażył się - a co miał robić? Sama dziwiłam się, że nie jestem ani trochę zaskoczona. Spodziewałam się chyba przez cały czas, że nastąpi taka właśnie rozmowa telefoniczna, nawet w chwili gdy kapitan Rettick zapewniał nas uroczyście i z ogromną szczerością w głosie i spojrzeniu, że roztoczy opiekę nad swoim młodszym bratem, będzie go doglądał, podda odpowiedniemu leczeniu. Oczywiście, że wrócił. Wszyscy do tego doprowadziliśmy, wszyscy braliśmy w tym udział. Ja również, choć niechętnie. Zdawałam sobie teraz z tego jasno sprawę, wiedziałam też jednak, że wiele się nauczyłam, dostałam lekcję, której nigdy nie zapomnę.

- Przykro mi, pani Smali, ale to nie moja sprawa. Radzę, żeby zadzwoniła pani do oficera dyżurnego i opowiedziała mu o wszystkim. Przydzielili kogoś, kto zajmie się pani skargą. Przeszła już pani raz przez to wszystko - dodałam złośliwie. - Zna pani procedurę.

Przemknęła mi przez głowę szalona myśl, żeby dać pani Smali numer telefonu kapitana Retticka. Próbowałam wyobrazić sobie spotkanie tej dwójki. Rzecz jasna, nie zrobiłam tego, albowiem „dobry przyjaciel” stałby się znacznie gorszym wrogiem i bez wątpienia moje nazwisko zostałoby starannie odnotowane w jakiejś małej, pilnie strzeżonej książeczce.

101

W moje myśli wdarł się głos pani Smali - był to pisk pełen beznadziejnego oburzenia.

- Ależ musi nam pani pomóc! Musi go pani aresztować!

Spytaj doktora Smalla, co masz robić, paniusiu.

- Nie, proszę pani - odpowiedziałam uprzejmie, rozkoszując się tą chwilą.

- Już to raz zrobiłam. A co do listu, który zamierzacie państwo napisać do komisarza, to proszę się nie trudzić. Jest mi niepotrzebny. Widzi pani, mam nieocenionego przyjaciela i nie potrzebuję żadnych pochwał.

I odłożyłam słuchawkę, zanim pani Smali zdążyła odpowiedzieć.

Zabiłam dziecko, krew z mojej krwi

Gdy się jest policjantką, od czasu do czasu ma się do czynienia z najpaskudniejszymi zadaniami, jakie można sobie wyobrazić, a mianowicie przydzielają cię na określony czas do tak zwanej „rezerwy umarlaków”. Siedzi się podczas dyżuru w kobiecym wydziale, czekając na wezwanie do jakiejś części miasta, gdzie leżą zwłoki kobiety. W obecności innych funkcjonariuszy przeszukuje się ciało, zdejmuje się biżuterię lub inne przedmioty, które mogą się przy nim znajdować. Owe przedmioty zostają ometkowane, włożone do plastikowych woreczków i są przechowywane w archiwum, dopóki ktoś z krewnych nie złoży prawnie uzasadnionego roszczenia. Taka jest procedura prawna, gdy ktoś umiera poza szpitalem lub pozbawiony opieki lekarza.

Podczas dwóch tygodni pracy byłam dwukrotnie wzywana do przeszukania zwłok kobiet - obie były raczej wiekowe i zmarły we śnie z przyczyn naturalnych. Pierwsza była starą panną, emerytowaną ekspedientką. Miała długie szczupłe białe palce, poznaczone cienkimi sinawymi żyłkami. Leżała w schludnym, olśniewająco białym łóżku, nakryta pod brodę miękkim białym kocem

103

w różowo-zielony wzór z pączków róż. Nie miała żadnej biżuterii, a w pokoju nie było nawet drobinki kurzu, żadnych oznak zapuszczenia. Z miejsca rzucało się w oczy, że była pedantyczną kobietą. Srebrzystosiwe

włosy były zadbane, na wargach pozostał ślad szminki. Nigdy przedtem nie widziałam martwego człowieka i patrząc na uśpioną, pełną godności twarz nieboszczki, próbowałam wprawić się w rodzaj otępienia, delikatnie dotykając jej ciała, jak gdybym obawiała się zakłócić jej wieczny odpoczynek. W pokoju panowała wymowna cisza, przerywał ją tylko z rzadka głos umundurowanego posterunkowego i cichy szept służącej, która znalazła zmarłą. Nie było łez, szlochów i jakiegokolwiek życie prowadziła, odeszła cicho i definitywnie, nie pozostawiając żadnego śladu. Drugą nieboszczką była gruba, pomarszczona kobieta, którą śmierć dopadła ukradkiem. Rodzina zebrała się, czekając przez wiele dni i nocy na jej odejście. Ksiądz przychodził i odchodził, znowu przychodził, ale staruszka czepiała się kurczowo życia, znosząc z wielką determinacją zastrzyki, które robił jej lekarz, i nie zgadzając się, by zabrano ją do szpitala. Rodzina rozjechała się do domów, gdy kobieta zebrała siły i zażądała, by zakończono czuwanie przy łożu śmierci. Opierała się kostusze zawzięcie, walcząc ze snem, nie chcąc zamknąć oczu. Została tylko jedna córka, która kiwała się, drzemała przy łóżku umierającej i nie usłyszała, że śmierć nadeszła w końcu triumfalnie, chwytając matkę za gardło i zmuszając ją do poddania się. Obudziwszy się, córka wpadła w panikę, nie mogąc uwierzyć, że twarda stara kobieta w końcu odeszła. Zaczęła przeraźliwie krzyczeć, chwyciła za telefon, zapomniała jednak numeru brata i poprosiła telefonistkę, by połączyła ją z policją. Zanim przyjechaliśmy, nieduże mieszkanie wypełnił tłum rozpaczających kobiet i szlochających mężczyzn, jak

Jedna z synowych pociągnęła za ramię męża, gdy weszłam do pokoju.

- Kim ona jest? - spytała.

- Policjantka - wyjaśnił sierżant, słysząc jej słowa. - Musi przeszukać ciało.

- Przeszukać ciało? - spytała z wyraźną wściekłością kobieta. - Po co? Mąż próbował ją uspokoić, ona jednak popatrzyła na mnie spod zmrużonych powiek.

- Chcę być przy tym - zażądała. - Matka ma na sobie biżuterię. Nie ruszę się stąd.

Odwrociłam się od niej, widząc w przelocie pogardliwy grymas na twarzy sierżanta, i weszłam do małego, zagraconego pokoju, w którym leżało ciało staruszki. Kobieta miała krótkie i grube palce, paznokcie oblepione jakąś czarną substancją. Na jej lewej ręce znajdowała się wąska złota obrączka oraz pierścionek z dużym żółtawym brylantem. Posterunkowy stanął obok mnie, podsuwając nieduży woreczek z materiału.

- Zdejmij pierścionki i włóż je tutaj. - Po czym spytał uprzejmie: - To twój pierwszy raz?

Palce mi drżały, czułam straszliwą suchość w ustach.

- Nie, drugi. Ale za pierwszym razem nie było żadnej biżuterii. Nie musiałam właściwie nic robić.

- Nie przejmuj się, po prostu chwyć dobrze pierścionek i zapomnij o wszystkim poza nim. - Następnie dodał w odpowiedzi na moją niemą prośbę, wskazując ruchem głowy drugi pokój: - Zrobiłbym to za ciebie, dziecko, ale sierżant jest strasznym służbistą. - Szeptał cicho, dodając mi otuchy: - Palce cię nie ugryzą, dziewczyno. Uchwycić tylko mocno i pociągnij.

Synowa, stojąca po drugiej stronie łóżka, słyszała jedynie dźwięki, nie słowa. Nadstawiła podejrzliwie uszu.

- Co tam szepczecie? I co robicie z pierścionkami? Czemu ona je zdejmuje?

Posterunkowy westchnął cierpliwie.

- Takie są przepisy, proszę pani. Wkładamy wszystko do tego woreczka, po czym pani oraz pani mąż możecie sprawdzić jego zawartość i potwierdzić ją podpisami. Odbierzecie wszystko w komendzie głównej. Żółtawy brylant miał brudny, nieprzyjemny odcień. Starając się nie dotykać ręki nieboszczki, ujęłam pierścionek w dwa palce i pociągnęłam. Nawet nie drgnął. Ciało obrzmiało i palec wyraźnie postanowił zatrzymać pierścionek dla siebie. Twarda staruszka nie zamierzała poddać się bez walki. Spróbowałam jeszcze raz, ale znów bez skutku. Słyszałam głos sierżanta, dobiegający z drugiego pokoju, czułam na sobie wzrok synowej. Wzięłam głęboki oddech, zamknęłam oczy i przytrzymując martwą dłoń lewą ręką, szarpnęłam tak mocno, jak tylko mogłam. Tym razem udało się. Puściłam zeszywniała dłoń, która opadła z powrotem na łóżko. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Ściągnęłam szybko kołdrę w dół i popatrzyłam na okropne stopy o grubych żółtych paznokciach.

- Brak bransoletek na kostkach - powiedziałam z trudem. Posterunkowy uśmiechnął się. Wyglądał na zbyt wiele lat, żeby służyć jeszcze w policji. Zastanawiałam się, czemu nie odszedł na emeryturę ze dwadzieścia lat temu. Miał starą twarz o sympatycznym wyrazie.

- Naprawdę myślałaś, że mogą tam być?

Synowa musiała zająć się małym zasmarkanym chłopczykiem, który zagapił się, wytrzeszczając oczy, na martwą babcię, po czym rzucił się z głośnym płaczem na podłogę. Matka podniosła go z trudem i wyciągnęła z pokoju.

106

Zakreśliło mi się w głowie z powodu gorąca panującego w pokoju, jęków żałobników oraz widoku potężnej bryły kobiecego ciała na łóżku, zawziętego i pełnego urazy, jak gdyby staruszka zamierzała w każdej chwili usiąść prosto i zacząć krzyczeć. Szczeka jej opadła, wargi się wykrzywiły, odsłaniając brudne zęby. Nie mogłam się powstrzymać, by nie patrzeć na nią, ale ręce odmawiały mi posłuszeństwa.

- To wszystko - powiedziałam. Zabraliśmy woreczek do drugiego pokoju. Synowa zostawiła pociągającego nosem synka w fotelu i odepchnęła dwie siostry, żeby przyjrzeć się bacznie pierścionkom. Zapłakane siostry nie patrzyły na woreczek, lecz wlepiły zdumiony wzrok w bratową, która wybuchnęła nagle wrzaskiem:

- Zaraz, zaraz, zaczekajcie! Gdzie są jej bransoletki? Co zrobiliście z jej bransoletkami?

Sierżant podniósł wzrok, miałam wrażenie, że wszyscy w pokoju gapią się na mnie, nawet niechlujny chłopczyk. Kobieta była wściekła, wykrzykiwała piskliwym głosem:

- Nie próbujcie robić ze mnie idiotki! Znam was! Wy, policjanci! Zawsze miała na rękach bransoletki. - Zepchnęła dłoń męża z ramienia. -

Pamiętasz złotą bransoletkę z brylantem i tę drugą, z rubinem? Zawsze mówiła, że to ja je dostanę. Gdzie one są? Gdzie, do diabła, są?

- Monica - uspokajał ją mąż - daj spokój, proszę. Okaż trochę szacunku

zmarłej.

- Tak, matka nie żyje, a ja chcę wiedzieć, gdzie są jej bransoletki! Kogo ja tu widzę? - I zatrzymując spojrzenie na sierżancie, powiedziała: - Pan! Pan jest tu szefem, nie? Moja teściowa zawsze nosiła bransoletki, nawet spała w nich. Są bardzo cenne. Gdzie się podziały?

Rumiana twarz sierżanta poczerwieniała jeszcze bardziej. Odwrócił się wielkim wysiłkiem woli od kobiety i spytał mnie:

107

- Były jakieś bransoletki?

Czułam pulsowanie w skroniach, zimny pot spływał mi po plecach. Nie sprawdziłam rąk kobiety pod szarą koszulą nocną.

- Nie zauważyłam żadnych, sierżancie.

- Wejź tam i sprawdź jeszcze raz - powiedział bardzo cicho.

Nadgarstki nieboszczki, upstrzone piegami i starczymi plamami, wystawały z wymiętych rękawów flanelowej koszuli nocnej. Sierżant przesunął szybko dłońmi po rękach kobiety aż do ramion, zastygł w bezruchu, po czym odwrócił się, czerwony z wściekłości, do mnie.

- Czy sprawdziłaś ręce? - spytał zadziwiająco wysokim jak na tak potężnego mężczyznę głosem. - Przesunęłaś dłońmi wzdłuż jej rąk?

- Nie, panie sierżancie.

- Wobec tego zrób to teraz.

Bransoletki znajdowały się wysoko nad łokciami kobiety - dwa wąskie brązowawozłote kółka, jeden ze zmatowiałym brylantem, drugi z rubinem. Zdjęłam je z rąk kobiety, rozpaczliwie ściskając jej palce, by przeciągnąć bransoletki przez dłonie.

- Teraz rozumiem, jak pracują - skrzywiła się synowa. - Zawieźliby mamę

do kostnicy i podzieliliby się bransoletkami. Zamierzam złożyć na nich doniesienie. Nie każ mi się zamknąć, Frank. Wiem, do czego są zdolni! Przypuszczam, że sierżant nie udzielił mi oficjalnej nagany, ponieważ był oburzony na synową zmarłej. Rzecz jasna, powinien był to zrobić i po powrocie do komisariatu wysłuchałam bez słowa jego obraźliwych uwag, przytakując mu, kiwając głową, z płonącymi z upokorzenia policzkami. Jego gniew minął jednak na wspomnienie synowej i cała sprawa zakończyła się poważnym ostrzeże-

108

niem. Wszyscy popadlibyśmy w poważne tarapaty, gdyby kobieta złożyła na nas oficjalną skargę, ale jej mąż, syn zmarłej, zapewnił sierżanta, że działała pod wpływem zdenerwowania i że nie pozwoli jej na podjęcie dalszych kroków w tej sprawie. Ona jednak uspokoiła się dopiero wówczas, gdy cenne bransoletki trafiły wreszcie do jej rąk.

Przyrzekłam sobie, że podczas mojego trzeciego wezwania będę niezwykle sumienna. Przez całą drogę pod wskazany adres w dolnym East Side, kierowca, posterunkowy przydzielony do „rezerwy umarłaków”, zabawiał mnie opowieściami o najróżniejszych okrwawionych, pozbawionych głów i rąk ludzkich ciałach, które przyszło mu przeszukiwać. O wzdętych ciałach topielców, o potworności samobójstw popełnianych w metrze i o kałużach krwi wokół samobójców, którzy skoczyli z dużej wysokości. Nie mam pojęcia, czy chciał mi w ten sposób udowodnić, że to zwykła rzecz i że trzeba przyzwyczać się do traktowania ludzkich zwłok w sposób naturalny, czy też podtrzymać na duchu, że moja kolejna zmarła zapewne nie wytrzyma porównania z jego przypadkami. Marzyłam tylko o tym, żeby się zamknął i żeby jak najprędzej mogła

wziąć kąpiel. Okropnie cuchnął.

Mieszkanie znajdowało się w domu czynszowym, na ulicy stały przepelnione pojemniki na śmieci. Pokonałam cztery kondygnacje, starając się nie wdychać nieuniknionego smrodu starych, niszczących, wąskich korytarzy i drewnianych schodów. Czułam, jak moje ciało spowija ciężka wilgoć, jak gdybym weszła pod prysznic pary i brudu. Na każdym podeście stali sąsiedzi, gapiąc się w górę i rozmawiając podnieconymi głosami, trącąc się łokciami, gdy ich mijałam. Widząc mój granatowy mundur, rozstępowali się, by zrobić mi przejście, z szacunkiem, a jednocześnie pogardą dla urzędnika, osoby postronnej.

109

Unikałam patrzenia im w oczy, w twarze, ale czułam obecność ich ciał - wielkich, spoconych, wydzielających silne, obrzydliwe zapachy. Drzwi jednego z trzech mieszkań na najwyższym piętrze były otwarte, dobiegał stamtąd gwar męskich głosów. Starłam się oddychać płytko, by nie napęlić siebie tym gęstym fetorem, ale moje płuca rozpaczliwie łaknęły powietrza. Gdy weszłam do pokoju słabo oświetlonego samymi żarówkami, posterunkowy spojrzał na mnie, przywołał mnie gestem i dalej notował coś w swej księdze raportów.

Potężny ciemnowłosa mężczyzna o ciemnych krzaczastych brwiach odwrócił się od zlewu, pod którym siedział w kucki, i skinął głową.

- Porucznik Storenoff - przedstawił się.

- Tak jest, panie poruczniku. Funkcjonariuszka Uhnak z „rezerwy umarlaków”.

- Słucham? - spytał burkliwym tonem, unosząc brwi i przenosząc zdziwiony wzrok na posterunkowego.

- Rany, poruczniku, zadzwoniłem do wydziału i oto kogo nam przysłali. Obaj taksowali mnie wzrokiem i przez chwilę miałam złudną nadzieję, że zostałam tu przysłana przez pomyłkę i zamierzają odesłać mnie z powrotem.

- Nieważne - mruknął w końcu porucznik, po czym kiwnął głową w kierunku zawieszzonego zasłoną wejścia do drugiego pokoju. - Mamy tam kobietę - powiedział.

Ruszyłam w tamtą stronę, on jednak powstrzymał mnie gestem.

- Chwileczkę. Usiądź na chwilę.

Nadal coś notował, rozejrzałam się więc za jakimś krzesłem. Przed budynkiem stał samochód z wydziału zabójstw. Co czekało mnie w drugim pokoju?

110

Skupiając uwagę na pomieszczeniu, w którym się znajdowałam, próbowałam znaleźć jakąś spójność w tym konglomeracie przedmiotów. Wyblakłe różowe ściany, blado-niebieskie sztukaterie. Pośrodku pokoju mały zniszczony stół kuchenny. W jednym rogu pokoju zbytnio wypchany fotel, nakryty czerwonawą tkaniną, ze zwisającymi po bokach grubymi frędzlami, okalającymi również poduszki. W oknach długie sztywne zasłony z pasków kolorowego materiału. Ktoś, kto je szył, nie troszczył się ani trochę, by dopasować je deseniem czy barwami. Między dwoma wąskimi oknami wisiał obraz przedstawiający smutną Najświętszą Pannę o ziemistej twarzy, z grubym, lecącym przez ręce dzieckiem w ramionach. Patrzyła na nie lekko zezowatymi niebieskimi oczami, a ono miało na ustach bezmyślny uśmiech. Pod przeciwległą ścianą stała nieduża kuchenka i lodówka obok poobijanego zlewu. Z kranu kapiała głośno

woda. Pod zlewem leżał brudny koc wojskowy, tuż obok stało krzesło.

Przycupnęłam na jego brzegu.

- Hej, nie siadaj tam! - zawołał porucznik, odwracając się do mnie. -

Chryste, postawiłaś na nim nogę!

Zerwałam się jak oparzona.

- Na kim?

Porucznik zamknął swój notatnik i wsunął go do tylnej kieszeni. Pochylił się ciężko, ponieważ był potężnym mężczyzną, nie grubym, lecz po prostu postawnym, i odsunął koc.

- Tutaj - powiedział. - Spójrz, to dziecko.

Pod zlewem leżało na boku małe, skręcone ciało. Głowa chłopczyka spoczywała w kałuży gęstej krwi. Na głowie i twarzy miał dwie duże rany cięte, na nagich białych ramionach i nogach długie czerwone nabrzmiałe pręgi. Spod jednej, leżącej płasko dłoni wystawało coś w rodzaju szmacianej lalki. Paznokcie u ręki

111

były obgryzione niemal do żywego mięsa, otoczone obwódkami zaschniętej krwi. Z jakiegoś powodu nie potrafiłam oderwać wzroku od tych obgryzionych paznokci. Czułam, jak gdzieś w głębi mnie narasta krzyk, zacisnęłam zęby, by go powstrzymać, wyrwało mi się tylko ciche westchnienie, jak gdybym chciała złapać oddech. Siła wzbierającego w moim gardle krzyku była tak wielka, że miałam wrażenie, iż za chwilę się uduszę.

- Piękny widok, co? - rzekł porucznik, po czym nakrył z powrotem ciało kocem.

- Co się stało? - Nie poznałam własnego głosu.

- Tam jest stara kobieta. Chodź tutaj. Popatrz na nią. Odsunął na bok długą zasłonę. Zajrzałam do drugiego

pokoju i zobaczyłam starą kobietę, pulchną, niedużą, siedzącą na brzegu wysokiego łóżka i kołyszącą się w przód i w tył, w przód i w tył. Jej wykoślawione pantofle leżały na podłodze. Jęczała cicho, obejmując rękami swoje ciało, długie siwe włosy o żółtawym odcieniu opadły jej na twarz. Porucznik Storenoff opuścił z powrotem zasłonę.

- To babka - wyjaśnił. - Twierdzi, że do domu wdarł się jakiś obcy wielki mężczyzna, czarny, i zakatował dziecko na śmierć. Tą miotłą - pokazał palcem - i tą patelnią. Obstaje, że go nigdy przedtem nie widziała.

Jego głos był dziwnie cichy i obojętny, kompletnie bez wyrazu, ton niewiarygodnie rzeczowy. Poszukałam w jego małych czarnych oczach potwierdzenia, że naprawdę w to wierzy - mówił o tym tak spokojnie. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Duża kwadratowa twarz, czarny zarost, potężne szczęki, mięsiste wargi i te okropne ciemne małe oczy. Słuchałam o zabójcach - jego twarz była maską.

- Obcy? - spytałam skonsternowana. - Ale czemu? Dlaczego jakiś obcy człowiek miałby...

112

Umilkłam, albowiem popatrzył na mnie z zimną pogardą.

- Prosiłiśmy, żeby przysłano nam policjantkę z kobiecego wydziału.

Musiało nastąpić jakieś przekłamanie i przysłali cię z rezerwy. Ale skoro już tu jesteś, musi wystarczyć - powiedział, godząc się z losem, następnie polecił posterunkowemu: - Proszę mieć oko na babkę.

Odwiedzimy kilku sąsiadów. - Nakazał mi gestem, żebym szła za nim, nie zaszczycając mnie więcej spojrzeniem.

Sąsiedzi byli skorzy do rozmowy. Kiwając głowami, zapraszali nas do swych domów. Trzy kobiety weszły do jednego mieszkania, tymczasem ich mężowie stali oparci o framugi różnych drzwi. Jeden przysiadł na brzegu zlewu, dokładnie w miejscu, gdzie piętro wyżej leżały zwłoki chłopca. Kobieta zaproponowała kawę. Porucznik wziął od niej filiżankę, ja podziękowałam. Bałam się, że uduszę się powietrzem, płynem i dźwiękami ich głosów.

Sąsiadki zapewniały nas, że staruszka, Angelina Bacardi, miała okropne życie. Smutne, okropne i niewdzięczne, a przecież była taką dobrą kobietą. Czyniąc żarliwie znak krzyża szorstkimi, zaczerwienionymi dłońmi, podnosząc oczy na popękany, obłazący z farby sufit i wymawiając z czcią imię Matki Boskiej, opowiadały nam na wyścigi, że Angelina Bacardi dała życie szóstce dobrych dzieci, a następnie urodziła właśnie tę - Annamarię z czarnymi lokami i błyszczącymi oczami. Ta najmłodsza była ulubienicą ojca. Stary Guido kochał ją, uwielbiał, rozpieszczał, dziecko spłodzone w późnym wieku. Było to jednak niewłaściwe i źle się skończyło.

Trzy kobiety wymieniły spojrzenia, pokiwały głowami, pocmokały z rosnącym podnieceniem językami. Przyglądałam się jednemu z mężów, niewysokiemu, muskularnemu mężczyźnie opartemu o zlew i wiercącemu

113

czubkiem buta w malej dziurce w linoleum. Zdawał się wkładać w tę czynność wiele energii.

- Kim był ten chłopczyk? - zapytał spokojnie porucznik.

Sporokował kolejny potok pogardliwych słów w różnych tonacjach, których nie potrafiłam dokładnie zidentyfikować.

Ta anielsko piękna Annamarię, już gdy miała piętnaście lat, wszyscy w

dzielnicy wiedzieli, kim jest, mała tania dziwka. Wszyscy, z wyjątkiem Guida, ponieważ on nie chciał wiedzieć. Prędzej czy później musiał jednak odkryć tę bolesną prawdę. Tej jednej rzeczy nie da się ukryć. Annamarie urodziła dziecko, diabelskie dziecko, i nawet nie potrafiła powiedzieć, kto jest ojcem. Skąd miałyby wiedzieć, jeśli spała z tuzinem mężczyzn. Gdzie tam z tuzinem, z kopą.

Mężczyzna oparty o zlew zerknął szybko na innego z mężów, który przysiadł na parapecie okna. Tamten, kędzierzawy, śniady, uniósł lekko brodę, zmrużył oczy i przesunął językiem po wydatnej dolnej wardze. Mężczyzna przy zlewie opuścił wzrok na swoje stopy, po czym spojrzał mi prosto w oczy. Policzki mu pociemniały, odwrócił spojrzenie.

Myślałam o pięknej Annamarie, gdy tak opowiadali z pogardą historię smukłej piętnastolatki o czarnych lokach i błyszczących oczach.

Widziałam tych silnych, męskich, pełnych wigoru facetów, siedzących tu, w pokoju, ze swoimi żonami, tymi niemłodymi młodymi kobietami tuż przed lub tuż po czterdziestce, które nie miały w sobie nic olśniewającego. Popatrzyłam na trzeciego męża, opartego o futrynę drzwi i zapalającego nowego papierosa od niedopałka starego. Tak jak obaj jego sąsiedzi był silny, miał zniszczone od pracy dłonie i surowy wyraz ust.

- A chłopiec? - spytał porucznik.

114

Urodziła chłopca, tego małego aniołka, i to zabiło Guida, naprawdę go zabiło, ponieważ dziecko przyszło na świat tutaj, piętro wyżej. Stało się to we wtorek, a w dwa dni później - sześć, tak, sześć lat temu - w czwartek, Guido zmarł na atak serca. Stara kobieta, znękana żalem i hańbą, wysłała dziewczynę z domu w dniu śmierci jej ojca.

- Wysłała? Dokąd? - spytałam tak nieoczekiwanie, że samą mnie to zaskoczyło.

Opowiadająca odwróciła ku mnie surową, przebiegłą twarz, po czym wzruszyła ramionami, rozkładając ręce.

- Jak to dokąd? Na ulicę, tam gdzie było jej miejsce! Porucznik Storenoff utkwiał we mnie spojrzenie swych

małych oczu. Nie otwierając ust, nie zmieniając kamiennego wyrazu twarzy, ostrzegł mnie. Zaciśnęłam wargi i nie powiedziałam nic.

- A dziecko? - zachęcił kobietę do kontynuowania opowieści.

Ach, dziecko było złe i niegrzeczne; od początku ciążyła na nim klątwa.

Nazywano je Niemową, ponieważ nigdy nie wymówiło nawet słowa.

Miało wielką głowę, bynajmniej nie z powodu dużej inteligencji, chwiejącą się, opadającą z boku na bok. Nigdy nie nadano mu imienia, przynajmniej nikt o tym nie słyszał, zawsze nazywano je Niemową.

Zastanawiałam się, która kobieta jest żoną którego mężczyzny, próbowałam dobrać ich parami. Wszystkie jednak były niesamowicie podobne - bezkształtne, szare, o ciężkich, niemytych włosach, spiętych wsuwkami za uszami, dużych twarzach bez wyrazu, krótkich i grubych palcach, dłoniach szorstkich i zaczerwienionych jak dłonie mężczyzn.

Zdawałam sobie sprawę, że mi się przyglądają. Czułam ich zimne, nienawistne spojrzenia, próbowałam oddychać spokojnie i powoli, by zapanować

115

nad rytmicznymi, nagłymi przypływami rozpacz, które pulsowały w moim ciele niczym krew. Te żony stanowiły pewną starodawną rasę kobiet, które napawają się potępieniem i upadkiem młodych i pięknych

dziewczyn, ślinią się z radości nad zagładą piękna, kiwają głowami, czynią znak krzyża, wyłamują sobie z trzaskiem palce i mrużą oczy z rozkoszy, jak gdyby w akcie dawno oczekiwanej, sprawiedliwej zemsty. A ich mężowie byli przy nich, ale nie z nimi. Żaden mężczyzna nie patrzył na swoją kobietę, gdy mówiła, ich oczy się nie spotykały, nie było w nich uczucia. Byli oddaleni od siebie, obcy, nie istniała między nimi więź. Rozszyfrowałam wreszcie te dziwne, syczące tonacje ich głosów, gdy opowiadały nam o tragedii - był to rodzaj okropnych mrocznych uczuć radości i triumfu. One wzięły górę. Piękna Annamarie zniknęła, a diabelskie dziecko nie żyło.

Gdy jedna przestawała mówić, włączała się następna, ale był to zawsze ten sam głos, relacjonujący historię tym samym nieznośnym, jednostajnym tonem. Chłopiec był absolutnie niepojętny. Nieszczęsna stara kobieta próbowała go uczyć, obarczona teraz tym brzemieniem w podeszłym wieku. Miała sześćdziesiąt cztery lata, urodziła szóstkę dobrych dzieci, które dawno założyły rodziny i odeszły z domu. To był jej podarek na starość, ten mały, który się ślinił, jęczał i płakał głośno po całych nocach. Ona jednak starała się, Najświętsza Paniienka świadkiem, że się starała. Nie była silną kobietą, miewała ciągle bóle w barku, i nic w tym dziwnego, skoro musiała codziennie targać tłusciocha po stromych schodach na czwarte piętro. Zabierała go na plac zabaw, żeby stykał się z innymi dziećmi i nauczył się bawić. Ale dzieciaki biły go, przewracały na ziemię i pluły na niego. Stara kobieta podnosiła go, kazała mu stać i oddawać razy, uderzała go pięścią, żeby

mu pokazać, jak to się robi. On jednak znów się przewracał, krzyczał i

szarpał na sobie ubranie, głupek jeden.

Podniosłam głowę, chcąc coś powiedzieć, ale powstrzymało mnie zimne spojrzenie porucznika Storenoffa, który przewidział moją reakcję. Nie odezwałam się, zdusiłam w sobie słowa cisnące mi się na wargi. Czułam straszliwy, narastający, dręczący ból, a następnie przemożną chęć, by uciec z tego pokoju, tego budynku, tego świata na ulicę, w noc, gdziekolwiek, byle owionęło mnie chłodne, czyste powietrze. Chciałam znaleźć się jak najdalej od tych żałobnie.

Nie, nie mogła zostawić Niemowy samego - nawet na chwilę. Musiał być zawsze z nią. Pewnego razu spróbowała go zostawić, by odwiedzić przyjaciółki. Przywiązała go do łóżka długim sznurem w taki sposób, by mógł się poruszać, ale nie mógł wyjść z pokoju i wpakować się w jakieś tarapaty. Ale on jakimś cudem przerwał sznur - był bardzo silny - dostał się do frontowego pokoju, znalazł zapalniczki i podpalił zasłony. Mąż jednej z sąsiadek wbiegł po schodach i ugasił na szczęście ogień, inaczej wszyscy by się spalili.

Kobieta siedząca na wprost mnie odwróciła się i wskazała gestem mężczyznę opartego o zlew. On popatrzył na sufit, skinął lekko głową i mlasnął językiem o przednie zęby, wiercąc czubkiem buta w podłodze. Kiedy staruszka wróciła do domu późnym wieczorem, płakała i krzyczała, taka była zdenerwowana. Zastała zasłony czarne od góry do dołu, we frontowym pokoju pełno wody. Stara krzyczała, Niemowa zawodził. Potem wzięła zapalniczkę, zapaliła ją i przyłożyła chłopakowi do dłoni, żeby go nauczyć. Chciała go nauczyć. Potem dała głupkowi zapalniczki, a on znów próbował je zapalić. Wszystkie uczyły w ten sposób swoje dzieci i żadne z nich nigdy nie dotknęło zapalniczek.

- Przypalałyście palce swoim dzieciom? - spytałam, nie zwracając uwagi na porucznika, który popatrzył na mnie znacząco.

Kobiety umilkły, podciągnęły rękawy grubych swetrów, mrugając bezmyślnie powiekami; w małym, żółtawym pokoju zapanowała przytłaczająca, pełna urazy cisza.

- A dzisiaj? - spytał porucznik. - Co wydarzyło się dzisiaj?

Zbiłam je z pantałyku, siedziały, wzruszając ramionami, gapiły się na swoje dłonie. Porucznik westchnął, wyjął długie cygaro i spytał gestem, czy może je zapalić. Kobieta, w której domu się znajdowaliśmy, skinęła potakująco i podała mu popielniczkę. Mężczyzna przy zlewie sięgnął do szafki nad głową i wyjął z niej butelkę wina bez nalepki.

Czy porucznik napije się domowego wina? Porucznik przyjął szklaneczkę, a następnie mężczyzna nalał dla mnie trochę ciemnoczerwonego płynu do brudnej szklanki po soku. Jego oczy, przypominające błyszczące paciorki, otaksowały mnie od stóp do głów. Oparł się z powrotem o zlew, pijąc wino i przyglądając mi się otwarcie z rozbawioną miną, ponieważ żona była odwrócona do niego tyłem.

- A dziś wieczorem chłopiec ją zdenerwował? - spytał porucznik.

Ach, zdenerwował ją dziś wieczorem, wczoraj wieczorem i tysiąca innych wieczorów podczas sześciu lat. Ten diabelski pomiot o upartym ciele nie czuł nic, ale jadł na potęgę i wyrastał z ubrań, które stara kobieta musiała szyc dla niego.

Dzisiaj, tak. Rozlał kawę.

- Rozlał kawę?

Kobieta zignorowała mnie całkowicie, mówiła wyłącznie do porucznika.

To była jedyna przyjemność staruszki,

118

kawa. Dzieliła tę przyjemność z Niemową. Każdego ranka parzyła świeży dzbanek i pili ją do śniadania, obiadu i kolacji. Tego dnia chłopiec był niegrzeczny, jak zwykle. Nie patrzył, dokąd idzie, wpadł do rynsztoka, skaleczył się w rękę, oderwał sobie rękaw. W ogóle nie uważał, ponieważ nigdy go nie bolało. Nie miał uczuć. W końcu spadł ze schodów, pociągając za sobą babkę, torby z zakupami się rozsypały. Chłopak usiadł na schodach, zamiast pomóc staruszce pozbierać rzeczy. Siedział, wbijając palce w jajka, i śmiał się, a babka musiała zejść na dół, by wszystko podnieść. Potem weszli do mieszkania, Niemowa zaczął krzyczeć, zrobiło się jakieś zamieszanie i rozlał kawę.

- Skąd pani wie, że rozlał kawę? - spytał porucznik.

Wszyscy wiedzą, bo wszystko było słyhać. Stara kobieta ma bardzo donośny głos, a dzień potoczył się dla niej fatalnie. Wrzeszczała jak szalona, jak gdyby nie mogła powstrzymać słów cisnących się jej na wargi. Wykrzykiwała w kółko, że rozlał kawę.

- I co się stało potem? - ciągnął ją za język Storenoff.

Kobieta wywróciła oczy, wzruszyła ramionami i przeżegnała się. Co się stało? Kto to wie? Było dużo krzyku, dużo hałasu i okropnych dźwięków. I nagle wszystko się uspokoiło.

I nagle wszystko się uspokoiło.

- I co potem? - spytał cicho, śpiewnie porucznik, tak jak dzieci ponaglają opowiadającego bajkę.

Potem staruszka zapukała do drzwi sąsiadki.

Kobieta, siedząca na brzegu tapicerowanego krzesła, pokiwała głową i

zerknęła na mężczyznę opartego o futrynę drzwi.

Sąsiadka z mężem poszli ze starą na górę. A potem wezwali policję. I to tyle. I to tyle.

119

Kobiety w pokoju westchnęły bezgłośnie. Tak to wyglądało, powiedziały, i to wszystko. Zamknęły usta, unosząc w oczekiwaniu brwi.

Nie słyszałam słów porucznika, tylko cichy, jednostajny szmer jego głosu. Wstałam, ponieważ zdałam sobie sprawę, że wychodzi z pokoju. Sama nie wiem, czemu obejrzałam się, podążając za nim. Mężczyzna, oparty o zlew, wyszczerzył zęby w uśmiechu i mrugnął do mnie za plecami żony, czyniąc nieprzyzwoity gest.

Gdy weszliśmy do mieszkania staruszki, nie usiadłam, lecz wpatrzyłam się w podłogę obok wojskowego koca i po raz pierwszy zauważyłam ciemną, wciąż jeszcze wilgotną plamę po rozlanej kawie.

Porucznik Storenoff stał do mnie tyłem, nie słyszałam więc, że coś mówi, widocznie jednak tak było, ponieważ odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy. Twarz miał spokojną i bez wyrazu.

- Powiedziałem, żebyś przeszukała zatrzymaną. Potarłam konwulsyjnie dłonie, próbując znaleźć coś, czego mogłabym się uchwycić.

- Nie mogę. Przepraszam, panie poruczniku, ale chyba zwymiotuję.

Czułam, jak krew odpływa z moich policzków. Zrobiło mi się zimno, kręciło mi się w głowie, nad górną wargą i na czole perliły mi się kropelki potu. Głos porucznika stanowił osobliwą mieszaninę gniewu i łagodności, nagle chwycił mnie silną dłonią za ramię i popchnął w stronę zlewu.

Pochylił się, wciąż trzymając moje ramię, i zerwał koc ze zwłok dziecka,

po czym puścił mnie, prostując się.

- Posłuchaj - rzekł ostrym tonem - to jest ciało. Martwe. Nie czuje, nie słyszy, nie widzi... Nieboszczyk. Nieważne, czy ma sześć lat, czy siedemdziesiąt, został zarąbany czy zakatowany na śmierć, został otruty czy

120

zmarł z przyczyn naturalnych, w tej chwili jest absolutnie niczym. Tak to wygląda w chwili, gdy do niego docieramy - kiedy nic już nie znaczy. Patrzyłam jak zahipnotyzowana na twarz dziecka z boku, na pulchne policzki leżący w zakrzepłej krwi, potem na obgryzione paznokcie chłopca, który nie czuł nic, nie znał bólu, był zbyt głupi. Porucznik cofnął nogę i kopnął gwałtownie ciało. Wydałam cichy okrzyk i utkwiałam w nim przerażone spojrzenie.

- To nic - powiedział, nie mrugnawszy powieką. - Nie wiem, od jak dawna służysz w policji ani jak długo zamierzasz w niej pozostać, ale wydział przysłał cię tutaj i masz w tej chwili przeszukać zatrzymaną. Idź do toalety i wyrzygaj się, skoro musisz, a gdy już skończysz, idź do drugiego pokoju i zrewiduj ją.

Nie potrafiłam tego zrobić. Mdłości wzbierały w całym moim ciele, począwszy od nóg, rozdzierały mi klatkę piersiową. Oparłam się z całej siły ramieniem o ścianę wąskiej klitki, w której znajdowała się toaleta, i wlepiłam wzrok w stary kalendarz ścienny ozdobiony żółtymi różyczkami. Wbiłam paznokcie w dłonie, chcąc coś poczuć, jakiś wyraźny, prawdziwy, ostry ból, znak, że istnieję. Gdy wyszłam z toalety, porucznik Storenoff popatrzył na mnie i rzekł cicho:

- Posłuchaj no... Jak masz na imię? Powiedziałam mu.

- Posłuchaj, Dorothy, kiedy stąd dzisiaj wyjdiesz, będzie po wszystkim. Skończone. Wyjdiesz i zapomnisz o tym.

Skinęłam głową, wiedziałam jednak, że się myli. Tak właśnie ciągle mi mówiono - zapomnisz o tym. Ale drobne, uparte okruchy wspomnień dręczyły mnie przez

121

całą noc. Podniecenie, osobliwe połączenie zapachów, tonacje, modulacja głosów, gesty, szczególna żółtawa poświata. Wiedziałam, że zostały zmagazynowane luzem w którejś przegródce mego mózgu. Byłam pewna, że przez całe życie będą powracać do mnie, nieoczekiwanie, w najrozmaitszych miejscach, w różnym czasie, i będzie stawał mi przed oczami ten dom, ten świat, ci ludzie. Mylił się, ale zdawałam sobie sprawę, że te słowa wiele go kosztowały, skinęłam więc tylko głową i weszłam do sypialni.

Stara kobieta popatrzyła na mnie tępym wzrokiem, gdy kiwnęłam na nią palcem, żeby podeszła do mnie. Staralam się nie patrzeć jej w twarz i szybko przesunęłam dłońmi po jej ubraniu. Pod nim nie miała nic poza swym wiekiem - wszystkimi dniami i nocami, latami życia, które przesyciły ją stęchłym, nieświeżym, trupim odorem.

- Duży czarny mężczyzna, panienko, pobił chłopca. Pobił go na śmierć, niech mu Bóg wybaczy.

Kobieta usiadła z powrotem na łóżku, kiwając się w przód i w tył, w przód i w tył, jej stopy zwisały kilka centymetrów nad podłogą. Widząc te dwie stopy, obrzmiałe i kołyszące się w powietrzu, niezależne, oddzielne, odseparowane od potworności kobiety, poczułam, że nie chcę ich widzieć, nie chcę odczuwać bezsensownego, irracjonalnego współczucia na widok

tych starych stóp. Chciałam zobaczyć silne stare ręce, które potrafiły zakatować na śmierć bezbronne, chore umysłowo dziecko, a nie zmęczone, zniekształcone i słabe stopy staruszki, która urodziła siedmioro dzieci, a teraz siedziała tutaj sama, kołysząc się, jęcząc i odmawiając monotonną litanie, modląc się do swego ideału macierzyństwa. Patrzyłam na jej twarz, pragnąc nią gardzić, odczuwając potrzebę, by nią gardzić, szukałam oznak ohydy. Tymczasem widziałam starą, pomarszczoną twarz prostej kobiety,

122

pociemniałą z wiekiem i zapadniętą z powodu spróchniałych zębów. Z wyblakłych oczu spływały po ziemistych policzkach rześiste łzy.

Wróciłam do frontowego pokoju.

- Nie ma nic przy sobie - oznajmiłam porucznikowi. Skinął głową, po czym odwrócił się do szczupłego

ciemnowłosego mężczyzny, który właśnie przyjechał.

- To detektyw Navarra. Przyrowadź tutaj staruszkę. Zbliżyłam się do kobiety i dotknęłam lekko dłonią jej

ramienia, nie patrząc na nią, i pokazałam gestem, by przeszła do frontowego pokoju. Staruszka zsunęła się na podłogę i pokuśtykała we wskazanym kierunku. Detektyw, mówiący po włosku, podsunął jej krzesło. Usiadła na nim ciężko.

- A teraz opowiedz nam wszystko, matko. Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Opowiedz nam, co się zdarzyło dzisiaj wieczorem.

Stara kobieta, słysząc łagodne słowa, wypowiedziane w jej ojczystym języku, podniosła wzrok na detektywa, potem rozejrzała się po pokoju, zatrzymując w końcu spojrzenie na obrazie Najświętszej Panny z

dzieckiem w ramionach. Nagle krzyknęła przeraźliwie. Ten przenikliwy, ostry, rozdzierający krzyk przypominał wycie straszliwie cierpiącego zwierzęcia. Wykrzykiwała w kółko jakieś słowa, obejmując własne ciało ramionami i wznosząc błagania do Matki Boskiej.

Porucznik Storenoff stał nieporuszony, nie mrugnawszy nawet powieką, i patrzył na kobietę. Nagle przestała krzyczeć i rzuciwszy się z jękiem na podłogę, wczołgała się pod zlew, ściągnęła koc i zaczęła pieścić i całować martwe dziecko. Gdy mężczyźni odciągnęli ją i posadzili z powrotem na krześle, trzymała w dłoni brudny kawałek szmatki w kształcie lalki, który wyjęła z martwej rączki dziecka. Głaskała ją dłonią mokrą od krwi.

- Co ona powiedziała? - spytał porucznik Storenoff.

123

Włoskojęzyczny detektyw wziął głęboki oddech, mimo to głos mu drżał, gdy wyjaśniał:

- Powiedziała: „Zabiłam dziecko, krew z mojej krwi”. Porucznik Storenoff mrugnął raz, oczy zamknęły mu się całkowicie jak kotu lub sowie, nie poruszył się jednak ani nie kiwnął głową. Następnie, otwierając oczy, skinął na mnie.

- W porządku, zabierzcie ją z posterunkowym do komisariatu. Detektywie Navarra, pan pojedzie również. Za kilka minut zjawi się tutaj lekarz sądowy, więc będę zajęty jeszcze około godziny. Ach, dzwoniłem do wydziału kobiecego, wiedzą, że jakiś czas cię nie będzie.

Dotknęłam drżącymi palcami chudego ramienia kobiety, okrytego czarnoszarym, żałobnym materiałem sukni. Staruszka popatrzyła z przerażeniem najpierw na mnie, potem na Navarre, który uspokoił ją po włosku, żeby poszła z nami bez obaw.

Gdy byliśmy już przy drzwiach, porucznik Storenoff zawołał nas głośniej i ostrzej niż dotąd:

- Zaczekajcie chwilę!

Zbliżył się do nas i bez słowa wyrwał szmatkę z rąk kobiety, która cofnęła się z okrzykiem strachu lub gniewu, wyciągając ręce i drżąc na całym ciele. Musiałam ją podtrzymać, w przeciwnym razie osunęłaby się na podłogę.

Porucznik Storenoff, nie patrząc na nas, podszedł do zlewu i ściągawszy koc z dziecka, umieścił szmacianą lalkę pod jego dłonią, po czym znów nakrył starannie ciało. Potem odwrócił się do nas.

Stał przez chwilę nachmurzony, utkwivszy wzrok prosto we mnie, po czym jego twarz przyoblekła zwykłą maska obojętności.

- Idźcie - powiedział cicho, podnosząc rękę. - Idźcie już.

6

Zrobiono mi coś okropnego

Pracę policji cechuje pewien rytm i kadencja. Zdarzają się długie, leniwe tygodnie, kiedy ośmiogodzinny dyżur wydaje się ciągnąć bez końca, nic się nie dzieje, a ty słuchasz o ekscytujących zdarzeniach, osiągnięciach i utarczkach, które stały się udziałem innych, i masz uczucie, że brniesz przez błoto, że wszystko, czego miałaś się nauczyć, co miałaś robić, w czym brać udział, jest stracone, nigdy się nie zdarzy. A potem sytuacja się zmienia. Coś się zdarza, jakieś śledztwo, aresztowanie, tempo rośnie z szybkością błyskawicy. Wszystko zawsze ma charakter cykliczny - dokonuje się jednego aresztowania, a potem zaczyna się istna gorączka, jedno następuje po drugim.

Podczas długich, monotonnych przerw między okresami aktywności

twarze ludzkie zacierają się, ich głosy stają się jednostajnym lamentem skarg. To i to mi zrobiono. Gdzie wtedy była policja? Nigdy nie byłem taki wstrząśnięty, nigdy nie byłem taki oburzony, nigdy nie byłem taki przerażony. A ty patrzysz na ludzi, słuchasz ich opowieści, zapisujesz ich słowa i zamieniasz je w suche,

125

oficjalne raporty śledcze, które stwierdzają kto-co-gdzie--kiedy. Uczysz się słuchać słów bez najmniejszego zaskoczenia. Coś takiego zdarzyło się już przedtem i - jak powiedział nam inspektor - zdarzy się jeszcze nie raz. Wkrótce żadna z tych opowieści nie będzie niczym nowym, tak szybko stają się znajome i rozpoznawalne.

Wkraczasz do zadziwiającej liczby domów i uczestniczysz, przelotnie, w cudzym życiu. Stajesz się powiernicą podczas krótkiej znajomości. Ludzie odsłaniają się przed tobą, czasami nieświadomie, zdradzając się gestami czy intonacją głosu. Nigdy nie robisz uwag, słuchasz, rozważasz ich słowa, oceniasz i uczysz się być sprawiedliwa w swych ocenach. Chociaż mówiono ci, że nie jesteś tu po to, żeby osądzać, lecz jedynie zbierać fakty, dowody, instynktownie uczysz się podejrzliwości wobec oczywistych stwierdzeń. Doszukujesz się tego, co kryje się za słowami, i w końcu niczego nie bierzesz za dobrą monetę.

Przez wiele miesięcy krążyłam między kobiecym wydziałem a różnymi komisariatami i oddziałami, zależnie od tego, gdzie potrzebna była kobieta do wykonania określonego zadania. Nauczyłam się rozpoznawać po wyglądzie, jakie pokolenia stworzyły te wyspy w obrębie miasta - odrębne kultury o różnych poziomach.

Pewnego ranka otrzymałam zadanie towarzyszenia brook-lyńskiemu

detektywowi, od ósmej do czwartej po południu. Mieliśmy przesłuchać kobietę w sprawie domniemanego gwałtu, którego dokonano na niej wczoraj wieczorem. Słowem „domniemany” określane są wszystkie przestępstwa, dopóki fakty nie zostaną wyjaśnione, prawda dowiedziona. Sprawy, które brałaś za dobrą monetę zaledwie kilka miesięcy temu, rozszerzają się, rozrastają, przyjmują różne formy i znaczenia. Zaczynasz dobierać pytania, ogarnia cię przekonanie, że każda skarga jest „do-
126

mniemanym” incydem, jedziesz na przesłuchanie, nie mając żadnej pewności, za to wiele wątpliwości. Jeśli twoje zachowanie wydaje się obraźliwe, przepraszasz i starasz się mówić spokojnie, ukryć wątpliwości, być dobrym słuchaczem.

Detektyw Frank Warener był niskim, korpulentnym mężczyzną o małych, głęboko osadzonych, brązowych oczach o przyjaznym spojrzeniu. Na twarzy ciemniał mu szorstki zarost. Miał żywy uśmiech, niski głos i spokojny, miły sposób bycia. Jego silne dłonie o serdelkowatych palcach trzymały pewnie kierownicę, gdy jechaliśmy do części Brooklynu, gdzie mieszkała kobieta, która złożyła skargę. Zachowywał się serdecznie i przyjacielsko, należał do tej kategorii policjantów, którzy przydzieloną do zadania kobietę traktują inaczej tylko pod jednym względem - unikają nieprzyzwoitych słów-przerywników, potrafią powściągnąć język i używać jedynie parlamentarnych wyrażen. Opowiadał o sprawie, którą prowadzi, bez przechwałek, podkreślając jej zabawne aspekty. Krótco mówiąc, rozmawiał ze mną jak z koleżanką z pracy, bez cienia niezadowolenia, zwykłym językiem. Pracowałam już z policjantkami, które wyrażały się znacznie bardziej grubiańsko, oraz policjantami, którzy celowo byli

ordynarni, i wiedziałam, że nawiązała się między mną a Frankiem Warenerem nic porozumienia, że to on poprowadzi przesłuchanie, ale ja również będę brała w tym udział.

Dom był zbudowany z solidnie wyglądającej cegły, miał wyłożone płytą chodnikową patio, sąsiedował z dwoma bardzo podobnymi, lecz nie identycznymi budynkami. Ulicę ocieniały drzewa. Wyczuwało się tu pewną solidność, typową dla wyższych warstw klasy średniej, która wydawała się bardzo daleka od tego, co kojarzyło się na ogół z nazwą dzielnicy. Nie znałam kompletnie tej części

127

Brooklynu, nie miałam nawet pojęcia, że istnieje. Był to rodzaj enklawy, niewielki obszar, trochę wzgardzony, otoczony ze wszystkich stron starymi drewnianymi domami z gankami, ze śladami dawnej świetności. Gdy Frank nacisnął dzwonek, rozbrzmiała czteronutowa śpiewna melodyjka, wyraźna i głośna. W małym trójkącie witrażowej szybki zabłysło światło, usłyszeliśmy stłumiony dźwięk i drzwi uchyliły się odrobinę, na tyle, na ile pozwalał łańcuch wewnątrz.

- Tak? - odezwał się kobiecy głos. - Kto tam? Frank ujął w palce swoją odznakę i podniósł w kierunku głosu.

- Detektyw Warener i funkcjonariuszka Uhnak, proszę pani. Dzwoniłem do pani mniej więcej godzinę temu.

- Tak, tak, rozumiem. Chwileczkę. - Drzwi się zamknęły, brzęknął łańcuch, po czym otworzyły się, tym razem na oścież. - Proszę bardzo, proszę wejść.

Była dość wysoką kobietą. Miała na sobie coś w rodzaju szlafroka i

różowe futrzane kaptcie. Zaprowadziła nas do salonu, przyjemnego, ładnie umeblowanego pokoju o jasnych ścianach i z jasnym dywanem, w oknach wisiały ciężkie drogocenne zasłony nie przepuszczające światła dziennego.

Kobieta wskazała nam gestem dłoni miejsce na kanapie. Zatonęliśmy w miękkich, puchatych poduszkach. Pokój był bardzo wysoki, sufit zdobiły cztery ciemne grube belki. Na jednej ścianie znajdował się duży kominek, zawieszony nad nim olbrzymi abstrakcyjny obraz dominował nad całym salonem. Płonał feerią kolorów - czerwone smugi wystrzelały do wnętrza żółtych i niebieskich, plamy bieli otaczały ich krawędzie. Obraz natychmiast przyciągnął moje spojrzenie.

- Niesamowity, prawda? - spytała kobieta, zauważywszy moje zainteresowanie. - Namalował go dla mnie mój

128

młody przyjaciel, Miguel Hernandez. Za każdym razem, gdy na niego patrzę, widzę w nim coś nowego.

Obraz mi się nie podobał. W pociągnięciach pędzla, w barwnych smugach i plamach było coś gwałtownego i szalonego, coś wymykającego się spod kontroli.

- Jest bardzo interesujący - powiedziałam ostrożnie. Frank przyjrzał się obrazowi krótko, mrużąc oczy, odkaszlnął, po czym powiedział:

- Pani Crimmons, chcielibyśmy spytać, co zdarzyło się ubiegłej nocy.

Wiem, że rozmawiała już pani z detektywami, przydzielono nas jednak do tej sprawy i chcielibyśmy poznać fakty z pierwszej ręki.

Kobieta siedziała w fotelu pokrytym jakimś złotym, błyszczącym materiałem. Szlafrok był również uszyty z mieniającej tkaniny i przy

każdym jej poruszeniu zmieniał kolor z czerwonego na zielony.

Zagłębiona w fotelu kobieta wydawała się mniejsza. Sprawiała wrażenie, jak gdyby szukała w jego ograniczoności pewnej ochrony i osobowości, jakby usiłowała się pozbierać.

- Tak, tak - powiedziała cichszym, niższym głosem. - Zrobiono mi coś okropnego. Naprawdę okropnego.

Instynktownie przejęłam inicjatywę.

- Rozumiemy to, pani Crimmons. Wiemy, że jest to dla pani bardzo trudne, ale musimy panią prosić, by nam pani o wszystkim opowiedziała.

- Oczywiście - zgodziła się pani Crimmons. - Absolutnie zdaję sobie z tego sprawę. Wszyscy policjanci byli tacy mili. Czy mogę czymś państwa poczęstować - kawą, drinkiem?

Uczyli ją niejasny gest ręką, najwyraźniej w stronę kuchni, nie wstała jednak, a my oboje pokręciliśmy przecząco głowami.

129

- No cóż, wobec tego opowiem państwu o tym, co się zdarzyło. Nie jestem histeryczką, ale to nic przyjemnego, jestem pewna, że zgodzicie się ze mną.

Skinęliśmy głowami ze zrozumieniem.

- A więc - zaczęła - mieszkam sama. Jak państwo widzicie - jej prawa ręka zatoczyła szeroki łuk - jestem właścicielką tego dużego domu i, oczywiście, mam pomoc. Zatem, nawet biorąc pod uwagę tak dużą powierzchnię, nie mam tu wiele pracy. Pan Crimmons, mój świętej pamięci mąż, zadbał o mnie. Kupił ten dom na mnie sześć lat temu, gdy się pobraliśmy. Zmarł w zeszłym roku. Na serce. Zawsze mówiłam mu, że zbyt się angażuje. Straciłam mojego pierwszego męża w taki sam

sposób, a był młodym człowiekiem, ale czy mężczyźni dają sobie coś wytłumaczyć?

Uśmiechnęła się smutno, wzruszając ramionami, jak gdyby ubolewała nad głupotą mężczyzn.

- I choć, oczywiście, mam wielu przyjaciół, doskwiera mi samotność, toteż zawsze starałam się rozwijać w sobie różne zainteresowania. Nie jestem kobietą, która grałaby w karty czy zajmowała się podobnymi głupotami. Jestem za twórczym spędzaniem czasu. Zeby zachować... młodość. -

Uśmiechnęła się ciepło, szeroko. - No, ale to, oczywiście, nie ma nic wspólnego ze sprawą. Bardzo interesuję się sztuką i dowiedziałam się o świetnym artyście, Ricardo Domingo - może słyszeliście o nim? W każdym razie jest dość znany i mieszka zaledwie piętnaście minut drogi stąd. Udziela lekcji, rzecz jasna w ograniczonym zakresie, tym, którzy odpowiadają jego wymaganiom. - Roześmiała się, traktując z lekceważeniem swoją własną przynależność do tej grupy. - W latach młodości trochę rysowałam - wyobrażałam sobie wówczas, że jestem artystką. - Westchnęła, trochę znudzona, a trochę

130

oddając się wspomnieniom. - Ale mój pierwszy mąż miał zastrzeżenia - rozłożyła ręce - więc oczywiście zrezygnowałam. Kiedy umarł, zostałam sama i nie miałam środków na rozwijanie moich zainteresowań. Pan Fredericks, świeć, Panie, nad jego duszą, był w porządku, młody, silny i bardzo przystojny, ale, cóż, niezbyt wrażliwy, jeśli rozumiecie państwo, co mam na myśli, i nieszczęśnik, nie był zbyt zapobiegliwy. Można powiedzieć, że żyliśmy miłością. - Pani Crimmons uśmiechnęła się z czułością. - Musiałam więc iść do pracy, choć nie taki los wymarzyli sobie

moi rodzice dla swej jedynej córki. Ale ja uciekłam ze szkoły panny Lighten, by poślubić pana Fredericksa, i nie ośmieliłam się wrócić do domu. Byłam dumną dziewczyną. W każdym razie zaczęłam pracować w jednym z najelegantszych sklepów w Baltimore - bo tam właśnie mieszkaliśmy z panem Fredericksem. A potem kierownik sklepu, pan Donaldson - był takim potężnym mężczyzną, takim silnym, i wydawał się taki fantastyczny - no cóż, poznaliśmy się i kompletnie mnie oczarował, pobraliśmy się po trzech miesiącach. Mogą sobie państwo wyobrazić taką okropną sytuację - wdowa od niespełna czterech miesięcy. Ale miałam zaledwie siedemnaście lat i nie przywykłam do samotnego życia.

Spojrzałam znów nad głową pani Crimmons na obraz, śledząc czerwone krechy w labiryncie błękitnych i żółtych. Przygryzłam mocno dolną wargę, próbując wytworzyć dystans do namiętych, śpiewnych słów kobiety.

- No cóż - mówiła dalej pani Crimmons, nie zwracając uwagi na podniesioną dłoń Franka, który chciał jej przerwać. Frank rzucił mi krótkie spojrzenie, puszczając do mnie oko i wzruszając lekko ramionami. - Pan Donaldson sprawiał wrażenie takiego wspaniałego faceta. - Zmrużyła oczy, utkwivszy na chwilę wzrok w swoich paznokciach.

131

- Dopóki nie zostaliśmy małżeństwem. Niestety, my, kobiety, nie możemy dowiedzieć się o pewnych sprawach, dopóki nie wyjdziemy za mąż. A przynajmniej tak bywa w przypadku przyzwoitych kobiet. Był przystojnym, dużym mężczyzną i tak dalej, ale cierpiał na pewne, nazwijmy to, niedomaganie, które, hmm... - Umilkła, uśmiechając się przelotnie, smutno, do Franka. - Nie musimy wgłębiać się w to teraz. Wystarczy powiedzieć, że nie był mężczyzną. Och, na pozór był potężny;

zdrowy i krzepki. Ale podczas naszej nocy poślubnej... Cóż, Lył naprawdę dobrym człowiekiem, z pewnością rozumiecie, zapewne sądził, iż być może pomożę mu jakoś w rozwiązaniu jego „problemu”. - Wymówiła to słowo delikatnie. - Ale ja byłam ogromnie naiwna, jeśli idzie o te sprawy. W każdym razie pan Donaldson zachował się jak dżentelmen, zgodził się na unieważnienie małżeństwa i szczerze mnie wyposażył. Przyjechałam do Nowego Jorku, gdzie mieszkałam przez wiele lat, zanim poznałam pana Crimmonsa, Panie, świeć, nad jego duszą, a gdy się pobraliśmy...

Zauważyłam krople potu na czole Franka, spojrzenie miał szkliste. Od czasu do czasu kiwał głową, gdy pani Crimmons zwracała się bezpośrednio do niego.

- Po ślubie pan Crimmons nalegał, żebym nadal zajmowała się malarstwem - był ze mnie taki dumny. - Roześmiała się figlarnie. Robiłam to po amatorsku, to tu, to tam, ale kiedy mój mąż zmarł - stało się to w zeszłym roku - odkryłam, że pan Domingo, utalentowany młodzieniec, bardzo utalentowany młodzieniec, prowadzi kurs. I to w bliskim sąsiedztwie. Co czwartek, od wpół do ósmej do wpół do jedenastej wieczorem. Wydało mi się to wspaniałą okazją.

Zapadła cisza, tak nagle i niespodziewanie, że Frank wziął głęboki oddech, a następnie zakrztusił się, próbując

132

wypuścić powietrze. Pani Crimmons pochyliła się wyczekująco do przodu, a Frank, czerwony jak burak, spytał ją zduszonym głosem:

- I wczoraj wieczorem poszła pani na lekcję?

- Tak, tak, wczoraj był czwartek i poszłam na lekcję. I musi pan zrozumieć...

- Gdzie mieszka pan Domingo, proszę pani? - przerwał jej Frank, niemal zrozpaczonym tonem.

Pani Crimmons podała adres, który zanotowałam, i podjęła na nowo swą opowieść, zanim Frank zdążył znów się odezwać.

- Pracowałam nad takim ślicznym rysunkiem - uliczną scenką z rodzinnych stron. Pochodzę z Georgii. Urocza scenka z mojego dzieciństwa...

Oczy niemal wyszły Frankowi z orbit, pokręcił głową i przerwał jej.

- Tak, oczywiście, a o której wyszła pani od pana Domingo?

- Och, przepraszam pana, detektywie Warener, zbyt się rozgadałam.

Wyszłam stamtąd około wpół do jedenastej wieczorem - jak zwykle.

- I dokąd się pani udała?

- Dokąd? Rzecz jasna, zwykle wracam autobusem prosto do domu, ale była taka piękna noc, że...

- Wczoraj? - Przypomniałam sobie wczorajszą burzliwą, deszczową, wietrzną noc.

Pani Crimmons roześmiała się przeciągle.

- Pewnie pomyślicie, że mam źle w głowie, ale ja po prostu uwielbiam wiatr i deszcz. Jest w nich coś takiego odświeżającego, oczyszczającego.

Dla mnie - proszę wybaczyć - była to przepiękna, zimna, ciemna noc i postanowiłam pójść do domu piechotą, chciałam poczuć tę świeżość na mojej twarzy. Przeszłam dwie przecznice

133

i skręciłam w aleję. Szłam, myśląc o rodzinnych stronach,

O tej cieplej, zakurzonej, złocistej ulicy, zalanej słońcem i...

- Tak? - spytał Frank.

Pani Crimmons zamrugnęła powiekami, uśmiechnęła się

i obudziła z marzeń.

- Tak, no, w każdym razie, przeszłam obok tego samochodu. Za kierownicą siedział ten młody człowiek, wie pan, po stronie kierowcy, i on wysunął głowę przez okno, i coś do mnie zawołał. Przestraszyłam się, bo nie zauważyłam go w samochodzie, odwróciłam się i powiedziałam: „Słucham?”. Spytał mnie, która godzina, a ja spojrzałam na zegarek i odpowiedziałam, że jest za dwadzieścia jedenasta. Tak, była dokładnie za dwadzieścia jedenasta, a potem spytał mnie o drogę i...

- O drogę w którym kierunku panią pytał?

Pani Crimmons wzruszyła ramionami, lekko zniecierpliwiona.

- Moja droga, nie mam pojęcia. Pytał o jakąś ulicę, kompletnie nie pamiętam. A potem wysiadł z samochodu, gdy ja mówiłam...

- Co pani mówiła?

Pani Crimmons zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem i nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć na moje pytanie, opowiadała dalej.

- Podeszedł do mnie, a potem - przepraszam, że opowiem o tym raczej szybko - schwycił mnie za gardło, zatkał usta dłonią i wepchnął do samochodu, po czym sam do niego wszedł. Mówił mi okropne rzeczy... że ma nóż i poderżnie mi gardło, i inne takie okropności...

- Czy widziała pani nóż? Czy pokazał pani nóż? - spytał Frank spokojnie.

Pani Crimmons mlasnęła głośno językiem i wyprostowała się w fotelu.

134

- Nie prosiłam go, żeby pokazał mi broń. Jasne, że uwierzyłam, iż ma nóż i nie zawaha się go użyć.

- Aha - powiedział cicho Frank. - I była wtedy za dwadzieścia jedenasta?

- Tak, a ja byłam przerażona, kompletnie przerażona, Nie potraficie wyobrazić sobie, w jaką wpadłam panikę. Wierzyłam, że jest zdolny do tego, by mnie zamordować. Jeździł samochodem jakimiś uliczkami, alejami, Bóg wie gdzie, wreszcie wjechał na jakiś duży plac za wielkimi budynkami - jakaś fabryka czy coś w tym rodzaju. Musiał dobrze się orientować, dokąd jedzie, bo kierował się dokładnie tam, a potem wyciągnął mnie z samochodu i zmusił, bym przesiadła się na tylne siedzenie. Wsiadł za mną i zrobił mi coś okropnego, rozumiecie, prawda?

- Tak - odpowiedziałam. - I co stało się później?

- No cóż - odrzekła pani Crimmons - on był dosłownie jak zwierzę. Nic nie rozumiem, naprawdę. Wy chyba musicie znać takich ludzi, ale ja... nie wiem, co powiedzieć. Wydawało mi się, że tkwimy tam całą wieczność, dał mi papierosa, a ja błagałam go, żeby mnie wypuścił, on jednak się nie zgodził. Trzymał mnie w samochodzie, a gdy wypaliliśmy papierosa, zaatakował mnie jeszcze raz, potem jeszcze raz. Istny koszmar. Nie mogę uwierzyć, że mi się to przytrafiło.

- I co się sufo potem? - spytał szybko Frank, wpadając jej w słowo.

- Kazał mi usiąść z powrotem z przodu, jechaliśmy przez pewien czas, po czym zatrzymał się przed jakąś absolutnie koszmarną knajpą, zaciągnął mnie do środka i zamówił kilka drinków, i...

Wymieniliśmy z Frankiem spojrzenia.

- Czy w tej knajpie byli jeszcze jacyś ludzie? - spytałam.

135

Pani Crimmons wpatrywała się w drobinę światła tańczącą na oparciu jej złotego fotela. Głos jej się zmienił - nie było już w nim gniewu, raczej łagodność, przez którą przebijała wyraźna irytacja.

- Jasne, byli tam inni ludzie, ale z pewnością nie tacy, do których można by się zwrócić o pomoc. Paru prymitywnych facetów i parę strasznych kobiet. Znacie takie typki.

Świadomie starałam się z całych sił zachować kamienny wyraz twarzy, wiedziałam bowiem, że mam bardzo wymowne rysy i łatwo z nich wszystko wyczytać. Unikałam za wszelką cenę spojrzenia Franka, czułam, że patrzy na mnie.

- A potem - kontynuowała swą opowieść pani Crimmons - wypiliśmy oboje po kilka drinków. Nie mam pojęcia, ile, wszystko było takie nierealne. Wróciliśmy do samochodu, a po chwili on mnie wypchnął i upadłam na chodnik. Nie wiem, jak długo tam leżałam, a potem nadjechał tamten samochód - samochód policyjny - a ja trzęsłam się ze strachu, dopóki nie powiedzieli mi, że są detektywami. Zabrali mnie do komisariatu i chcieli zawieźć do szpitala, ale ja powiedziałam, że nie chcę widzieć żadnego doktora, chcę tylko jechać do domu. To było zbyt upokarzające. Byli bardzo sympatyczni, zwłaszcza ten młody policjant, który zawiózł mnie do domu. Powiedziałam mu, że chyba będzie lepiej, jeśli ochłonę i opowiem o wszystkim dzisiaj, i, jak sami widzicie, teraz jestem raczej spokojna. Mimo wszystko jednak to było coś okropnego. Frank zerknął do notatnika.

- Policjanci znaleźli panią o trzeciej nad ranem?

- Tak, pewnie tak było, skoro tę właśnie godzinę ma pan zapisaną.

136

Frank nie zareagował na ton nagany w jej głosie.

- Od za dwadzieścia jedenasta do trzeciej minęło prawie cztery i pół godziny.

Pani Crimmons powoli zmieniła pozycję w fotelu, zagłębiając się bardziej w miękkie poduchy.

- Być może. Dla mnie to trwało całą wieczność.

- Przypuszczam, że przez cały ten czas rozmawiała pani z nim trochę?

Spojrzała na mnie, ale głowę nadal miała zwróconą w stronę Franka.

- Czy rozmawiałam? Pewnie, jeśli można nazwać rozmową to, że go błagałam, zaklinałam na wszystko, żeby mnie puścił.

- A on co mówił? To znaczy, oprócz tego, że pani groził. Co powiedział po tym, jak panią zaatakował? - Mój głos był kompletnie obojętny, spokojny. Pani Crimmons zapaliła papierosa i wydmuchnęła szybko dym.

- A jak pani sądzi, co mógł mówić? - spytała ostro, mrużąc oczy. - O czym zwykle rozmawiają ludzie na tylnym siedzeniu samochodu zaparkowanego w ciemnej ulicy?

- Czy powiedział coś o sobie? - spytał Frank uprzejmym, rzeczowym tonem. - Chodzi mi o cokolwiek, co mogłoby nas naprowadzić na to, co robi, gdzie mieszka, jakie jest jego zajęcie.

Pani Crimmons wypuszczała nerwowo dym z ust małymi obłoczkami.

- Powiem coś panu: czasy się zmieniły. - Poruszona, machała ręką przed nosem, odganiając dym. - Młodzi mężczyźni nie zachowują się tak jak wówczas, gdy byłam młodą kobietą. Są obcesowi, wszystko ma być szybko i od razu do rzeczy. Gdy byłam dziewczyną - powiedziała,

137

porównując dokonany na niej gwałt z wcześniejszymi doświadczeniami - gdy byłam dziewczyną, mężczyźni kochali się delikatnie, cierpliwie, taktownie. Dążyli do celu powoli, z opanowaniem, aż go osiągnęli we wspaniałym sposób. Dzisiejsi młodzi mężczyźni to zwierzęta - okrutni,

egoistyczni, gwałtowni i samolubni.

Frank zakasłał się i zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki. Pani Crimmons zdawała się tego nie zauważać; przyglądała się obłoczkom dymu, które unosiły się wokół jej twarzy.

Łagodność wyparowała całkowicie z jej głosu. Jej twarz, w świetle padającym z lampy stojącej obok fotela, była pełna goryczki, zniknęła gdzieś cała słodycz i uśmiech. Gdy relacjonowała nam swoją historię, miała w sobie ciepło i zdyszanie śpiącego dziecka, a jednak, w moim odczuciu, roztaczała wokół siebie aurę zepsucia. Być może to coś kryło się w jej oczach, dużych i zamglonych, błyszczących nie od światła, lecz wilgoci, w ciężkich od makijażu powiekach i grubych od tuszu rzęsach. Jaskrawoczerwone plamy rózu na wydatnych kościach policzkowych były raczej aktem rozpaczki niż zepsucia, szminka w żółtopomarańczowym odcieniu, nierówno nałożona, sprawiała, że usta wydawały się krzywe, co zakłócało proporcje całej twarzy.

To wrażenie potęgował jeszcze jej głos. Wsłuchiwaaliśmy się w jego dźwięk, płynący wraz z niewyraźnymi słowami. Kobieta mówiła ze wzburzeniem, głos jej falował, nabrzmiał emocjami; a jednak oburzenie było udawane. Modulacja, rodzaj pseudopołudniowego smutku, raziły, były użyte w niewłaściwym miejscu i z niewłaściwego powodu.

Opowiadając, pani Crimmons cały czas gestykulowała, jej długie palce wspinały się niczym pająki wzdłuż jedwab-

138

nej poły szlafroka w próżnym wysiłku, by utrzymać garderobę we właściwym miejscu. Zdałam sobie sprawę

- z niedowierzaniem, a jednocześnie bez zaskoczenia - że pod mieniącym

się szlafrokiem kobieta nie ma nic poza pełnym, pulchnym ciałem.

Miała płomiennorude włosy, lecz pomarańczoworóżowe odrosty przy samej skórze wskazywały na atak nieubłaganej siwizny. Były gęste, do ramion, poskręcane, opadająca w kosmykach grzywka częściowa przysłaniała zmarszczki na czole - i zupełnie nie pasowała do kobiety w średnim wieku. Pani Crimmons zachowywała się jak kobieta, która kiedyś była prawdziwą damą, a obecnie próbuje przekonać cały świat, że nadal nią jest, jednocześnie wysyłając sygnały, że przede wszystkim i bez względu na wiek, jest kobietą.

Silny i specyficzny zapach jej ciała wypełniał cały pokój

- nieuchwytna woń zmysłowości. Stanowiła połączenie ciężkich perfum i emanacji jej własnego ciała, nie będących wynikiem braku higieny. Była to niewątpliwa woń głębokiej i nienasyconej fizycznej żądz, pragnienia, pożądania, lubieżności. I czegoś więcej - czegoś zwyrodniałego, skrzywionego, niemoralnego, niezdrowego i obrzydliwego.

Mimo to słuchałam jej, nie zdradzając swych uczuć

- spokojnie, z uwagą, kiwając głową, od czasu do czasu wydając jakieś dźwięki, potwierdzające, że słucham jej uważnie. Spojrzałam na twarz mojego partnera, żeby sprawdzić, czy jego odczucia są podobne. Na twarzy Franka widniał dziwny grymas, być może według niego mający wyrażać pełne współczucia zainteresowanie. Jednakże oczy mu błyszczały, a skóra wokół ust była dziwnie napięta.

Tak, on również czuł to samo.

139

Otworzyłam mój notes kieszonkowy i oderwałam kolejną kartkę papieru.

- Czy potrafi pani opisać tego mężczyznę, pani Crimmons? Koledzy

powiedzieli nam, że była pani wczoraj bardzo zdenerwowana.

Kobieta wzruszyła ramionami, nie zwracając uwagi na to, że jej szlafrok rozchylił się o kilka centymetrów, odsłaniając wgłębienie między piersiami.

- Było ciemno. Na miłość boską, nie przyglądałam mu się, starałam się wyobrazić sobie, że jestem gdzieś daleko od tego potwornego koszmaru.

- Może wobec tego pomożemy pani opisać go - zaproponował beznamiętnie Frank, ukrywając jakiegokolwiek uczucia. - Czy był młody - powiedzmy dwadzieścia parę lat?

- Tak, chyba tak.

- Ciemne włosy?

- Tak, ciemne - potwierdziła, nie odrywając spojrzenia od czarnych włosów Franka, w jej głosie znów dały się słyszeć ciepłe nuty.

- Oczy brązowe?

Pani Crimmons zgasła papierosa w dużej niebieskiej popielniczce, stojącej obok na stole.

- Ciemne włosy, ciemne oczy, ciemne zamiary. Poczułam, że wstrząsa mną dreszcz, ogarnęło mnie

obrzydzenie. Powiedziała to prawie, choć nie całkiem, wstydliwym tonem.

Pani Crimmons zupełnie otwarcie rzucała Frankowi przeciągłe spojrzenia swych wilgotnych oczu. Usta miała lekko rozchylone, była odprężona.

- Wysoki, niski, średniego wzrostu?

- Nie całkiem wysoki, panie detektywie - raczej tak jak pan - średniego wzrostu, ale nie tak dobrze zbudowany.

- Czy był gładko ogolony? Schludny? Zaniedbany?

Pani Crimmons, spojrzawszy na mnie, wzruszyła niecierpliwie ramionami. W jej głosie zabrzmiały znów stalowe nuty.

- Jasne, że był ogolony, w przeciwnym razie byłabym okropnie podrapana.

- Przesunęła dłońmi po policzkach. - Po tym, jak mnie całował...

Skinęłam głową.

- Jaką miał wymowę? - spytał Frank. - Jakiś akcent? Wyrażał się poprawnie? Jaki miał głos?

- Raczej ochryply, nieprzyjemny, wyrażał się dość po prostaku. Pan ma zupełnie inny głos. Pański głos określiłabym jako... miły. Męski i głęboki, ale miły. - Uśmiechnęła się, zatrzepotała powiekami i zwilżyła wargi czubkiem języka. - Mówię to, żeby miał pan jakąś podstawę do porównania, rozumie pan.

- Tak - odpowiedział Frank, nie podnosząc oczu. Zastanawiałam się, co też pisze. Zmarszczył posępnie brwi, ciemny rumieniec powoli zaczął wypływać mu na policzki i wokół uszu.

- Pani Crimmons, czy widziała pani przedtem tego mężczyznę? To znaczy, tutaj, w tej okolicy?

- Nie, oczywiście, że nie. A o co pani chodzi?

- Właściwie o nic - odrzekłam. - Wyłącznie o to, że najwyraźniej zna dobrze tę dzielnicę. Powiedziała pani, że dobrze wieHział, dokąd jechać, pomyślałam więc, że być może widziała już go pani, jak się tutaj kręcił.

- Nie mam zwyczaju przyglądać się włóczęgom. - Ton pani Crimmons był zimny i ostry jak brzytwa, wymowa sztuczna. - Chyba zauważyła pani... pani Uhnak, prawda?... że ta dzielnica nie jest raczej miejscem, w którym „kręczą się” lub „włóczą” tego rodzaju typki. - W jej głosie brzmiała pogarda.

- Tak. Co jeszcze może nam pani o nim powiedzieć?

- spytałam, nie zwracając uwagi na grymas dezaprobaty na jej twarzy. -

Nie potrafi pani przypomnieć sobie kompletnie niczego, co pomogłoby nam w odnalezieniu go? Czy miał jakieś blizny, może jakieś znaki szczególne?

Pani Crimmons zapaliła kolejnego papierosa, zaciągnęła się mocno, ściągając wargi.

- To był zwyczajny, nijaki facet, którego trudno byłoby rozpoznać w tłumie - powiedziała z lekką przekorą.

Zauważyłam, że Frank przestał zadawać pytania. Był niespokojny, skubał kołnierzyk marynarki i rysował jakieś geometryczne wzory na marginesach kartek w swoim notatniku.

- To znaczy, że nie potrafiłaby go pani rozpoznać? Pani Crimmons wzruszyła obojętnie ramionami.

- Wątpię.

Zdradziła mnie moja twarz, w głosie nie brzmiało niedowierzenie.

- Chce pani powiedzieć, że nie udałoby się pani wskazać go wśród stojących w szeregu mężczyzn? Przecież spędziła z nim pani przeszło cztery godziny, była z nim pani w barze...

Rysy pani Crimmons stwardniały, w oczach pojawił się ostry błysk.

- Nie sądzę, by mi sprawiało różnicę, jak dobiera pani słowa - rzekła elegancko. - Nie „byłam z nim”, jak to pani ujęła. Zostałam zmuszona siłą. Frank ożywił się; przez cały czas słuchał.

- Ależ oczywiście, to właśnie miała na myśli funkcjonariuszka Uhnak. Z pewnością, pani Crimmons, uda się pani rozpoznać go w grupie czterech

czy pięciu mężczyzn.

- Frank mówił chrapliwie, jak gdyby miał trudności z przełykaniem.

142

Pani Crimmons uśmiechnęła się smutno. Zadziwiająco, jak zmieniała się jej twarz i głos, gdy odwracała się ode mnie do mojego partnera.

- Jak już mówiłam, był nijaki - ciemne włosy, ciemny garnitur, kompletnie nieatrakcyjny. Potrafię opisać mężczyznę, którego widziałam przelotnie na ulicy czy w autobusie - pod warunkiem, że jest atrakcyjny. Ze ma coś w sobie - chyba rozumie pan, co mam na myśli. - Frank odkaszlnął.

Wyraźnie usiłował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. - Tak jak świętej pamięci pan Crimmons - to był mężczyzna - rzekła z dumą i uczuciem. - Duży, męski, przystojny. Miał w sobie to „coś”, jakąś niesamowitą aurę. - Pani Crimmons przesunęła spojrzeniem po niewysokiej, lecz silnie zbudowanej postaci Franka, po czym spojrzała mu prosto w twarz. - Potrafiłabym opisać pana bardzo dokładnie, panie detektywie, od stóp do głów. - Umilkła na chwilę, machnąwszy lekceważąco dłonią. - Ale nie tamtego wczorajszego zwierzaka - kompletne zero. Nie potrafiłabym nawet go naszkicować.

Frank odwzajemniał przez chwilę jej spojrzenie, po czym zmienił pozycję stóp na dywanie i utkwiał wzrok w ołówku, kreślącym niezrozumiałe esy-floresy na gwieździe, którą narysował wcześniej.

- Pozwólcie państwo, że was czymś poczęstuję, to okropne siedzieć tak tutaj przez tyle czasu. - Pani Crimmons wstała szybko i zbyła niczym moje pytanie o samochód. Jakiś przeciętny, czterodrzwiowy. Chyba czarna, tania marka. Kto by tam się znał? Przeszła przez pokój, świadoma, że Frank jej się przygląda, szlafrok lepił się do jej nóg. Odwróciła się,

kiwając kokieteryjnie palcem. - Jest pan zwolennikiem szkockiej, panie detektywie. Zawsze poznaję „Szkotów”.

Frank podniósł dłoń w geście protestu, ale pani Crimmons z wdziękiem pogroziła mu palcem.

143

- Ależ nalegam, nalegam. - Po czym, przypominając sobie z opóźnieniem o mnie, dodała: - A pani, moja droga, czego się pani napije? Boże drogi, wygląda pani tak młodo, za młodo na policjantkę, za młodo na to, by mieć do czynienia z całą tą ohydą. Trudno mi zrozumieć, jak taka młoda dziewczyna może... Cóż... na co ma pani ochotę?

Pani Crimmons była teraz samą słodyczą, wdziękiem, wręcz gruchała.

- Nie, dziękuję, pani Crimmons.

W pokoju zapanowała nagle martwa cisza. Frank potarł nerwowo twarz, po czym popatrzył na mnie. Ukryłam uśmiech, ponieważ on się nie uśmiechał. Pani Crimmons wróciła, trzepocąc się, do pokoju i podała Frankowi szklaneczkę bursztynowego płynu. Stała obok niego, dopóki nie wlał szkockiej do gardła, następnie podała mu szklanę wody, nie odrywając wzroku od jego szyi. Swoją szkocką piła tylko z lodem, nie robiło to na niej chyba żadnego wrażenia. Frank oddał jej pustą szklanę po wodzie i wreszcie wymamrotał:

- No cóż, myślę, że to wszystko, co nam pani może opowiedzieć, pani Crimmons. Zrobimy, co w naszej mocy, i powiadomimy panią o efektach. Pani Crimmons uśmiechała się smutno. Gdy podała mi rękę i odezwała się do mnie, w jej głosie zabrzmiał znowu południowy akcent.

- Tak, to naprawdę okropna sprawa i jestem państwu bardzo wdzięczna, że przyszliście do mnie. Zdaję sobie sprawę, że to duży kłopot. Żałuję, że nie

mogłam być bardziej pomocna, ale naprawdę nie bardzo jest o czym opowiadać. - Wróciła całkowicie do wizerunku, który zaprezentowała na początku. Było to doprawdy zdumiewające przedstawienie.

144

Wyrwałam dłoń z jej wilgotnego uścisku, ona jednak chyba tego nawet nie zauważyła. Wyciągnęła rękę do Franka, nie odrywając oczu od jego warg, pod wpływem tego spojrzenia usta mu lekko zadrgały.

- Dziękuję panu bardzo, detektywie Warener. Był pan taki miły, to bardzo podnoszące na duchu wiedzieć, jakich mamy wspaniałych policjantów. Jestem pewna, że zrobi pan wszystko, co w pańskiej mocy. I proszę mi dać znać, czy mogłabym być w czymś pomocna. Gdyby tylko pan czegoś potrzebował... - Puściwszy wreszcie jego dłoń, uśmiechnęła się i powiedziała cicho: - Z pewnością nie miałabym żadnych kłopotów z opisaniem pana, panie detektywie.

Frank wydał z siebie dźwięk, jak gdyby się zakrztusił, wydając się nie zauważać, że jedna noga pani Crimmons jest odsłonięta od biodra do kostki i że właśnie ta noga przyciska znacząco jego nogę. Skinął głową i otworzył przede mną drzwi.

Przystanąłam na chwilę w progu, powodowana dziecinnym uczuciem przekory i złościwości.

- Ach, pani Crimmons, sama trochę szkicuję i bardzo jestem ciekawa pani prac. Czy mogłaby mi pani którąś pokazać?

Przebiegłe oczka świdrowały spojrzeniem moją twarz.

- Zostawiłam mój szkicownik u pana Domingo - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- Och, jaka szkoda - tak bardzo chciałabym zobaczyć jakiś pani rysunek. -

Zawahałam się, po czym dodałam drwiąco: - Jestem pewna, że jest pani prawdziwą profesjonalistką.

Twarz jej się ściągnęła, porysowała ją siatka zmarszczek. Dłoń Franka wypchnęła mnie za drzwi, które zatrzasnęły się za nami, po czym usłyszeliśmy ostry brzęk mosiężnego łańcucha.

145

Zeszliśmy po schodkach patio i skręciliśmy w przecznicę, gdzie stał zaparkowany samochód. Przeszliśmy spory kawałek, gdy nagle Frank zatrzymał się na środku chodnika, zaczął coś mówić, po czym przerwał i zaczął kręcić głową, jak gdyby próbował się obudzić.

- Chryste - powiedział. Na jego twarzy odmalowały się kolejno zdumienie, niedowierzanie, wreszcie rozbawienie. - Chryste! Wiesz co, Dorothy, po raz pierwszy w mojej pracy potrzebowałem kobiety jako ochroniarza! - I obejrzał się przez ramię na dom, w którym udało mu się zwycięsko przejść ogniową próbę.

Wracając samochodem do komisariatu, śmialiśmy się do rozpuku, czepiając się słów, aluzji, odczuć, a gdy wreszcie napisaliśmy nasz raport, krótki, lakoniczny i oficjalny, zakończyliśmy go jednym słowem: „Bezpodstawne”.

Twój jedyny przyjaciel na całym świecie

Praca w policji, tak jak każda inna praca, przebiega według ustalonego porządku - patroluj ten sektor, wykonaj to zadanie, sprawdź tę skargę, przesłuchaj tego mężczyznę, tę kobietę, to dziecko, przeprowadź śledztwo w tej firmie, pracuj nad tą sprawą. Zawsze jednak masz świadomość, że podczas owej codziennej rutyny może zdarzyć się nagle coś nieoczekiwanego, gwałtownego. Jeśli głos policjanta z drogówki, który

zatrzymał kogoś za niewielkie wykroczenie, jest nadmiernie surowy, może działać się tak dlatego, że gdzieś w najgłębszych zakamarkach pamięci zachował wspomnienie o wypadku, o którym kiedyś słyszał lub czytał, a mianowicie, gdy pewien policjant - zatrzymawszy kogoś za przejechanie skrzyżowania na czerwonym świetle, przekroczenie szybkości, a może nieprawidłowe wykonanie skrętu - został zastrzelony z bloczkiem mandatowym w rękę. Bez powodu. Jeśli w wezwaniu policjanta do rozejścia się ciekawskich podczas jakiegoś niezwykłego wydarzenia brzmią władcze nuty, może jest tak dlatego, że nieraz już widział, jak z garstki gapiów powstaje groźny tłum.

147

Był w takiej sytuacji, poznał psychologie tłumu. Przy każdym kolejnym aresztowaniu człowiek uczy się przejmować inicjatywę. To zasadnicza sprawa. Działasz błyskawicznie i jeśli nawet twój więzień sprawia wrażenie miłego, spokojnego, łagodnego, nie wolno ci zaufać mu, uwierzyć w jego potulność, dopóki nie odstawisz go bezpiecznie do komisariatu. Uczysz się nie ustępować, albowiem masz świadomość, że wielu policjantów, którzy nie zastosowali się do tej zasady, straciło życie podczas pozornie niegroźnych, rutynowych działań.

Gdy przydzielono mnie do pracy z Hankiem Lud-lowem, byłam ogromnie szczęśliwa, ponieważ mogłam pracować w stałych godzinach w ciągu dnia - od dziewiątej rano do piątej po południu.

Firma Kensington Shoe Company zajmowała ciąg pokojów w modernistycznym szklanym budynku, w bok od Piątej Alei. Kobiety, które tam pracowały - sekretarki, projektantki obuwia, modelki, asystentki wiceprezesów - należały do typu kobiet, których zawsze unikałam, jeśli

tylko mogłam. Były dorosłymi dziewczynkami z mojego dzieciństwa, wyrobionymi towarzysko nastolatkami z lat szkolnych - zawsze pewne siebie, przekonane o swojej racji, eleganckie, doskonale pod każdym względem. Odpowiednia suknia na odpowiedniej szykownej skąpej bieliźnie; najbardziej przejrzyste pończochy, w których nigdy nie lecał oczka; staranny, fantastyczny makijaż, jak gdyby zrosnięty ze skórą; błyszczące oczy z delikatnym cieniem na powiekach; nie rozmazująca się nigdy szminka w odcieniach, których nie da się opisać; idealna fryzura, swobodna wskutek wielu zabiegów, z delikatnym bależem. Stopy bolały mnie, ponieważ nie byłam przyzwyczajona do pantofelków na wysokich obcasach. Gdy patrolujesz ulice, wybierasz wygodne buty na płaskim obcasie. Nosisz

148

ciepłe niezgrabne swetry, chroniące przed nocnym chłodem, i czapki na uszy.

Czułam się, jak gdybym wyelegantowała się do teatru, ale tamte dziewczyny ubierały się tak na co dzień. Spędziłam rano znacznie więcej czasu przed lustrem, robiąc makijaż, pończochy włożyłam w ostatniej chwili. Miałam być jedną z nich i mimo iż zdawałam sobie sprawę, że to tylko zadanie, odczuwałam osobliwe oburzenie, dawny bunt z czasów, gdy byłam chłopczycą - nie ja!

Przesłuchaliśmy prezesa firmy, Mac Gluttmanna - „pana Maca” - we wtorek. Był niskim, krępy męczyzną o kwadratowej, płaskiej głowie w wianuszku siwych włosów. Od nosa do ust ciągnęły się głębokie, skrecające ku dołowi bruzdy, elegancki, szyty na miarę garnitur leżał idealnie na jego brooklyńskiej figurze, podkreślając szerokie ramiona i

wypukłą klatkę piersiową.

- Żaden nędzny złodziejasek nie będzie mnie okradał - powiedział, stukając w klatkę piersiową potężnym kciukiem. W jego głosie zabrzmiała dawna zawziętość i wyglądał za swym błyszczącym drogim biurkiem nie na miejscu, jak intruz, prostak. - Znam takich typków, cholernych włóczęgów. - Pochylił się do przodu, kręcąc głową, żeby dać nam do zrozumienia, że nie jest gorszy od nas, a już z pewnością nie należy do głupców. Mieliśmy do czynienia z człowiekiem, który wszystko zawdzięczał sobie, niczego nie podano mu na półmisku. Zeby znaleźć się na swojej pozycji, musiał przebyć długą i trudną drogę. A teraz kieruje wartym milion dolarów zakładem produkującym modne obuwie, jest szefem jednej z najlepiej prosperujących, najbardziej przebojowych firm w kraju.

- Widzicie tych ludzi tutaj? - Wysunął do przodu kwadratową szczękę, szorstką od siwego zarostu, wskazując gestem drzwi do biura. - Młodzi. To właśnie lubię

149

mieć wokół siebie. Młodych. Te dziewczyny - ani jedna nie przekroczyła dwudziestu pięciu lat, nie wyłączając dwóch czołowych projektantek. Ta firma jest młoda, a jej prezes - uderzył się pięścią w klatkę piersiową - jest również młody. Skończyłem sześćdziesiąt cztery lata w maju, a jestem młodszy od najmłodszego pracownika. Sam złapałbym tego łazęgę, ale mój syn - odwrócił się, spoglądając z kwaśną miną na swą wierną kopię (syn stał bez ruchu u boku ojca) - chce, żeby to załatwić w taki właśnie sposób. A więc schwytajcie tego drania i nie pozwólcie, żeby dostał się w moje ręce - tyle tylko wam powiem! Leo, zaprowadź ich do środka, do

swojego gabinetu, i wyjaśnij im wszystko.

Pan Mac wysunął dolną wargę, taksując mnie wzrokiem, od kostek do kolan, od kolan do talii, od talii do szyi, zamrugał szybko, pomiął całkowicie moją twarz, po czym powtórzył całą inspekcję od początku.

Wyraźnie przeszłam ją zwycięsko.

- Taak - mruknął. - Młodość... niech to licho, to najlepsza rzecz. Spytajcie mnie, ja dobrze wiem.

Pan Leo zaprowadził nas do swego gabinetu, wyłożonego dywanem i urządzonego spokojnie przez tego samego dekoratora, który zaprojektował gabinet ojca, tyle że nie z takim przepychem - widocznie syn jeszcze na to nie zasłużył. Pan Leo wyglądał na zmęczonego, miał proste czarne włosy, kręłą budowę ojca i długie ręce, które sprawiały, że przypominał nieco małpę. Ciemne kręgi pod oczami zachodziły aż na policzki, czarne gęste brwi stykały się nad nosem, wydatne wargi były spierzchnięte. Palce miał poplamione nikotyną i brudne, mankiety drogiej koszuli nosiły ślady brudu. Zachowywał się, jak gdyby wcale nie był młody, miało się wrażenie, że jest zbyt znużony, by przetrwać dzień.

150

- Ten facet, ten czyściciel okien - powiedział - zdarzyło się to już trzy razy.

- Tłumaczyłem dziewczętom, że powinny być ostrożniejsze i nie zostawiać tak torebek z pieniędzmi. Wydaje im się, że są w domu. Sami widzicie, te pomieszczenia nie przypominają biura - dywany, kanapy, wyściełane krzesła. - W głosie pana Leo brzmiała dezaprobata, zgarbił się, mówiąc bardzo cicho i zerkając od czasu do czasu na boki. - Czują się swobodnie, rozluźniają się, zapominają i zostawiają wszędzie rzeczy. Mojej sekretarce zginął zegarek, asystentce ojca - portfel z sześćdziesięcioma siedmioma

dolarami. Zapalniczka, tani pierścionek. Za każdym razem za bytności czyściciela okien.

Hank Ludlow nie mógł jakoś zdecydować się, by usadowić swą długą postać na kanapie z gumy piankowej.

- Dlaczego nie wezwał nas pan wcześniej?

- Mój staruszek... - pan Leo wzruszył ramionami, spoglądając w stronę gabinetu ojca. - Mój ojciec uważa się za Sherlocka Holmesa. Zamierzał sam złapać złodzieja. Wyrzuciłby go przez okno. - Pan Leo skrzywił się lekceważąco. Naprawdę przypominał krępą małpę. - Wielkie rzeczy - mieścimy się na pierwszym piętrze. Bawi się w detektywa, ale nic się nie dzieje, gdy jest w pobliżu. Facet kradnie tylko wówczas, gdy dziewczyny są same

- albo pomieszczenie jest puste. Nikt nie przyłapał go na gorącym uczynku. - Obejrzał się znów przez ramię.

- Staruszek lubi się bawić. Ma fioła na punkcie młodości, chyba się połapaliście?

Pan Leo podniósł dłoń gestem wskazującym, że i on, i my zdajemy sobie sprawę ze słabostek starszego pana. Miał zgnębione spojrzenie syna swego ojca.

Zaprowadził mnie do mojego biurka. Było ogromne, ze szklanym blatem, tak że widziałam własne stopy, które

151

staralam się ustawić jak najzgrabniej. Wszyscy tutaj mieli chyba wielką słabość do stóp, a raczej butów. Kobiety przyglądały się surowo, krytycznie, profesjonalnie pantofelkom swoim koleżanek. Najwyraźniej obowiązywała zasada, że nie wolno włożyć tego samego obuwia dwa razy

z rzędu. Natychmiast zorientowały się, gdzie kupiłam moje, ile za nie zapłaciłam, i było jasne, że nie zyskałam w ich oczach wysokiej oceny. Na moim biurku stała jasnoróżowa maszyna do pisania, wyglądająca jak zabawka. Była elektryczna i klawisze tańczyły jak szalone, gdy położyłam na nich palce.

Czyściciel okien o lepkich palcach miał pojawić się w biurze tego dnia. Kończył pracę na drugim piętrze, a następnie przechodził do Kensington - to była jego działka. Nikt nie znał dokładnej godziny jego przyjścia, ale ja miałam nadzieję, że nastąpi to szybko.

Hank spytał, czemu dziewczyny nie poskarżyły się bezpośrednio szefowi czyściciela, nie postawiły mu otwarcie zarzutu. Okazało się, że chciały to zrobić, ale starszy pan twierdził uparcie, że trzeba go przyłapać na gorącym uczynku. Pan Mac lubił działanie, lubił, żeby sprawy były załatwiane jak należy, dlatego siedziałam teraz przy tej idiotycznej różowej maszynie do pisania i błaznowałam, uderzając w zaczarowane klawisze. Hank znajdował się w sąsiednim pomieszczeniu - pokoje, poza gabinetami kierownictwa, były oddzielone od siebie lekkimi przezroczystymi przepierzeniami.

Wykonałam kilka ćwiczeń palcami, żeby wyczuć maszynę. Widziałam, że Hank przygląda się wzorom obuwia wyeksponowanym w wysokiej gablocie, dotykając lekkich, wytwornych pantofelków na szpilce dużymi dłońmi, które nigdy nie trzymały podobnych cacek. Podniósł jeden do góry, pokazując mi go i uśmiechnął się szeroko.

152

Czyjaś sekretarka, przechodząc obok, zauważyła nasze rozbawienie i zmroziła mnie, spoglądając pod biurko. Próbowałam ukryć stopy, ale były

doskonale widoczne przez szklany blat. Następnie podniosła wzrok ku mojej twarzy. Wyraźnie mnie przejrzała.

Rozmawiały ze sobą sztucznymi głosami - cichymi, niskimi, wyszkolonymi w którejś z tych drogich szkół uczących, jak osiągnąć sukces, przy których, jak się dowiedziałam, upierał się pan Mac. Chciał, żeby były nie tylko młode, ale ukształtowane według pewnego szablonu. Jedyną osobą mówiącą głośno w tej firmie był pan Mac. Gdy ryczał przez małe różowe interkomy stojące tu i ówdzie na półkach, wszyscy milkli i stali, z zapartym tchem słuchając szefa, dopóki nie skończył. Wyraźnie miał własną metodę. Dopiero gdy kończył swój komunikat, wymieniał nazwisko osoby, do której był skierowany. Po godzinie takich nagłych ogłoszeń przyłapałam się na tym, że słucham ich w napięciu razem z innymi, jak gdyby mogły być skierowane również do mnie. „Te cholerne rysunki to gówno warta paćkanina. Chcę mieć natychmiast nowe projekty. I proszę zmniejszyć czerwone obrzeża. Marion!“. „Salon wystawowy ma być idealnie wysprzątany, żeby nie było w nim nawet drobinki kurzu, a nowe pantofle domowe - te różowe i zielone - mają się znaleźć w gablocie K-13 - natychmiast. Harold!“. Było to trochę denerwujące.

Nie miałam o czym rozmawiać z tymi dziewczynami. Nie pasowałam tutaj. Kontynuowały swoje ciche plotkarskie rozmówki na temat rysunków butów, zdjęć butów wyciętych z najlepszych czasopism - z rodzaju tych, które prezentują na całej stronie kobiecą twarz, wynurzającą się z jakiegoś tajemniczo zamglonego tła, oraz jedno słowo w rogu kartki - nazwę firmy produkującej kosmetyki lub

cudownie odmładzającą emulsję. Być może one też wynurzyły się z

podobnej mgły i zastanawiają się, rzucając zawoalowane, złośliwe spojrzenia, skąd ja się wzięłam. Wiedziały, że jestem policjantką, i wyciągnęły z tego pewne wnioski - przypuszczalnie, że zostałam zdemoralizowana i zmęczona kontaktem z okropnościami jakiegoś odległego i prawie nie istniejącego świata.

Miałam na sobie „małą czarną”, skromną sukienkę, ozdobioną tylko niewielką złotą szpilką w kształcie sówki, którą Tony znalazł na piasku w Montauk - była brudna i podrapana, ale przy zapięciu miała wygrawerowany napis „Tiffany - 14 k”. Tony odczyścił ją dla mnie i wypolerował. Ta mała szpilka dodawała mi odwagi, nawet gdy czułam się nieco onieśmielona pewnością siebie i doskonałością dziewczyn.

Wszystkie zauważyły, że moje obuwie jest nie do przyjęcia, zwykłe niedrogie czarne czółenka, żadna jednak nie spojrzała na moją śliczną złotą sówkę. Do diabła z nimi. Spędzę zaledwie niecały dzień w tym biurze. Miałam wrażenie, że zaczynam się dusić w atmosferze rygorystycznej wytworności, wśród delikatnych tapet i obrazów w antycznych ramach, zawieszonych wokół małych półeczek z idiotycznie wyglądającymi butami.

Czyszciciel okien wszedł bez słowa do recepcji i przystąpił do pracy. Tak jak ustaliliśmy wcześniej, kobiety zniknęły bezszleśnie, nie okazując żadnych emocji, jak papierowe lalki. Pan Mac zagrzmiął zza ściany, wzywając swoją sekretarkę, która przemknęła po dywanie ze spojrzeniem utkwionym przed siebie, przyciskając notatnik do szczupłego, kościstego uda. Hank trzymał znów w dłoni but, ale teraz obserwował mnie i wiedziałam, że nie spuści ze mnie wzroku, dopóki nie dam mu sygnału. Przepisywałam na maszynie jakiś ustęp z magazynu poświęconego

obuwii, zafascynowana niesamowitymi

154

możliwościami maszyny. Wystukiwała litery z przedziwną własną siłą, niemal bez udziału moich palców. Siedziałam plecami do okna, ale wiszące na jednym z przepierzeń lustro w szerokich ramach zapewniało mi doskonały widok na podejrzanego. Przesuwał gumową wycieraczką po szybie, wychylony na zewnątrz budynku. Nie był przypięty pasem i wydawało się, że wisi na jednym palcu. Słyszałam, jak chrząka, zaparty o framugę okienną, i macha ręką w górę i w dół, w górę i w dół. Nie odrywałam rąk od klawiszy, które stukały wściekle, wskazując na moje wielkie zaangażowanie pracą. Mężczyzna był do mnie zwrócony plecami, pochylony nad wiadrem i ścierkami, paski i sprzączki zwisały mu po bokach. Przejechał brudną, szarą ścierką po karku, po czym wepchnął ją do tylnej kieszeni. Oparł się ciężko

0 stojące obok niego biurko, przesunął dłonią po jego blacie i nie oglądając się na mnie, zabrał brylantowy zaręczynowy pierścionek, który leżał tuż obok różowego telefonu, i schował go do kieszeni.

Poprawiłam włosy, nie odrywając lewej ręki od klawiszy maszyny. Hank ruszył w stronę pokoju. Czyściciel okien sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął papierosa i włożył go do ust. W tej chwili Hank wszedł do pokoju, dostrzegając moje skinienie i gest w kierunku wyimaginowanej kieszeni sukni. Nie sądzę, by zdawał sobie sprawę, że trzyma w lewej dłoni fioletowy pantofel. Z lekko zdziwioną miną upuścił go na podłogę, ujmując czyściciela okien za ramię

1 podsuwając mu pod nos odznakę.

Hank był wysokim mężczyzną, z pozoru nieruchawym, co zapewne

zwiodło wielu, albowiem w rzeczywistości był bardzo szybki. Zanim zdążyłam wstać, oparł podejrzanego o ścianę, a raczej o kratownicę, która ją udawała.

- Odstaw wiadro, chłopie. Policja.

155

Hank, trzymając go żelaznym uchwytem za ramię, kiwnął głową.

- Dobra, wyjmij pierścionek z kieszeni! Mężczyzna wpatrywał się w niego bez słowa, bez ruchu,

ale wyraźnie zbladł na twarzy. Hank popchnął go w pierś.

- Wyjmij papierosy i pierścionek. No, dalej, kładź wszystko na biurku!

- Nie mam żadnego pierścionka - odparł mężczyzna, rozglądając się po pokoju, po czym znów spojrzał na Hanka. Przygryzł wargę, rozważając chyba sytuację i podejmując jakąś decyzję. - To nie ja, koleś. Nie jestem facetem, którego szukasz.

Hank sięgnął bezceremonialnie do jego kieszeni, rzucił papierosy na biurko, wreszcie wyłowił pierścionek i podsunął pod oczy mężczyźnie.

- To twoja własność? - spytał cicho.

Przywołał mnie gestem. Podejrzanym wyglądał na zaskoczonego. Nawet mnie nie zauważył.

- Jestem policjantką. Widziałam, jak bierzesz pierścionek z biurka i wkładasz do kieszeni.

Nagle do pokoju wdarł się głos pana Maca. Zdawał się dobiegać ze ścian, sufitów, podłóg. Najwyraźniej komunikat był skierowany do nas, prezes ryczał wściekle, co zamierza zrobić z „włóczęgą”. Więzień wykorzystał sekundę, gdy wytrącił nas z równowagi nieoczekiwany dźwięk, pchnął Hanka na mnie i popędził przez pokój. Zderzył się z przepierzeniem i

wypadł przez szklane drzwi recepcji na korytarz. Puściłam się biegiem za Hankiem, chwytając torebkę z biurka, i zobaczyłam, jak mój partner naciera na drzwi ramieniem, otwierając je silnym pchnięciem. Usłyszałam jakiś tumult na schodach, odgłosy walki. Hank trzymał kurczowo paski zwisające ze spodni czyściciela, który kopał ciężkim butem jego nogi.

Schody

156

były stalowe, ognioodporne, o ostrych krawędziach. Hank schwycił mężczyznę za kołnierz, mnie zaś udało się złapać zwisający luźno pasek, czyściciel jednak uderzył mnie łokciem. Nie zdawałam sobie sprawy, jakim jest silnym facetem, mięśnie rąk i ramion stwardniały mu od codziennej ciężkiej pracy. Potężnie zbudowany, bez grama tłuszczu, szarpał się z Hankiem, który wprawdzie wysoki i żyłasty, stracił równowagę podczas tych zmagania i stoczył się ze schodów. Pociągnęli mnie za sobą, ponieważ pasek oplatał mnie wokół talii. Ścisnęłam kurczowo torebkę, jak gdyby stanowiła część mnie, i nie odczuwałam bólu, choć turlałam się po metalowych stopniach. Wstaliśmy wszyscy równocześnie, wciąż ze sobą złączeni, i wpadliśmy z impetem na mosiężne drzwi prowadzące do holu budynku.

Znaleźliśmy się w holu, w samym środku przerażonych urzędników udających się na lunch - trzy splecione, mocujące się ze sobą postacie. Gdzieś zgubiłam buty. Czułam, że skaleczyłam nogę. Słyszałam okropne odgłosy uderzeń - on bił mnie po twarzy. Głowa odskakiwała mi po każdym ciosie, ale nie czułam bólu, miałam tylko świadomość, że mnie bije. Ręce i nogi mieliśmy straszliwie splątane, ktoś ciągnął mnie za włosy, wpychał mi rękę do ust.

- Rewolwer! - wydyszał Hank, nie mogąc dostać się do własnego. - Na miłość boską, Dot, wyciągnij broń!

Puściłam pasek i wyciągnęłam rewolwer, upuszczając torebkę. Hankowi udało się przyprzeć mężczyznę do ściany, próbował go utrzymać, ja zaś wycelowałam lufę w twarz złodzieja. Widziałam jednak, że ma szklisty, nieprzytomny wzrok i nie zdaje sobie sprawy, że celuję w niego z prawdziwej broni. Nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia.

157

- Siedź spokojnie, skurwysynu, albo cię zastrzelę! Udało mu się kopnąć Hanka w goleń. Trzymałam palec na spuście rewolweru, gdy nagle poczułam, że zostałam odepchnięta na środek holu. Wylądowałam na stoisku ze słodyczami, miałam tuż przed sobą rozszoszczoną twarz sprzedawczyni cukierków, która wykrzykiwała histerycznie:

- Paniusiu, paniusiu, niech się pani zabiera z moich towarów! Rozwaliła mi pani kompletnie gazety i czasopisma.

Słyszałam słowa i głos, widziałam obrzydliwą gębę, ręce wyciągnięte nad półkami z batonikami i gumą do żucia. Kobieta zawodziła rozpaczliwie nad swoimi towarami, dookoła otaczały nas przerażone, zaciekawione twarze, z otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczami. Gapie byli przestraszeni, ale zbyt zaintrygowani wydarzeniem, żeby odejść.

- Wezwijcie policję! - powiedziałam cienkim, obcym głosem. - Jesteśmy policjantami. Na miłość boską, niech ktoś wezwie policję!

Hank szarpał się z zatrzymanym. Potężny mężczyzna, wykorzystując swą wagę i siłę, wymierzył straszliwy cios mojemu partnerowi, kopiąc go jednocześnie z całej siły ciężkim zakurzonym butem. Hank nie puścił go,

ściągnąć go w dół, ja zaś trzasnęłam go kolbą rewolweru w podstawę czaszki. Rozległ się okropny, głośny, trudny do wyobrażenia, nierealny dźwięk. Czyściciel zdawał się poruszać w zwolnionym tempie. Chciał znowu kopnąć Hanka, ale chybił celu, pośliznął się i upadł na kolana. Zamachnął się wściekle na Hanka, który chwycił go za rękę i wykręcił do tyłu. Tył łysiejącej głowy przestępcy, z resztkami cienkich jasnych włosów, zaczynał barwić się na czerwono od krwi ciekącej z długiej ciętej rany. Kop-

158

nęłam go w brzuch, ostry ból powiedział mi, że nie mam na nogach butów. Rzucił się na mnie jak zwierzę, cofnęłam się gwałtownie, ślizgając się na wypolerowanej posadzce. Czułam, że wpadam na coś lub na kogoś, czyjeś ręce odepchnęły mnie ze złością. Obejrzałam się. Popchnęła mnie stojąca za mną kobieta z wykrzywioną z wściekłości twarzą. Zauważyłam, że jest w ciąży, ale nie mogłam zrozumieć, czemu mnie popchnęła. Zatrzymany oraz Hank tarzali się po podłodze, próbując się nawzajem obezwładnić. Gdy chciałam włączyć się do walki, stanął nagle przede mną ogorzały starszy mężczyzna o surowej twarzy, chudy, żyłasty facet w mundurze strażnika bankowego.

- Glina? - spytał krótko. Skinęłam głową, on zaś pochylił się i wymierzył czyścicielowi potworny cios w twarz, który pozbawił go przytomności. Następnie chwycił Hanka za ramiona i podciągnął go do pozycji siedzącej.

- Wszystko w porządku?

Hank skinął głową, nie widząc przed sobą jego twarzy, po prostu kiwał głową, jak gdyby chciał się otrząsnąć, skupić. Sięgnął po kajdanki, ale tamten wyjął mu je z rąk.

- Ja to zrobię, kolego. - Szybko, profesjonalnie nałożył kajdanki zatrzymanemu, który wracał do przytomności, zaczynał się wykręcać. Skuł mu ręce za plecami, wyjaśniając jednocześnie: - Choć jestem już sześć lat poza służbą, nie straciłem refleksu. Usłyszałem zamieszanie. Pracuję w First National, w tym samym budynku. Nic ci nie jest, dziewczyno? Pracowałem przez dziesięć lat w siedemdziesiątym komisariacie w Brooklynie. Hej, dobrze się czujesz, dziewczyno? Skinęłam głową, nie patrząc na niego, lecz na tłum, na twarze gapiów przyglądających się nam, mówiących o nas,

159

pokazujących nas palcami - Hanka, zatrzymanego, strażnika bankowego i mnie. Zobaczyłam, jak przez obrotowe drzwi wpadają umundurowani policjanci - czterech, potem trzech, wreszcie sierżant, wielki gruby mężczyzna o pyzatej twarzy.

Umundurowani policjanci rzucili się na wszystkich, sierżant ujął mnie za ramię. Nadal trzymałam w ręku rewolwer.

- Funkcjonariuszka Uhnak, panie sierżancie, to mój partner, a ten mężczyzna tutaj pomógł nam.

Gapie przysunęli się trochę bliżej, chcąc usłyszeć coś więcej. Nie rozumieli kompletnie, co się dzieje. Jakaś kobieta z tłumu, której nigdy w życiu nie widziałam, wołała cały czas do sierżanta, że chce rozmawiać z kimś, kto tutaj dowodzi. Zauważyła jego belki i wołała coś, wołała, wołała, aż wreszcie odwrócił się do niej zirytowany.

- O co chodzi, proszę pani? Czego pani chce? Chłopcy, zabierzcie stąd tych ludzi... przedstawienie skończone, możecie iść na lunch.

Kobieta, rzucając wściekłe spojrzenia, wskazywała na nas.

- Byłam świadkiem - powiedziała wysokim, piskliwym głosem. Wszyscy zbliżyli się, żeby lepiej widzieć. - Z kim mogę o tym porozmawiać?

- W czym rzecz, proszę pani? - burknął sierżant.

- Chcę zgłosić przypadek brutalności policji - powiedziała z oburzeniem, trzęsąc się z wściekłości. - Widziałam wszystko - ta kobieta uderzyła tamtego mężczyznę w głowę pałąk, pistoletem albo czymś w tym rodzaju, gdy klęczał, całkiem bezbronny. A potem przybiegł tamten facet, strażnik bankowy, i pobił go bezlitośnie, zakutego w kajdanki.

160

Zacząłam coś mówić, krzyczeć. Wiedziałam, że moje słowa są okropne, szokujące, wykrzykiwałam wszystkie nieprzyzwoite wyrazy, które wypróbowali na mnie chłopcy w domu opieki społecznej, wszystkie wyrazy, których mężczyźni starają się nie używać w codziennych rozmowach, jeśli jestem przydzielona do pracy w pokoju detektywów.

Wydawały mi się odpowiednie, satysfakcjonujące, ekspresyjne. Przyniosły mi ulgę, sprawiły przyjemność, nie obchodziło mnie ani trochę, kto je słyszy. Ruszyłam w stronę kobiety, ale sierżant przytrzymał mnie stanowczo za ramię i wydał szybko rozkazy podwładnym. Umundurowani funkcjonariusze wmieszali się w tłum i wyprosili wszystkich.

Czyściciel zaczął się znowu szarpać, z rękami skutymi na plecach. Kopał wściekle, rzucając się w stronę policjantów, nieczuły na ból, na ciosy, które inkasował, nieprzytomny z wściekłości. Pięciu funkcjonariuszy usiłowało go okiełznać, ale on walczył z nimi zaciekle, z zapamiętaniem szaleńca, z desperacką siłą, i musieli dobrze mu dołożyć, zanim udało im się wywlec go z budynku i wepchnąć do radiowozu.

- Chodźmy do biura - powiedział sierżant - musicie oboje doprowadzić się

do porządku. Macie tam płaszcze? - Opuścił wzrok na moje stopy. - A gdzie twoje buty?

Trzymał mnie za rękę, a Hanka podtrzymywał pod ramię drugą ręką. Hank był oszołomiony i skrzywiony z bólu.

- Gdzie jest ten facet? - wymamrotał. - Gdzie jest strażnik bankowy? To dawny gliniarz.

Ale mężczyzna zniknął, wrócił do swojej pracy.

W kompletnej ciszy wkroczyliśmy do świętej siedziby Kensington Shoe Company. Myślałam, że to dlatego, iż trzymam w ręku moje buty, które znalazłam na schodach.

161

Po chwili zorientowałam się, że wszyscy patrzą na Hanka i że jego twarz pokryta jest krwią. Umundurowany policjant wbiegł do biura, przynosząc mi torebkę. Sprawdziłam - niczego nie brakowało. Odznaka, portfel, klucze, kosmetyczka, notatnik z adresami. Szukałam gorączkowo grzebienia. Wszystkie nieskazitelne dziewczyny patrzyły na mnie, porozumiewając się bez słów, ale nie odzywając się do mnie.

Podeszłam do lustra, by poprawić włosy, i przyjrzałam się sobie. Twarz miałam brudną, wargi zakrwawione, w ustach słonawy smak. Krew sączyła się z rozciętej wargi, spływała po brodzie, miałam nią ubrudzone włosy i wierzch dłoni. Czułam pod dotknięciem bolesność policzka, widziałam niebieskawy obrzęk. Okręciłam się na pięcie, naładowana, wściekła. Dziewczyny spuściły wzrok, a sierżant jeszcze raz ujął mnie za ramię, uśmiechając się przyjaźnie.

- Hej, to prawda, że wyglądasz koszmarnie. Idź do toalety i umyj twarz. I na miłość boską - dodał surowo

- włoż buty. Jesteśmy tu chyba w jakimś sanktuarium, a ty stoisz sobie w pończochach z lejącymi oczkami!

- Powiedział to swym donośnym, grzmiącym głosem i byłam mu wdzięczna za te szokujące wyrażenia i hałaśliwe lekceważenie.

- Nienawidzę butów - wykrzyknęłam. - Są dobre dla lalun!

Wyraziwszy w ten sposób moją opinię o nich, przestałam zastanawiać się nad tym, co one myślą o mnie. Do diabła z nimi wszystkimi! Wyszłam sztywno z pokoju, mierząc je pogardliwym spojrzeniem. Gdy już umyłam się w damskiej toalecie, wróciłam do biura, wciąż trzymając buty w ręku. Z jakiegoś powodu nie mogłam ich włożyć

- jeszcze nie teraz.

162

Sierżant klócił się głośno z panem Makiem, zakrzykując go.

- Mam gdzieś pańskie gadanie, że nie może pan jej teraz zwolnić! To ona składa skargę i musi ją podpisać.

Dziewczyna-sopel w granatowej sukni z dzianiny i perłach przyglądała się z zaciekawieniem rumianej twarzy sierżanta. Dla niej był to dziwny, przykry widok. Pan Mac machnął ręką na sierżanta, który uchwycił ją w powietrzu.

- Proszę nie machać na mnie rękami, dobrze? Panienko, czy to ten pierścionek został pani skradziony? Czy jest pani własnością? Czy zostawiła go pani na biurku?

Dziewczyna kiwała głową w odpowiedzi na każde kolejne pytanie, czekając na to, co powie szef.

- Złapaliście złodzieja i nic więcej nas nie obchodzi. Moja pracownica nie pójdzie do sądu i tyle. Skończone. Skończone. Jest potrzebna tutaj. Mój

adwokat zabierze pierścionek z komisariatu, więc proszę mnie nie straszyć, że go pan zatrzyma.

I bez względu na to, co mówił sierżant czy w jaki sposób to mówił, nikt nie złożył skargi. Uznano, że to nasza sprawa i oni nie zamierzają się do niczego mieszać. Włożyłam w końcu buty, wzięłam płaszcz i zauważyłam, że Hank, siedzący w milczeniu na kanapie, ma twarz ściągniętą bólem i że wstaje sztywno, ostrożnie. Mnie również zaczynało wszystko boleć - nogi, twarz, usta, ręce. Nasze wyjście nie było raczej triumfalne, jednakże przystanęłam na chwilę w progu, odwróciłam się i spioru-nowałam ich wszystkich spojrzeniem, wiedząc, że się na nas gapią. Włożyłam w nie tyle pogardy, odrazy i dezaprobaty, na ile mnie było stać, ale czułam, że wargi mam spuchnięte i muszę wyglądać dość groteskowo. Sięgnęłam dłonią do sówki - nie było jej. Zgubiłam ją zapewne podczas szarpaniny. Doznałam głębokiego, graniczącego z paniką, poczucia straty. Nigdy jej nie odnajdę.

163

Wóz patrolowy sierżanta czekał przy krawężniku, żeby odwieźć nas do najbliższego szpitala. Zatrzymany został odwieziony do komisariatu w celu spisania. Rzeczowy, ciemnoskóry hinduski lekarz stażysta, kazał mi zdjąć pończochy - wisiały w strzępach, a nogi miałam podrapane i brudne. Nie zauważyłam wcześniej skaleczenia na prawej kostce. Oczyszczył moje nogi sterylnymi wacikami nasączonymi przezroczystym płynem. Do oczu napłynęły mi łzy, tak był szczypiący. Następnie posmarował mnie jakimś czerwonym lekarstwem. Hanka zabrano w przeciwnym kierunku, zauważyłam, że szedł zgięty, pochylony na prawą stronę. Stażysta miał bystrą, gładką twarz - czujną, nie wyrażającą zdziwienia,

całkowicie profesjonalną.

- Jest pani policjantką, tak? Bardzo interesujące. Czy boli panią jeszcze coś? W którym miejscu? Czy upadła pani, może na plecy? Hmm, bardzo interesujące. - Mówił ze starannym brytyjskim akcentem, uprzejmie, ale był chłodny.

Dał mi jakiś gorzki płyn do wypłukania ust i kazał mi go wypluć do małego okrągłego stalowego zlewu.

- Czy była pani kiedykolwiek szczepiona przeciw tężcowi? - spytał.

- Nie.

- Wobec tego zrobię pani trzy zastrzyki, rozumie pani? Podzielę dawkę. Oczekamy trzydzieści minut po każdej dawce. Jeśli jest pani uczulona, wystąpi obrzęk i zaczerwienienie wielkości... powiedzmy, ćwierćdolarówki i nie zrobię dalszych zastrzyków. No tak. - Wstrzyknął mi pierwszą dawkę w prawą rękę, po wewnętrznej stronie, tuż poniżej łokcia, po czym zniknął, mruczając coś cicho pod nosem. Zjawiła się pielęgniarka, która spisała wszystko, co im było potrzebne do akt, i dała mi papier do

164

podpisania - coś w rodzaju zwolnienia. Spytałam ją o Hanka, ale nic nie wiedziała. Wyciągnęłam się na twardej kozetce do badań. Stażysta wrócił dokładnie po półgodzinie, sprawdził moją rękę i zrobił mi drugi zastrzyk. Potem przyszedł starszy lekarz, mężczyzna o zabawnym wyglądzie, długich siwych włosach, w czystym białym fartuchu. Obejrzał moją rękę, moje posiniaczone i podrapane nogi, uśmiechnął się do mnie przelotnie, powiedział coś pod nosem i zajął się notatkami. Spytałam go o mojego partnera.

- Robią mu prześwietlenie. Bolał go plecy i bark. Jest w dobrych rękach. -
Uśmiechnął się z zadowoleniem, pokazując duże, żółtawe zęby.

Wróciła pielęgniarka.

- No, proszę wziąć się w garść - powiedziała z uśmiechem. - Na zewnątrz
jest kilku reporterów, którzy chcą zrobić pani zdjęcie - zaćwierkała.

Weszło dwóch mężczyzn, jeden z aparatem fotograficznym, i poprosili
doktora, by pozował do zdjęcia razem ze mną. Ten z notatnikiem poprosił
mnie, bym przeliterowa-ła moje nazwisko, spytał, ile mam lat, jak się
nazywa mój partner, jak zatrzymany. Uświadomiłam sobie, w pewnym
sensie zaszokowana, że nie znam nawet jego nazwiska, ale reporter
powiedział, że sprawdzą w komisariacie. Zadał kilka szybkich pytań i
wydawał się zadowolony z moich odpowiedzi. Fotograf zaczął ustawiać
nas do zdjęcia. Stary doktor ujął mnie pod brodę, odchylając mi głowę do
tyłu, tak że w zasięgu wzroku miałam jedynie sufit. Fotograf podciągał mi
spódnicę do góry, ja zaś ściągałam ją w dół. Gdy wyteżyłam oczy, udało
mi się dojrzeć jedynie wyszczerzone w uśmiechu żółte zęby doktora.
Fotograf kazał mu opuścić trochę moją twarz - miał w obiektywie
wyłącznie moją szyję i kolana. Doktor szarpnął moją

165

głowę kilka centymetrów w dół, trzymał mnie jednak tak mocno, że nie
widziałam fotografa, tylko błyski flesza, które kompletnie mnie oślepiły.
Potem reporterzy wyszli.

Stary lekarz odszedł razem z reporterami i nie widziałam go już więcej.
Nie chciałam dzwonić do Tony'ego do biura. Postanowiłam zaczekać do
powrotu do domu. Poczułam dziwne mrowienie w ręce. Po jej
wewnętrznej stronie pojawiła się jasnoczerwona okrągła plama. Miejsce

było bardzo gorące i wrażliwe, plama miała już sporo ponad pół centymetra średnicy. Świetnie. Hinduskiego stażysty nie było na korytarzu, ale miał wrócić mniej więcej za dziesięć minut. Rzeczywiście, zjawił się co do minuty, niosąc w ręku strzykawkę. Tymczasem zaczerwienienie zniknęło.

- Doktorze, kilka minut temu miałam w tym miejscu jasnoczerwony ślad - powiedziałam, wyrywając, rękę.

- Ach, bardzo interesujące - odrzekł, mierząc mnie spojrzeniem wilgotnych brązowych oczu. - Co ma pani dokładnie na myśli, mówiąc „jasnoczerwony”?

- Jasnoczerwony - wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

- Taak. A jak był duży ten ślad?

Złączyłam palec wskazujący i kciuk w kształt kółka.

- I plama była bardzo gorąca, bardzo czerwona i bardzo gorąca.

Wzruszył ramionami z uprzejmą miną.

- Mówi pani, że plama była jasnoczerwona, bardzo gorąca, a może źle panią zrozumiałem, na pewno jasnoczerwona i bardzo gorąca? Czy obejrzała ją pielęgniarka?

Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu.

- Nikt jej nie oglądał. Ja ją widziałam. Była czerwona i gorąca, sam kazał mi pan zwrócić na to uwagę.

- Owszem, ale muszę to stwierdzić naocznie - odparł, ignorując chłodno moje świadectwo. - Pani się na tym nie

166

zna - dodał z doprowadzającą do szału wyższością. - Dam pani ostatnią dawkę szczepionki. - I zrobił mi zastrzyk, nim zdążyłam zaprotestować, po

czym wyszedł, spełniwszy swoje zadanie.

Dosłownie czułam, jak wnika we mnie płyn, wstrzyknięty wbrew mojej woli, przytłoczyło mnie uczucie bezradności i żalu nad sobą. Zrzucono mnie ze schodów, popchnięto na to okropne stoisko ze słodyczami, gapiono się na mnie i wytykano mnie palcami, oskarżono o brutalność, skrytykowano moją najlepszą sukienkę i skradziono mi jedyną naprawdę piękną złotą szpilkę. Mierzono mnie pogardliwym wzrokiem, a teraz naszpikowano jakąś trucizną!

Wybuchnęłam płaczem. Była to mokra, bezgłośna mieszanina gniewu, rozczarowania, urazy, bólu i strasznego znużenia. Umyłam twarz nad zlewem i przejrzałam się w antyseptycznym lustrze w stalowej oprawie. Tylko oczy były znajome - szaroniebieskie, ale białka pokrywała siateczka popękanych naczynek krwionośnych. Nos mi się świecił, na policzku widniał nieregularny zielonkawożółty guz, dolna warga była wydęta jak u nadąsanego dziecka, włosy miałam zlepione od kurzu ze schodów oraz krwi własnej i zatrzymanego. Wyglądałam jak siedem nieszczęść, a na domiar złego zrobili mi zdjęcia do gazet niczym jakiemuś uczestnikowi bójki.

Siedząc w pokoju badań w przepełnionym szpitalu, gdy ludzie wchodzą do niego i wychodzą, kręcą się po korytarzach, popychając tace z lekami, strzykawkami i innym sprzętem, czułam się kompletnie sama, zapomniana, bez tożsamości, poza moimi obrażeniami. To ich świat, świat lekarzy, pielęgniarek, obsługi. Nie odpowiadają na twoje pytania i nie robią nic, z wyjątkiem zadbania o twoje pilne potrzeby fizyczne. W końcu zadzwoniłam do Tony'ego

z budki telefonicznej w holu. Był właśnie po rozmowie z moją siostrą, która usłyszała w wiadomościach radiowych krótką wzmiankę o aresztowaniu. Zostało tam wymienione moje nazwisko, oczywiście, niewłaściwie wymówione.

Mówiłam spokojnie, starannie dobierając słowa. Głos mój brzmiał obojętnie, nie było w nim cienia emocji. Powiedziałam mu, gdzie jestem i że czuję się dobrze, tylko jestem trochę zmęczona. Tak, jestem pewna. Porozmawiamy o tym później. Och, mam parę siniaków. W porządku, naprawdę w porządku, przede wszystkim jestem bardzo zmęczona. Nie mam pojęcia, kiedy wrócę do domu. Jest już po szóstej, a ja muszę jeszcze spisać zatrzymanego, sporządzić raport i Bóg wie co jeszcze. Zadzwoń do niego.

Zrobiono kilka zdjęć rentgenowskich mojej czaszki. Dowiedziałam się o ich zamiarach dopiero wtedy, gdy przyszła po mnie zaaferowana pielęgniarka w białym wy-krochmalonym fartuchu, posadziła mnie, mimo moich pełnych oburzenia protestów, na wózku i powiozła przez cały hol do windy. Następnie popchnęła mnie przez kolejny hol i ustawiła obok stołu na kółkach, na którym leżał na brzuchu Hank, z głową opartą na rękach i zamkniętymi oczami. Jego długa ogorzała twarz była szara, usta ściągnięte z bólu.

- Hej, Hank - zawołałam cicho, nie wiedząc, czy śpi. Otworzył nieprzytomne oczy. - Jak się czujesz?

- Dali mi coś na uśmierzenie bólu - rzekł sennym głosem. - Rany, plecy wciąż mnie rwą jak cholera. I niech to diabli - jęknął - mój najlepszy garnitur jest na szmaty. Marynarka jest porwana, i to nie na szwie - ma wielką dziurę na samym środku pleców - czy nie trafiłby cię szlag? -

Pokręcił ospale głową, jak gdyby usiłował coś

168

sobie przypomnieć. - Och, Dot, mogłabyś zadzwonić do mojej żony? Masz mój numer domowy. Powiedz jej, że nic mi nie jest. Nie wspominaj o prześwietleniu, powiedz tylko, że zatrzymają mnie tu do jutra. Zadzwonią do niej z komisariatu, ale może byś po prostu z nią pogadała, rozumiesz? - Zamrugął powiekami, otwierając nagle szeroko oczy. - A ty, Dot, jak się czujesz? Nic ci nie jest? Co ci zrobili?

Powiedziałam mu, że czuję się dobrze, ale pewnie zatruli mnie tymi trzema zastrzykami. Dobrze było móc poskarżyć się komuś.

- Dot, byłaś kapitalna - powiedział z zamkniętymi oczami. - Naprawdę, dziecino, spisałaś się na medal.

Poczułam się nieco lepiej. Była to burkliwa pochwała, która wiele dla mnie znaczyła - zwykle kobieta jest zbędnym balastem podczas brutalnego aresztowania.

- Wiesz, Hank, boję się, że podczas bójki mogłam cię parę razy kopnąć, taka była plątanina rąk i nóg.

Milczał przez chwilę, potem uniósł uśmiechniętą twarz.

- No, no, ale im wygarnełaś! - powiedział, śmiejąc się cicho.

Czułam, że twarz mnie pali. Zapomniałam o tym kompletnie, a teraz wróciły do mnie wszystkie okropne słowa, które wykrzyczałam z wściekłością gapiącym się na nas ludziom.

- Tylko proszę, Hank, nie cytuj mnie. Byłam potwornie zdenerwowana. Nawet nie pamiętam dokładnie, co powiedziałam. Zresztą nie sądzę, byś mnie wtedy słyszał.

- Słyszałem cię doskonale i możesz mi wierzyć, użyłaś właściwych słów.

Idealnych.

Potem zapadł w drzemkę. Najwyraźniej zaczęły działać środki przeciwbólowe. Pielęgniarka wtoczyła mój wózek

169

do gabinetu rentgenologicznego, a gdy mnie stamtąd wypchnięto, Hanka już nie było. Na dole mnie wypisano i zadzwoniłam do jego żony. Miała cichy, przerażony głos. Zadawała mi w kółko to samo pytanie:

- Ale nic mu nie jest, prawda?

- Bardziej martwi go stan jego najlepszego garnituru, pani Ludlow, niż cokolwiek innego. Gdy przyjdzie go pani odwiedzić jutro rano, proszę przynieść igłę z nitką, wtedy z pewnością poczuje się lepiej.

Hank Ludlow spędził w szpitalu dwa miesiące. Miał dwa złamane kręgi i zwichnięte ramię. Ja miałam więcej szczęścia - żadnych złamań.

Gdy zgłosiłam się do komisariatu, dowiedziałam się, że nasz zatrzymany wpadł w szal, gdy próbowano zdjąć mu odciski palców w pokoju detektywów. Roztrzaskał buteleczki z tuszem, zaświnił nim cały pokój, przewrócił ciężkie biurko, rozwalił krzesło, zanim policjantom udało się przykuć go do kaloryfera. Wezwano sanitariuszy z kaftanem bezpieczeństwa. Nim zdążyli przyjechać, aresztant walił pięściami w kaloryfer, aż okrwawił sobie kostki, następnie poranił sobie w ten sam sposób czoło. Dowódca nie pozwolił nikomu zbliżyć się do niego.

Włożenie mu kaftana zajęło czterem silnym mężczyznom sporo czasu, a gdy lekarze próbowali opatrzyć mu rany na czole, kłapał na nich zębami.

W jego aktach w Biurze Identyfikacji Przeszłości były odnotowane dwa poprzednie aresztowania za napad z bronią w rękę. Napisałam na maszynie mój raport, wypełniłam dokumenty związane z aresztowaniem,

po czym zadzwoniłam do Tony'ego, że wychodzę. zaproponował, że przyjedzie po mnie samochodem, ale ja chciałam wyjść jak najszybciej i powiedziałam, że spotkamy się na stacji metra. Szłam ze spuszczoną głową, żeby ukryć siniaki, i obserwowałam ludzi - pasażerów

170

metra, zwykłych obywateli - przyglądających się sobie obojętnie, czytających gazety pełne doniesień

o gwałtach, rozlewie krwi, zbrodniach, przewracających strony poślinionymi palcami, żeby dowiedzieć się dalszego ciągu historii. Mały kolorowy chłopiec przebiegał wagony, sprzedając poranne gazety za podwójną cenę. Kupiłam „Daily News”. Na czwartej stronie było zamieszczone moje zdjęcie z lekarzem i krótki opis aresztowania.

Patrzyłam na ludzi czytających tę historię, wymieniających przez krótką chwilę uwagi o niej, a następnie przechodzących do innego tematu.

Stawiłam się nazajutrz w komisariacie i dowiedziałam się ze zdumieniem, że zatrzymany miał być postawiony przed sądem. Zadzwoniono do szpitalnego więziennego oddziału - miałam za godzinę spotkać się z detektywem

1 odstawić więźnia, by zrobiono mu zdjęcia, a potem do sądu.

Gdy go zobaczyłam, był spokojny, siedział z opuszczoną na pierś, obandażowaną głową. Owinięte bandażami ręce miał skute przed sobą. Podniósł wzrok, gdy weszłam do szpitalnej sali, z pewnym zmieszaniem zamrugął opuchniętymi powiekami, po czym uśmiechnął się do mnie.

- Jesteś policjantką, tak? - W jego głosie zabrzmiał osobliwy podziw. Nie odpowiedziałam mu. - Rany, ale z ciebie zabijaka! A kim był ten drugi facet - ten który przyładował mi w gębę? No ten stary, nieduży. Jezu, nic

mu przecież nie zrobiłem.

I tak prowadziliśmy najzwyczajszą rozmowę, jak normalni, zdrowi ludzie, spytałam go nawet, jak się czuje. Jęknął. Dopiero teraz odczuwał ból, podobnie jak ja, dokuczały mu obrażenia, które odniósł w bójce z nami, jak również te, które zadał sobie sam. Powiedział, że

171

wszystko go boli, po czym spytał, jak ja się czuję. Odrzekłam, że dobrze.

- To ty rozwaliłaś mi głowę? Czym mnie walnęłaś? - Był ciekawy i pełen szacunku.

Detektyw mruknął coś cicho pod nosem - było to ostrzeżenie.

- Ręką, kolego. Jestem biegła w karate.

Więzień zagwizdał cicho i nie odezwał się już słowem podczas całego postępowania.

W sądzie, gdy sprawa została wywołana, detektyw przyprowadził go z aresztu. Na sali sądowej zapanowało poruszenie, gdy wszedł, cały w bandażach, wyglądając jak filmowy niewidzialny człowiek. Nie wiadomo skąd zjawił się nagle szczupły, elegancko ubrany mężczyzna, który miał go reprezentować. Skinął dłonią w kierunku sędziego i spokojnego teraz i cichutkiego aresztanta wyprowadzono z sali.

Zobaczyłam, że obrońca rozmawia w korytarzu z wyblakłą blondynką, która, słuchając go, zerka bez przerwy w moją stronę. Gdy przechodziłam obok nich, adwokat ujął mnie z uśmiechem za ramię.

- Funkcjonariuszka Uhan, prawda? - spytał miło. Poprawiłam go, on mnie przeprosił, po czym przedstawił kobietę.

- To jest pani Schmidt, żona Ralpa. - Popatrzyłyśmy na siebie z rezerwą. - Proszę posłuchać, pani Uhan, chciałbym porozmawiać z panią chwilę,

wyjaśnić sytuację. Wie pani, jak gazety przekręcają fakty, a nie miałem na razie okazji porozmawiać z Ralphem. Rany, ale mu dołożyliście, co? - powiedział z przebiegłym uśmiechem.

Odsunęłam się od niego, ogarnięta niemiłym uczuciem, obolała i wojownicza.

172

- Proszę porozmawiać ze swoim klientem. Ja nie mam panu nic do powiedzenia. Słyszał pan oświadczenie pod przysięgą.

Pobiegł za mną, zostawiając panią Schmidt na środku korytarza.

- Chwileczkę, młoda damo, proszę mnie źle nie zrozumieć. Wiem, że stary Ralphie jest trochę... powiedzmy, grubiański. Ta nieszczęsna kobieta dźwiga ciężki krzyż. Ale nigdy nie zachowywał się w taki sposób.

- Widziałam jego akta - odpowiedziałam zimno. obrońca machnął tylko ręką na te słowa i powiedział

straszliwie denerwującym konfidencjonalnym tonem, którego używał, by olśnić swych ogłupiałych klientów: tylko tobie zdradzam te rzeczy, tylko ty zrozumiesz.

- No cóż, przeżyli wielką tragedię. Pięć lat temu urodziło im się dziecko, ale chłopczyk nie był zdrowy, rozumie pani. - Postukał się w głowę. - Wie pani, o co chodzi. Wydali kupę pieniędzy na tego dzieciaka - lekarze, szarlatani, diety, badania, szamani - a on umarł w wieku dwóch lat.

Ralphie wpadł w szal, omal nie zwariował. Od tamtego czasu bardzo się zmienił. Proszę mi wierzyć, znam tego faceta od lat. Jest porządnym, ciężko pracującym robotnikiem, tylko od czasu do czasu

- wyjaśnił rzeczowo - mu odbija.

- A wtedy kradnie różne przedmioty z biurka i walczy z całym światem?

Adwokat zmrużył jasne oczy.

- Wie pani dobrze, że nie mamy do czynienia z dużą kradzieżą.

Potraktujemy ją jako drobną - nikt nie złożył nawet skargi.

- Ja złożyłam skargę. Byłam świadkiem kradzieży.

- Nie uda się pani przeforsować poważnej kradzieży

- rzekł z porozumiewawczym uśmiechem.

173

Wiedziałałam, że ma rację, co tylko utwierdziło mnie w moim postanowieniu.

- Zobaczymy.

Odwróciłam się, chcąc odejść. Chwycił mnie za ramię.

- A co do napaści - nie jest pani ciężko ranna. Do diabła, niech pani tylko popatrzy, co ci faceci zrobili Ralphowi. Biedak wygląda okropnie. Nawet na zdjęciu w gazecie - widziała go pani w „News”? - Odeszłam, on zaś zawołał do mnie przez cały hol: - Zredukujemy oskarżenie do zwykłej napaści. To naprawdę porządny facet.

I, oczywiście, adwokat Schmidta miał rację. Kradzież została sprowadzona do drobnej kradzieży, a zbrodnicza napaść do napaści trzeciego stopnia. Schmidt został skazany na trzydzieści dni w domu poprawczym. Każdy gliniarz może powiedzieć, że napaść na funkcjonariusza policji uchodzi płazem. Zawsze jest redukowana do trzeciego stopnia. Chyba że podejrzany cię zabije, a wtedy wyprawia ci wspaniałą pogrzeb z wartą przy trumnie, flagą i wszelkimi honorami.

W dwa dni później wróciłam do domu kilka minut po Tonym. (Przez tydzień przydzielano mnie do lżejszych obowiązków). Wszystkie obolałe miejsca na moim ciele pulsowały. Twarz Tony'ego była blada z gniewu.

- Widziałaś to? - spytał, posuwając w moim kierunku wieczorną gazetę otwartą na listach do redakcji.

Zamieszczony list, zajmujący półtorej kolumny i podpisany przez Annę Kempler, nosił tytuł: „Haniebna brutalność policji!”. Pani Kempler, jako prawy obywatel, opisywała w gniewnych słowach skandaliczny incydent, którego była świadkiem w holu budynku, w którym pracuje od piętnastu lat. Nigdy dotąd nie widziała czegoś tak przerażającego, poruszającego, oburzającego. Dwóch mężczyzn

174

i jedna kobieta brutalnie pobili bezradnego mężczyznę, który niczym nie zawinił. Widziała całe zdarzenie od początku do końca. Ktoś powinien coś z tym zrobić. Ktoś powinien się o tym dowiedzieć. To nie lata trzydzieste.

A sierżant próbował zatuszować całą sprawę. Wysłała kopię listu do burmistrza, komisarza policji i wszystkich gazet. Tak bardzo oburzył ją ten okropny incydent w naszym mieście.

Oddałam gazetę Tony'emu, on zaś wrzucił ją do kosza na śmieci. Usiadłam w fotelu, przewieszając nogi przez oparcie, z głową odrzuconą do tyłu, ze wzrokiem wbitym w sufit. Powstrzymałam go gestem ręki, gdy zaczął coś mówić.

- Nie, zaczekaj - powiedziałam. - Mam dla ciebie coś lepszego. Sierżant Cornelius - wiesz, ten potężny sympatyczny krzykacz, o którym ci opowiadałam - wezwał mnie dzisiaj do biura. - Zasłoniłam dłonią oczy. - Został zawiadomiony, że do biura rady korporacji wpłynęła skarga. Skarga! - pokręciłam głową.

- Co to znaczy? - spytał Tony. Przeciągnęłam się, ziewając.

- To znaczy, że tamta kobieta, ciężarna kobieta, na którą mnie popchnięto -

chciałam powiedzieć, na którą „napadłam” - okazała się żoną adwokata, którego kancelaria mieści się w tym budynku. Trochę pogłówkowali wymyślili, że w wypadku, gdyby poroniła w ciągu najbliższych dwóch miesięcy, zażądają od miasta odszkodowania, które wystarczy im na budowę pięknego nowego domu oraz na wakacje na Bermudach, a może nawet na podróż dookoła świata albo na Księżyc. Nie wiem.

Tony rzucił zapalniczkę na stół i rozejrzał się za zapalkami.

- Nie rozumiem, co masz na myśli?

175

- Złożyli skargę, obwiniając miasto, że ta biedna kobieta, która stała w miejscu publicznym, czekając na męża, żeby ją zabrał na lunch, doznała „ciężkiego uszkodzenia ciała” z winy funkcjonariuszki policji. Jeśli poroni, zażąda, by miasto zapłaciło jej w imieniu tej policjantki ponad milion dolarów!

- Cholera! - Było to jedyne słowo, które nasuwało się nam obojgu w odniesieniu do tej sytuacji. Nie zawracaliśmy sobie głowy kolacją. Odechciało nam się jeść. Zaczęłam odczuwać dokuczliwy ból w prawym boku - drobny, kłujący ból, który był zbyt uporczywy, by go zignorować. Zadzwońiło do mnie kilku krewnych i przyjaciół. Wyjaśniłam im, raczej lakonicznie, że czuję się dobrze. Nie, nie słyszałam o tym przez radio; tak, zachowałam zdjęcia i artykuły z gazet.

Nazajutrz, gdy byłam w pracy, polecono mi, żebym poszła do domu, włożyła mundur i stawiała się w komendzie głównej, gdzie mam być przesłuchana przez jakiegoś inspektora z biura komisarza. Działali na prośbę burmistrza w odpowiedzi na list polecony pani Kempler.

Stenografistka rejestrowała moje zeznanie, podczas gdy inspektor

przesłuchiwał mnie z obojętną miną - żądając wyłącznie faktów. Doradził mi, żebym udała się do szpitala i poprosiła Hanka Ludlowa o złożenie oświadczenia. Nie powiedział mi, żebym się nie przejmowała, po prostu kazał mi poczekać, aż maszynistka przepisze raport. Podpisałam go i zameldowałam się z powrotem w kobiecym wydziale, a po zakończonym dyżurze wróciłam do domu.

Moje siniaki zniknęły po pewnym czasie, ale zastrzyk przeciw tężcowi dał mi się jeszcze we znaki. W dwa tygodnie po szczepieniu poczułam pieczenie w prawym ramieniu. Zdjąwszy sweter, zauważyłam z przerażeniem duży czerwony obrzęk, miałam uczucie, jak gdyby moją

176

rękę ścisnęła ciasna opaska. Bolała mnie głowa, byłam rozdrażniona, a po upływie godziny poczułam się naprawdę marnie. Zaczęłam się jękać, mówiłam z trudem, nienaturalnie. Zadzwoiłam do szpitala i zameldowałam o tym dyżurnej pielęgniarce. Poradziła mi niezbyt uspokajającym tonem, żebym natychmiast zgłosiła się do szpitala. Tony zawiózł mnie do naszego rodzinnego lekarza, który zaaplikował mi kilka leków dla zwalczania trucizny w moim organizmie.

Najwidoczniej żona adwokata urodziła dziecko bez żadnych komplikacji. W każdym razie nie słyszałam już nigdy, żeby jej skarga zaowocowała pozwem sądowym.

Oskarżenia pani Kempler zamieszczone w gazecie pozostały bez echa. Komenda główna policji orzekła, że działaliśmy zgodnie z przepisami, i przesłała odpowiedni raport do biura burmistrza. Kopie raportu zostały złożone w aktach personalnych, moich i Hanka. Było to potwierdzenie słuszności naszych działań. Oficjalnie uznano, że podjęliśmy słuszną akcję

policyjną.

Przez tydzień pozostałam w domu na zwolnieniu lekarskim, kurując bóle głowy, walcząc z uczuciem dezorientacji i gorączką. Miałam sporo czasu na rozmyślanie

0 ludziach - kim są, co robią albo czego nie robią

1 dlaczego. Doszliśmy z Tonym do sedna frustracji: prowadzi ona wyłącznie do próżnego gniewu - i na kogo? Kto chce się angażować? Kto chce podjąć ryzyko? Kto chce wiedzieć o takich rzeczach?

Co można zrobić? Napisać list do redakcji? Nie. Przechodzisz nad tym do porządku dziennego, zdobywając kolejne doświadczenie.

8

Uodporniałam się, a moje serce stało się twarde jak kamień

Każdy uważa, że ma intuicję lub zdolność przewidywania, że pamięta, jak przed danym wydarzeniem nachodziły go jakieś myśli, przeczucia. Gdy myślimy o jakimś ważnym wypadku, jakimś wielkim lub niezwykłym, katastrofalnym lub zadziwiającym wydarzeniu, nasza pamięć szybuje w czasie i szczerze wierzymy, że otrzymaliśmy jakąś tajemniczą wskazówkę, rodzaj ostrzeżenia. Nie jestem pewna, czy są to rzeczy prawdziwe, czy po prostu pomieszanie z poplątaniem, igraszki pamięci. Od pierwszej rozmowy w i e d z i a l a m, że to ja schwytam mężczyznę, który pobił, obrabował i brutalnie napadł na kilka kobiet w krętych tunelach dalekiej śródmiejskiej stacji metra. Jestem nawet gotowa przysiąc, że wspomniałam o tym Tony'emu po rozmowie z kierowniczką kobiecego wydziału policji, on jednak nie pamięta tego.

Oczywiście, widywałam kierowniczkę wiele razy w biurze, chodziła sprężystym krokiem, szczupła, zawsze wyprostowana, rzeczowa.

Doznałam kilkakrotnie ukłucia za-

178

zdrości, które łagodziła jednak świadomość, że jej praca nie należy bynajmniej do łatwych. Znałam jedynie nieznaczną część nacisków, które na nią wywierano. Trzymała się na uboczu i krytykowano ją, że jest sztywną formalistką. Zawsze byłyśmy panną Taką-a-taką, panią Owaką, nawet jej sekretarka była pozbawiona imienia. Przeprowadziła rozmowy z trzema kobietami, kierując się zapewne przy wyborze zawartością naszych akt lub dyspozycyjnością. Podczas naszej pierwszej rozmowy siedziała przy biurku, na którym leżały sterty równo ułożonych papierów, zaostrzone ołówki i błyszczące popielniczki (nie paliła, jak i wszyscy inni, którzy wkraczali do jej królestwa); wyjaśniła sprawę krótko i rzeczowo, spoglądając na zegarek i mówiąc coraz szybciej.

- Trzeba przyznać, że zadanie jest niebezpieczne - powiedziała - a ponieważ nie jest przewidziane dla ochotniczek, daję wybranej dziewczynie możliwość rezygnacji z udziału w nim bez uprzedzenia. - Skinęłam głową, przyjmując jej słowa za pewnik, ona zaś mówiła beznamiętnie dalej. - Przestępca - stwierdziła w oficjalnym policyjnym żargonie, zaglądając do leżącego przed nią raportu - zaatakował brutalnie tamte kobiety, pozbawiając dwie przytomności. Jest podejrzany o dwa gwałty, jeden akt pederastii, trzy pobicia. Jest uzbrojony, raz zaatakował ofiarę nożem, przy innych okazjach wyciągnął rewolwer. Oczywiście, zostanie pani przydzielona do zadania razem z bardzo doświadczonym, wytrawnym detektywem z pierwszego komisariatu, który będzie panią osłaniał. - Podała mi plan metra. - Jeśli zlecę pani to zadanie - i zgodzi się pani wziąć w nim udział - musi się pani zapoznać ze stacją Fulton Street.

To stacja centralna - krzyżują się tutaj linie BMT, IRT i Independent Subways. Mnóstwo tuneli i korytarzy. Sądząc po miejscach, w których dokonano napadów, bandyta grasuje po stacji i atakuje

179

tam, gdzie wypatrzy ofiarę. - Popatrzyła na mnie spokojnie, nie potrafiłam wyczytać niczego z jej twarzy. - Dam pani jutro znać, czy zlecę pani to zadanie, a pani powie mi, co o tym myśli. - Zerknęła szybko na zegarek i położyła plan metra na papierach, które czekały na jej podpis, dając mi tym samym do zrozumienia, że mogę odejść.

Nazajutrz poinformowała mnie, że dostałam w nagrodę to zadanie, a ja potraktowałam je rzeczywiście jako wyróżnienie. Słuchałam, nie koncentrując się na jej słowach, lecz przyglądając się planowi metra, który trzymałam w ręku.

- Ostrzeżę panią tylko raz - to nie będzie łatwe. Zapisy w pani aktach świadczą o tym, że jest pani odpowiedzialna i sprawna, ale mówię to wszystko po to, żeby podjęła pani wszelkie możliwe środki ostrożności. Innymi słowy - podniosłam gwałtownie głowę, słysząc jej nagle zimny ton - żadnych popisów. Powodzenia.

Odprawiła mnie szorstko, nie czekając na odpowiedź. Jadąc do pierwszego komisariatu, rozmyślałam nad jej słowami. Potem odsunęłam je na bok, czując, jak narasta we mnie musujące niby szampan podniecenie.

Zgłosiłam się do szefa detektywów, zostałam przedstawiona partnerowi, po czym odesłana do domu z informacją, że obecnie pracuję od czwartej po południu do dwunastej w nocy.

Moim partnerem był Paul Durkee o dużej pyzatej twarzy z obwisłymi rumianymi policzkami i nieprawdopodobnie wielkimi oczodołami.

Niebieskie tęczęwki obracały się w różnych kierunkach, jak gdyby szukały jakiejś bezpiecznej przystani, nie dotykały jednak w żadnym punkcie krawędzi oczodołów. Rozmawiając z nim, a raczej słuchając go - był bowiem nałogowym gadułą - złapałam się na tym, że sama wytrzeszczam oczy, podświadomie starając się dopasować do niego. Zasypywał mnie nie kończącymi się, pokawałkowanymi historiami, słowo go-

180

niło słowo, mruczał coś pod nosem, szeptał. Zaslaniał usta potężną dłonią, przewracał oczami, tak że byłam pewna, iż odsłania mi najbardziej poufne, jakie tylko można sobie wyobrazić, informacje z historii policji - nie mogłam jednak nadażyć za jego opowieściami. Przy końcu każdej porcji informacji mlaskał cicho językiem i pod koniec drugiego dyżuru, który z nim pełniłam, zorientowałam się, że sama zaczynam to robić. To moja okropna słabość - podłapywa-nie manieryzmów, gestów, intonacji i zwyczajów innych ludzi. Czulałam, że za każdym razem kogoś naśladowuję, mówię jego głosem, robię jego miny, ruszam się jak on.

Praca z Paulem Durkeem była niezapomnianym doświadczeniem. Mimo dużej nadwagi, nawet jak na jego potężną budowę, biegał niezwykle szybko i był w nieustannym ruchu. Patrowaliśmy stację od końca do końca, wszystkie labirynty schodów, goniąc po nich, jak gdyby ściagały nas demony. Durkee roztaczał wokół siebie atmosferę nadciągającego zagrożenia. Wszyscy byli podejrzani, wszystkich badał spojrzeniem swych rozbieganych oczu. Wysyłał mnóstwo tajemniczych sygnałów, kiwał głową, gestykulował, podnosił kciuki do góry, zsuwał kapelusz na tył lub na przód głowy, zdejmował go, spłaszczał. Nie rozumiałam, o co mu chodzi ani jak powinnam zareagować, najwyraźniej jednak to, że stałam

bez ruchu i obserwowałam go, pasowało do jego planów, ponieważ nigdy nie miał mi za złe mojego braku reakcji. Gdy tak się przyglądałam, jak idzie spiesznie peronem, niezgrabny potężny cień, przypominał żywy owal - bardzo szeroki pośrodku i zwężający się u góry i u dołu. Pierwszego dnia naszej wspólnej pracy poznałam w pokoju detektywów jego syna - bladego, chuderlawego chłopczyka o wilgotnych dłoniach, który podał mi rękę na sygnał dany przez ojca, pozostawił ją na chwilę w moim uścisku, po czym zabrał ją, skinąwszy lekko kędzierzawą główką. Ojciec,

181

patrząc przez filc. Wyczuwał zbliżanie się pociągu, jeszcze zanim dawały się słyszeć najlżejsze dudniące vibracje, które przeradzały się w głuchy pogłos, a następnie w potężny łoskot pociągu wtaczającego się na stację. W jednej chwili Durkee, nawet nie drgnąwszy, stawał się cały czujnym oczekiwaniem. Potem znów się rozluźniał, także nie wykonując żadnego ruchu, i obserwowaliśmy, jak drzwi się zamykają i pociąg opuszcza stację. O ósmej poszliśmy coś zjeść. Naszym zmiennikiem był stary chudy detektyw, okropnie przeziębiony, który uzalał się nam, że od stalowego pyłu dostaje alergii. Dla potwierdzenia swoich słów, kichnął siarczyście, pryskając na nas, i wydmuchał hałaśliwie nos.

- Masz wędrujące zapalenie płuc - powiedział Durkee, kręcąc głową. - Chcesz się wykończyć? Załatwi cię o tak. - Pstryknął palcami w stronę naszego zmiennika, pokręcił jeszcze raz głowę, po czym chwycił mnie nagle za rękę i pociągnął za sobą.

W restauracji, brudnej, słabo oświetlonej dziurze Durkee z zaczerwienioną, wykrzywioną twarzą zaczął ni stąd, ni zowąd wykrzykiwać do mnie głośno, wytrzeszczając oczy:

- Lepiej niech cię nie przyłapię więcej z tym włóczęgą, bo inaczej popamiętasz! - ryczał.

Rudowłosa gruba kelnerka, wtłoczona w zielonkawy nylonowy fartuszek, obrzuciła szybkim spojrzeniem najpierw mnie, potem Paula, potem znów mnie. Zamrugła powiekami i stała, wycelowawszy we mnie ołówek. Durkee wyrwał mi z ręki kartę i wepchnął ją kelnerce.

- Ja zamówię dla n i e j - powiedział. - Daj j e j krwistego burgera i herbatę. Ja poproszę o specjalność tutejszej kuchni - gulasz wołowy i frytki!

Odprawił kelnerkę gestem potężnej dłoni. Popatrzyła na nas, wyraźnie zaintrygowana. Durkee mrugnął do mnie.

183

patrzac przez filc. Wyczuwał zbliżanie się pociągu, jeszcze zanim dawały się słyszeć najbliższe dudniące wibracje, które przeradzały się w głuchy pogłos, a następnie w potężny łoskot pociągu wtaczającego się na stację. W jednej chwili Durkee, nawet nie drgnąwszy, stawał się cały czujnym oczekiwaniem. Potem znów się rozluźniał, także nie wykonując żadnego ruchu, i obserwowaliśmy, jak drzwi się zamykają i pociąg opuszcza stację. O ósmej poszliśmy coś zjeść. Naszym zmiennikiem był stary chudy detektyw, okropnie przeziębiony, który użalał się nam, że od stalowego pyłu dostaje alergii. Dla potwierdzenia swoich słów, kichnął siarczyście, pryskając na nas, i wydmuchał hałaśliwie nos.

- Masz wędrujące zapalenie płuc - powiedział Durkee, kręcąc głową. - Chcesz się wykończyć? Załatwi cię o tak. - Pstryknął palcami w stronę naszego zmiennika, pokręcił jeszcze raz głową, po czym chwycił mnie nagle za rękę i pociągnął za sobą.

W restauracji, brudnej, słabo oświetlonej dziurze Durkee z zaczerwienioną, wykrzywioną twarzą zaczął ni stąd, ni zowąd wykrzykiwać do mnie głośno, wytrzeszczając oczy:

- Lepiej niech cię nie przyłapię więcej z tym włóczęgą, bo inaczej popamiętasz! - ryczał.

Rudowłosa gruba kelnerka, wtłoczona w zielonkawy nylonowy fartuszek, obrzuciła szybkim spojrzeniem najpierw mnie, potem Paula, potem znów mnie. Zamrugła powiekami i stała, wycelowawszy we mnie ołówek.

Durkee wyrwał mi z ręki kartę i wepchnął ją kelnerce.

- Ja zamówię dla n i e j - powiedział. - Daj j e j krwistego burgera i herbatę. Ja poproszę o specjalność tutejszej kuchni - gulasz wołowy i frytki!

Odprawił kelnerkę gestem potężnej dłoni. Popatrzyła na nas, wyraźnie zaintrygowana. Durkee mrugnął do mnie.

183

- Widzisz? Myśli, że jesteśmy typowym małżeństwem. To był jego sposób na rozruszanie nas, albowiem oboje

byliśmy zmęczeni i znudzeni długimi godzinami patrolu. Uwielbiał takie zabawy, wywieranie na kims wrażenia, udawanie. Zjadłam hamburgera - właśnie to zawsze zamawiałam - ale wydał mi się bez smaku. Narastało we mnie osobliwe napięcie - zaczynało się gdzieś w prawym boku, wędrowało do klatki piersiowej i ścisnęło w gardle. Dziwnie znajomy sygnał ostrzegawczy: coś się wydarzy, coś jest nie tak.

Zanim wróciliśmy na nasze stanowisko, zadzwoniłam do Tony'ego, który wyczuł mój nastrój, moje niejasne, niemiłe przeczucie niebezpieczeństwa.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytał. Jasne, ja zawsze dobrze się czuję.

Zanim odwiesiłam słuchawkę, powiedział: - Uważaj na siebie. Trzymaj się blisko swojego sympatycznego dużego partnera, dobrze?

Durkee kupił sobie wczesne wydanie porannej gazety; było wpół do dziewiątej. Zrobiliśmy rundkę od dyżurki, a następnie Durkee, widząc dwie niespokojne kobiety w średnim wieku, o zaciśniętych wargach, przechodzące właśnie przez kołowrót, chwycił mnie za ramię i wypchnął przez drzwi z napisem „Wyjście”, wołając gromkim głosem do agenta: „Zabieram mojego więźnia, Mac!” i podstawiając mu pod nos odznakę. Obie kobiety gapiły się na nas wytrzeszczonymi oczami, szepcząc coś do siebie w podnieceniu, gdy szliśmy peronem. Nasz zmiennik wszedł do tego wagonu co one, gdy pociąg ruszył, mignęły mi w przelocie za oknem ich oburzone twarze.

Paul dał mi część gazety i usadowił się na ławce. Ja przeszłam na drugi koniec stacji i oparłam się o filar. Było tu zimno i wilgotno. Na zewnątrz powietrze było świeże i rześkie, tutaj wiecznie panowała ta sama pora roku. Kości

184

zaczynały boleć z powodu niezdrowego, przejmującego chłodu. Stalowy pył lepił się do twarzy, rąk i ubrania, nie można było wziąć głębszego oddechu bez zakasłania się.

Bez powodu, bez żadnego racjonalnego powodu ogarnął mnie nagle niepokój, narastało we mnie przykre uczucie niepewności.

Kolejny pociąg wtoczył się z łoskotem na stację. Drzwi się otworzyły i wysiadło troje ludzi - mężczyzna oraz kobieta, trzymający się pod rękę, i wysoki, potężnie zbudowany Murzyn. Był jakieś półtora metra ode mnie, niemal na wprost Paula siedzącego na ławce. Stał przez chwilę omiatając

spojrzeniem peron. Odprowadził wzrokiem wychodzącą parę, następnie odjeżdżający pociąg. Miał Paula, idąc w stronę drugiego końca stacji. Nie zauważył mnie. Durkee miał głowę pochyloną nad gazetą, siedział absolutnie bez ruchu. Mężczyzna znów przeszedł obok ławki, stąpając lekko, niepewnie szukając kierunku. Przywarłam mocno do filaru, słysząc coraz bliższe kroki. On jednak zatrzymał się, po czym zaczął powoli schodzić przejściem do linii Independent.

Rozejrzałam się po peronie. Ławka była pusta. Jakimś sposobem, niezauważalnie, Durkee przebył całą długość peronu i znalazł się za mną. Położył mi ciężką dłoń na ramieniu. Oczy błyszczały mu podnieceniem, patrzył w kierunku tunelu.

- To chyba nasz podejrzany - powiedział i oboje wiedzieliśmy, że się nie myli. Gdy stanęliśmy na szczycie schodów, usłyszeliśmy stłumiony odgłos kroków. - Czai się - rzekł Durkee. - Schodź pierwsza, ja za tobą. Chyba przejdzie na drugą stronę, zanim się spotkamy. - Wszystko działo się tak szybko, że nie miałam czasu na wahanie.

Pociąg wyjeżdżał właśnie z peronu Independent. Nikt nie wysiadł. Durkee czekał na podeście, kiwnęłam na

185

niego, żeby podszedł. Peron był pusty. Durkee pociągnął mnie szybko do brzegu - miał niewiarygodny instynkt

- i pokazał mi gestem daleki koniec stacji. Podejrzany oddalał się od nas.

Zatrzymał się na chwilę, obejrzał, stał przez moment bez ruchu jak zwierzę nasłuchujące, wietrzące niebezpieczeństwo. Następnie zawrócił w naszą stronę i ruszył w kierunku tunelu prowadzącego z powrotem do stacji BMT. Przywarliśmy do filarów w najodleglejszym końcu peronu i

obserwowaliśmy stamtąd mężczyznę schodzącego teraz wolno po schodach.

- Będę musiał iść przynajmniej o jedną kondygnację schodów za tobą - powiedział Durkee cichym, zadziwiająco spokojnym głosem, gdy zbliżaliśmy się do wejścia do tunelu. Był zdumiewająco rzeczowy, jak gdyby to, co robiliśmy, stanowiło najpowszedniejszą rzecz pod słońcem.

- W przeciwnym razie zauważy mnie i po sprawie. - Wpijał mi palce w ramię, wpatrując się we mnie choć raz nieruchomymi oczyma. Mimo że mnie o nic nie pytał, skinęłam głową, ponieważ wchodziliśmy już do tunelu. - Od tej chwili nie będziesz mnie słyszała ani widziała, ale ja tu będę. Wiesz o tym, prawda? - spytał szybko, ściskając lekko moje ramię i popychając na pierwszy stopień. Jeszcze raz skinęłam głową, on zaś mrugnął do mnie i puścił mnie.

- Dobra - powiedziałam - musimy chyba schodzić.

- Zatrzymałam się w połowie schodów i popatrzyłam na niego. Mrugnął do mnie znowu i uśmiechnął się szeroko. Zatrzymałam ten uśmiech w pamięci i ruszyłam przed siebie.

Słyszałam stukot moich butów na stopniach. Zaczęłam iść na palcach, po czym przypomniałam sobie - powinien mnie słyszeć. Zapewne czekał gdzieś w tym krętym przejściu na odgłos kobiecych kroków. Szłam powoli, blisko lewej ściany, żeby mieć zakręty w zasięgu wzroku. Musia-

186
łam zapewnić sobie minimum swobody działania, zabezpieczyć się choć trochę przed atakiem czekającego.

Pokonałam trzy kondygnacje. Znalazłszy się na dole, przystanęłam, nasłuchując jakichkolwiek dźwięków świadczących o obecności

podejrzanego, jak również Paula Durkeego. Nie słyszałam kompletnie nic. Wstrzymałam oddech, czując, jak wali mi serce. Miałam w ustach smak zimnej śliny, która napływa, gdy się biegnie szybko podczas lodowatego wiatru albo walczy ze strachem.

Podest miał około sześciu metrów długości i półtora metra szerokości. Stamtąd prowadziły w górę schody. Miałam do pokonania trzy zakręty. Spodziewałam się, że zostanę zaatakowana właśnie z za jakiegoś zakrętu - w moim umyśle kojarzyły się z niebezpieczeństwem. Podest był oświetlony jedyną żółtą żarówką w drucianej oprawce, zawieszoną tuż nad niewielką studzienką ściekową. Dwa tygodnie temu, dokładnie w tym miejscu, została zgwałcona kobieta.

Wyczułam jego obecność, zanim go zobaczyłam. Na szczycie schodów zamajaczył cień, dostrzegłam jakiś ruch, nie było to złudzenie wywołane błyskiem żarówki. Czekał na mnie na górze, słyszał moje niepewne kroki. Trzymałam torebkę w lewej ręce, idąc jak najbliżej prawej strony przejścia. Miałam teraz zakręty po lewej i byłam całkowicie na nich skoncentrowana. Patrzyłam na stopnie, wchodząc pod górę powoli, z trudem. Najpierw zobaczyłam jego stopy. Szedł lewą stroną schodów. Oboje posuwaliśmy się po nich powoli. Minęliśmy się, nie dotykając się, i nagle poczułam odrobinę ulgi, odprężyłam się na sekundę. Był już niżej ode mnie, schodząc dalej. Niespodziewanie jednak zawrócił i znalazł się na niższym stopniu tuż za mną. Wyczułam jego bliskość, choć poruszał się bezszelestnie, zanim jeszcze mnie zaatakował.

187

Przycisnął mnie swoim ciałem do ściany i chwycił za gardło ręką w skórzanej rękawiczce. To była moja pierwsza myśl: ma na lewej dłoni

skórzaną rękawiczkę. Przyciskając mnie mocno do siebie, przyłożył mi coś do czoła. Wysiliwszy wzrok, zobaczyłam błysk rewolweru. Był srebrny.

- Piśnij tylko słowo, a zabiję cię! Nacisnę spust! - wionął mi ciepłym oddechem w ucho.

Staliśmy przez chwilę bez ruchu, po czym popchnął mnie ramieniem.

- Wejźmy na ten mały podest, tam wyżej - rozkazał, a moje nogi nie wiedzieć czemu posłuchały go. Wchodziłam po schodach, zwrócona twarzą w stronę brudnych kafelków. Zwolnił uścisk na mojej szyi, choć nadal mnie za nią trzymał, i odwrócił mnie twarzą do siebie.

Stwierdzenie, że się bałam, nie byłoby precyzyjne. Kręciło mi się w głowie, sytuacja wydawała mi się nierealna. Nie wiem, czemu miałam uczucie, że to wszystko już się kiedyś zdarzyło - a może przewidziałam to w tak najdrobniejszych szczegółach, że było to niemal naturalne, jak gdybym sama zaplanowała całą sytuację albo czekała na nią.

Przypominało to grę w sztuce - każde z nas miało do wypowiedzenia swoje kwestie, nasze zachowanie i nasze repliki były z góry znane. Nie zdarzyło się to naprawdę, sytuacja była daleka od rzeczywistości.

Staliśmy przodem do siebie, ograniczeni wyłożonym kafelkami podestem - był obcy i pusty jak grobowiec. Przyspieszenie wszystkich procesów zachodzących w moim ciele, uczucie pulsowania, łomotania, odzwierciedlała jego twarz. Mięiste wargi miał rozchylone i spierzchnięte, oczy świeciły mu niesamowicie w mdłym oświetleniu, powieki drgały. Była taka jedna niewiarygodna chwila, zatrzymana w czasie, gdy żadne z nas nie poruszyło się ani nawet nie odetchnęło, po prostu patrzyliśmy na siebie

obojętnie, jak zahipnotyzowani, nie podejmując żadnych działań. A potem nagle wszystko prysło. Zaczęłam oddychać szybko, urywanie, niemal boleśnie. Konieczność oddychania przywróciła nas do rzeczywistości, ale mój umysł, oddzielony od odrętwiałego ciała, czynił chłodne i przenikliwe obserwacje. Nie został sparaliżowany przerażeniem, które zaciskało kłamrę na mojej klatce piersiowej, sprawiało, że nogi miałam jak z waty. Mój mózg przejął kontrolę i na zimno ignorował skurcze żołądka. Z dużej, bezpiecznej, szalonej odległości odmówił jakiegokolwiek udziału, nie chciał uwierzyć w swą słabość, sprzeciwił się rozpoznać brązową, wymizerowaną twarz Śmierci lub srebrny błyszczący rewolwer jako narzędzie wieczności. Twarzą w twarz ze Śmiercią chłodny obserwator we mnie odrzucał nawet ewentualność zagłady, czekał tylko i przyglądał się. Wiedziałam - mimo że mężczyzna zaciskał dłoń na moim gardle i przystawił mi lufę rewolweru do skroni tak mocno, że z pewnością pozostawiła okrągły odcisk - wiedziałam, że nic mi nie zrobi. To było po prostu niemożliwe.

Mój zmysł obserwacji był wyostrzony do fantastycznego stopnia - żółty blask żarówki tworzył przeróżne cienie i wzory na kafelkach. Widziałam każdy szczegół na twarzy mężczyzny - nieduża szrama na jego policzku przypominała tłustą gąsienicę, szew był nierówny i porośnięty włoskami, rzęsy miał gęste i krótkie, nad górną wargą perliły się kropelki potu. Czułam otaczające nas przerażenie, ciężkie i gęste jak dym, namacalne i prawdziwe, bał się tak samo jak ja. Mój mózg to zarejestrował, nie zwracając uwagi na nic, poza tą konkretną chwilą, pomijając wszelkie inne okoliczności mego życia czy moje doświadczenia. Liczyła się wyłącznie

chwila obecna, tylko ona miała jakieś znaczenie. Klucz do mężczyzny
189

stanowiły jego oczy. Zdradzały go, wzrok miał rozbiegany, mrugał powiekami.

- Co tam masz w torebce? - Jego ochrypły głos łamał się z napięcia. I w tym momencie zrozumiałam - mam przewagę. W przeciwieństwie do mnie on nie ma pojęcia, co zamierzam zrobić.

Przycisnęłam kurczowo torebkę do siebie prawą dłonią. Oczy mężczyzny śledziły każdy mój ruch i to był jego błąd - nie czytał z moich oczu.

Zafascynowany moimi dłońmi, nie zauważył nagłego ruchu mojej prawej ręki sterowanej przez mózg, który wydał polecenie: „Teraz! Teraz!”.

Chwyciłam go od wewnątrz za nadgarstek, nie mocno, ale szybko.

Zaskoczony, wypuścił rewolwer, który frunął w powietrze i wylądował ze stukotem na schodach prowadzących do wyższego podestu.

Zwarliśmy się ze sobą, tyle że każde z nas miało przeciwny cel - on chciał podnieść rewolwer z najwyższego stopnia, ja zaś uczepiłam się go w pasie, czując siłę jego ciała, gdy próbował strząsnąć mnie z siebie. Wziął nade mną górę i odepchnął mnie od siebie, nie odwracając się, ale tamten głos we mnie powtarzał ostro: „Trzymaj! Trzymaj go!”. Stałam się częścią ciała napastnika, jego stóp, kolan, ud, tułowia. Uwieszona na nim, ciągnęłam go w dół, jak najdalej od rewolweru. Betonowe stopnie z metalowymi krawędziami drapały mi bezlitośnie nogi, czułam nieprzyjemny zapach i dotyk jego sztruksowej kurtki, w którą byłam wciśnięta twarzą, jednakże wczepiona w niego ślepo, nie zwalniałam konwulsyjnego chwytu.

Podnieśliśmy się, następnie stoczyliśmy się, tracąc równowagę. Tym razem napastnik przygniótł mnie swym ciężarem. Nagle zdałam sobie

sprawę, że nasze zapasy odbywają się w niemal zupełnej ciszy, przerywanej jedynie cichymi sapnięciami, gdy chwytałyśmy oddech.

190

Mnie zabrakło głosu z idiotycznego powodu - nie wiedziałam, co mam krzyczeć. Ratunku? Chodź tu? Nagle, wśród naszej szarpaniny, wydałam z siebie szalony, dziki krzyk bez słów, przypominający wycie zwierzęcia.

Nie kontrolowałam go ani nie kierowałam do nikogo, po prostu poczułam, że mój więzień wymyka mi się, podnosi się. Zobaczyłam twarz Paula Durkeego, który, pochylony nad nami, mówił coś, próbując rozpleść moje zaciśnięte palce, rozplatać ramiona. Skuł mężczyźnie ręce za plecami.

Durkee zdawał się wypełniać swoją postacią cały tunel, poruszał się zwinnie, sprawnie wykonując swoje zadanie.

Weszłam na górę, podniosłam rewolwer i trzymałam go w dłoni, ciężki i błyszczący. Dopiero w tej chwili, gdy go dotknęłam, poczułam jego wagę, mój mózg uwierzył w realność sytuacji, zaakceptował ją. Zeszłam po stopniach do miejsca, w którym leżał rozciągnięty na schodach więzień, twarzą w dół. Paul stał obok niego ze swoim rewolwerem w dłoni.

Stałam nad nim, teraz już unieszkodliwionym, i zawołałam cicho:

- Hej!

Przekręcił się na bok, ja zaś, zebrawszy całą energię, jaka mi jeszcze pozostała, kopnęłam go tylko raz, z dziką wściekłością. Moja stopa trafiła go w splot słoneczny, schwytał bezgłośnie oddech, nie spojrzał na mnie.

Paul pokręcił z zaskoczeniem głową, obrzucając mnie pytającym wzrokiem. Popatrzyłam na niego bacznie.

- Dobrze, już dobrze, tygrysico. Uspokój się, tatuś jest przy tobie.

Wówczas wszelkie emocje odpłynęły. Poczułam się pusta i pozbawiona

uczuć jak Śmierć. Moja twarz była obojętną maską.

191

Zadzwoiłam z dyżurki do komendanta okręgu. Agent, mały, zgarbiony człowieczek, gapił się wytrzeszczonymi oczami na zatrzymanego, opartego czołem o ścianę całym swym ciężarem, ponieważ stopy miał odstawione do tyłu. Durkee trzymał mu rewolwer przy skroni. Szef detektywów gwizdnął tylko cicho i obiecał, że natychmiast wyśle radiowóz. Odwiesiłam słuchawkę i zapaliłam papierosa. Agent, zdenerwowany i niespokojny, powiedział, że na stacji nie wolno palić, ale widocznie wyraz mojej twarzy musiał sprawić, że machnął ręką i roześmiał się, mówiąc:

- Dobrze, dobrze, niech już pani zapali.

Radiowóz nadjechał szybko, a może tak mi się wydawało, i po krótkim czasie wszyscy weszliśmy do budynku komisariatu. Czekał na nas komendant oraz kilku umundurowanych policjantów, którzy przyglądali się, jak Durkee prowadzi zatrzymanego po schodach. Komendant przystanął, zaczekał na mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku? - spytał. - Dobrze się pani czuje?

Skinęłam twierdząco głową, on zaś po chwili wahania wpuścił mnie przed sobą do pokoju detektywów. Usiadłam przy najbliższym wolnym biurku i wyciągnęłam dłoń nad suszką - nie drżała. Durkee zniknął w gabinecie komendanta, a do pokoju wszedł porucznik w mundurze, zamykając drzwi do gabinetu. Zaczęłam sporządzać notatkę moim nieczytelnym, pochyłym, drobnym pismem, spoglądając na zegarek, zapisując godziny i miejsca. Usłyszałam, że dzwoni telefon, a potem głos detektywa:

- Przestańcie robić z tego wielkie halo, ona jest policjantką, to jej praca.

Proszę bardzo, możecie przyjść, jeśli koniecznie chcecie. Wasza sprawa. -
Odłożył słuchawkę i obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem. Musiał
zobaczyć coś w mojej twarzy, wzruszył bowiem ramionami i powie-
192

dział: - Ci faceci z gazet dadzą się teraz pani we znaki. - Nie odezwałam
się, wrócił więc do swego biurka.

Wokół mnie bez przerwy coś się działo. Detektywi kręcili się w tę i z
powrotem od gabinetu komendanta do skrzynki, gdzie wrzucano skargi.
Wyjmowali kartki papieru i dzwonili do osób, które owe skargi złożyły, by
zgłosiły się nazajutrz w komisariacie lub w sądzie w celu pozytywnej
identyfikacji. Mnie ogarnął przerażający spokój, kompletny brak
jakichkolwiek uczuć, jak gdybym była niewidzialna, siedząc tu, w samym
centrum ożywionego działania, podniecenia, rozmów telefonicznych, i nie
biorąc w niczym udziału - nie dotyczyło mnie to w żadnym stopniu.
Czułam się jak intruz, który zawędrował przypadkiem do tego miejsca i
którego poproszą, by się wyniósł, gdy tylko zauważą jego obecność.
Detektyw, siedzący przy biurku obok drzwi, zapisywał coś w swoim
notesie, kiwając głową. Spojrzał na mnie, odkładając słuchawkę, i nie
trafił na widełki. Zapalił papierosa, nie spuszczał ze mnie wzroku, w
końcu podszedł do mnie.

- Jestem O'Calin. - Zdziwiłam się, ponieważ wyglądał na Włocha.

Przyglądał mi się z dziwną ciekawością. - Dobrze się pani czuje? - spytał
bez zainteresowania.

- Dobrze.

- Może dać pani drinka albo coś w tym rodzaju?

- Nie.

Miał szorstki, niemiły głos.

- Jest pani chłodną, opanowaną kobietą, prawda? - Był to pogardliwy komplement.

Popatrzyłam mu teraz prosto w oczy. Badał mnie wzrokiem, czekając na jakąś reakcję.

- Zimną jak lód - odpowiedziałam, czując się właśnie taka - zimna i martwa. Otaksował mnie wzrokiem, wciągnął policzki i odszedł.

193

Usłyszałam głosy Durkeego, komendanta i kilku innych detektywów. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wparował Durkee.

- Co ty tu, u diabła, robisz? - ryknął. - Oni już tam dzielą placek - ustawiają się w kolejce do aresztowań. Nie chcesz swojego kawałka? Zobaczyłam, że O'Calin mi się przygląda.

- Chcę - odpowiedziałam i pozwoliłam, by Durkee wepchnął mnie do gabinetu komendanta.

Najwyraźniej moja obecność była pomysłem Durkeego. Komendant, chudy łysiejący mężczyzna o wodnistych niebieskich oczach, podniósł na mnie wzrok znad biurka. Wszyscy patrzyli na mnie, jak gdybym była zjawą; nie byłam jednak intruzem. Dotarło to do mnie z całkowitą jasnością. Miałam tu być. Rozejrzałam się po obecnych - zatrzymany, przykuty kajdankami za obie ręce do krzesła stojącego przed biurkiem, otaczający go nieznajomi detektywi, porucznik w cywilu oparty o szafkę z aktami, dwaj inni detektywi stojący przy oknie. Durkee złapał wolne krzesło, przyciągnął je do swojego i skinął na mnie. Usiadłam. Nikt nie odezwał się ani słowem. Komendant zakasłał, rzucił okiem na jakieś papiery na biurku i kontynuował przesłuchanie, jak gdybym go nie

przerwała.

Zatrzymany, z głową opuszczoną na piersi, odpowiadał mruknięciami, potwierdzając wszystkie oskarżenia: tak, tak, tak. To byłem ja. Tak, to też byłem ja. Tak. Przyznał się, że wszystkie kwity z lombardu na biżuterię, pierścionki, zegarki, wyjęte z jego kieszeni, należą do niego. Tak, zastawił je. Tak, zabrał je tamtym kobietom. Tak.

Wszedł O'Calin, pukając jednocześnie do drzwi.

- Przyszli reporterzy z „News” i „Mirror” - powiedział do komendanta. - Chcą rozmawiać z policjantką.

194

JT

- Jest pani gotowa na rozmowę z nimi? - spytał komendant, zatrzymując na mnie spojrzenie wodnistych oczu.

- Tak - odpowiedziałam. - Jestem gotowa.

Mój głos był spokojny i pewny, podobnie odpowiadałam na pytania dziennikarzy, nie wrywałam się z niczym. Powiedziałam po prostu to, co chcieli wiedzieć, stanowczo, metodycznie, tak jak pisze się raporty - rutynowy policyjny przypadek. Wreszcie pytania się wyczerpały, a ja zobaczyłam, że telefon jest wolny. Podniosłam słuchawkę i poprosiłam o wyjście na miasto. Tony podjął słuchawkę po pierwszym sygnale i nie był zdziwiony, że mnie słyszy.

- Mamy go - powiedziałam - mamy bandytę z Fulton Street. Groził mi bronią. Zrobiłam chyba coś głupiego

- wytrąciłam mu ją z ręki. Nie, nic mi nie jest, naprawdę, kochanie. Jestem tylko zmęczona, sam rozumiesz.

Sprawa zakończona, powiedziałam o wszystkim To-ny'emu. Cokolwiek

jeszcze nastąpi, ta część została zamknięta. Jego głos, a właściwie szept, był pełen troski i obawy o mnie - nienawidziłam tego i pragnęłam być z nim w tej chwili. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, poprosiłam, żeby zadzwonił do mojej matki oraz siostry i powiedział, że nic mi się nie stało, obeszło się nawet bez jednego zadrapania.

- Jesteś zbyt spokojna - powiedział, wyczuwając mnie, zdając sobie sprawę, że to moja postawa obronna. - Poproś, żeby dali ci drinka albo coś w tym rodzaju.

- Nie - odrzekłam - jeszcze nie teraz. Jest mi to potrzebne, wiesz, że w tej chwili jest mi to potrzebne.

- Tak - zgodził się i niechętnie zakończył rozmowę. Podniósłszy wzrok, spostrzegłam, że w pokoju są dziennikarze, którzy notują z uśmiechem koniec mojej rozmowy.

Kierowniczka kobiecego wydziału policji zjawiła się w parę chwil później, dziennikarze jednak już wyszli. Nie

195

można było wyczytać niczego z jej twarzy, głos miała spokojny i stanowczy.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Tak, czuję się doskonale.

- Czy to był jedyny sposób, żeby go przymknąć?

- dodała zimnym tonem.

- Nie, grałam na efekt - odpowiedziałam spokojnie.

Odeszła ode mnie bez słowa i pomaszzerowała do gabinetu komendanta.

Potem wszyscy wyszli, zatrzymany między Durkeem a drugim detektywem.

- Ma pani przydzielone aresztowanie - napaść, próba rabunku i 1897 - powiedziała, podchodząc do mnie.

- Reszta podzieli między siebie inne aresztowania, gdy tylko uzyskają identyfikację od innych skarżących. Jutro, po postawieniu zatrzymanego w stan oskarżenia, chcę panią widzieć w moim biurze. - I już jej nie było. Na dole roilo się od fotografów, którzy oślepiłi nas błyskami fleszów. Obiektywy ich aparatów były wycelowane we mnie. Ustawili mnie obok potężnego aresztanta, kazali mi patrzeć na niego - no, mała, zadrzyj głowę do góry, on jest taki wielki. Więzień został zarejestrowany, po czym komendant poinformował mnie:

- Durkee, O'Calin i Davis jadą z nim do jego mieszkania - chcemy je przeszukać, żeby sprawdzić, czy jeszcze coś nie wyjdzie na jaw. Chce pani jechać?

- Tak - odrzekłam zdecydowanie. - Chcę jechać. Nie wiem, czemu tam pojechałam. Może nie chciałam być z tego wykluczona, a może po prostu uważałam, że w ten sposób zakończę tę sprawę.

Brooklyńskie slumsy są takie same jak inne, brooklyńskie bloki mieszkalne są takie same jak inne, murzyńskie getto również jest takie jak każde inne murzyńskie getto. Durkee ujął mnie za ramię, gdy szliśmy za pozostałymi.

196

- Nie dotykaj ścian - ostrzegł mnie. - Karaluchy. Załomotali do drzwi, które otworzyła nieduża, chuda ciemna dziewczyna o dużych czarnych oczach i wpuściła nas bez słowa do środka. Nie spojrzała na aresztanta, Thomasa Andersona, wiek

dwadzieścia dwa lata, płeć męska, Murzyn, urodzony w Stanach Zjednoczonych. Nie była ani zaskoczona, ani podniecona, ani zdenerwowana, oparła się w milczeniu o ścianę, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jej mąż przysiadł na brzegu niskiego fotela z dziurawą tapicerką. Mieszkanie składało się z kilku malutkich pokoików, szerszych niż dłuższych. Była tam też mikroskopijna oddzielna kuchnia, pod jedną ścianą stała wanna. Wszędzie porozrzucone były garnki i talerze, po ścianie staromodnej lodówki sunęły w górę cztery duże czarne karaluchy. Durkee pokazał mi je i odciągnął mnie dalej. Dziewczyna, która nie miała więcej niż siedemnaście lat, weszła do kuchni. Była brzemienna, na jej pyzatej twarzy malował się wyraz oczekiwania.

Powiedzieli jej, że szukają biżuterii lub kwitów z lombardu.

- Czy dawał pani takie rzeczy? - spytał Durkee. - Prezenty?

- Jediną rzeczą, którą od niego dostałam, jest to - odpowiedziała, patrząc w dół na swój zaokrąglony brzuch i opierając na nim złożone ręce.

Do kuchni wszedł detektyw Davis.

- Ma pani dwa telewizory, pani Anderson, tak?

- Tak i oba są moje - odrzekła.

Detektywi rozglądali się po mieszkaniu, zbierając kwity, różne błyskotki, tani zegarek, szpilkę ze sztucznym kamieniem. Durkee zniknął w ciemnym pokoiku i zostałyśmy z dziewczyną same. Stała bez ruchu, milcząca. Nie spytała nawet, co zrobił jej mąż.

197

- Kiedy ma pani rodzić? - spytałam. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Czy załatwiła już pani wszystko? To znaczy, do którego szpitala pani

idzie?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Z jej dużych okrągłych oczu wycierał strach, którego nie zdradzała młoda obojętna twarz. Chwila minęła, dzieliłyśmy ją, zapragnęłam coś jej powiedzieć.

- Proszę posłuchać - rzekłam bezradnie, ponieważ nie miało to znaczenia. -
Przykro mi.

Nie wiedziałam sama, z jakiego powodu. Z powodu jej męża, który bez wątpienia dostanie przynajmniej dwadzieścia lat; z powodu jej dziecka, które urodzi się gdzieś, już niedługo, by wrócić do tej nory, tych ciemnych, brudnych i zaszczurzonych pokoików. Ale powiedziałam to, a dziewczyna wydeła dolną wargę, przyglądając mi się podejrzliwie przez zmrużone powieki.

- Co to panią obchodzi? - spytała. - Jakie to ma dla pani znaczenie?

Masz rację - absolutnie nic mnie to wszystko nie obchodzi, kompletnie nic, ani ty, ani twój mąż, ani twoje dziecko, ani twoje życie. Nie mam z tym nic wspólnego. I zapomnę o tobie, i o twoim napeężniałym brzuchu; o jego oczach i wykrzywionej paroksyzmem twarzy; o moim własnym chłódzie. Nic nie może mnie dotknąć, ponieważ jestem zimna jak lód i odporna. Nie poruszy mnie nic, co się wiąże z tobą i tobie podobnymi. Jestem twarda jak kamień i nieczuła, ponieważ taką właśnie trzeba być - to nasza jedyna obrona.

9

Staniesz się sławna, twoja twarz będzie znana

Nigdy nie uwierzę w żadne doniesienia gazet, radia lub telewizji. Wiem, że

to wszystko jest wyłącznie grą. Biorą człowieka, manipulują nim, kształtują w sposób odpowiadający ich bieżącym potrzebom i celom. Każde wydarzenie można naciągnąć, a gdy przedstawia się je opinii publicznej, prawda ukryta jest gdzieś za tymi wszystkimi słowami. Wiem o tym, ponieważ tak właśnie postąpiono ze mną. Ponieważ w czasie, gdy ujęłam bandytę z Fulton Street, panował pewien zastój w sensacyjnych wiadomościach, ta sprawa została rozdmuchana, znajdowała się na pierwszych stronach gazet przez wiele dni - aż wreszcie jakieś nowe wydarzenie przyćmiło mój wyczyn.

Kierowniczka wydziału kobiecego policji wezwała mnie do siebie i poinformowała, że zostałam awansowana na stanowisko detektywa trzeciego stopnia. Byłam zaskoczona, ponieważ w polityce awansów policji nie zaleca się tak zwanego awansowania „na gorąco”, co uważam za słuszną zasadę. Zdarza się, że policjant wykona dobrze pojedyncze zadanie, na przykład w momencie starcia, co niekoniecznie oznacza, że zasługuje na awans; często jest to

199

zwykły fuks. Podczas uroczystości w City Hall, patrzyłam na burmistrza, komisarza policji oraz zebrane tłumy z tym samym nienaturalnym opanowaniem, które nie chciało mnie opuścić przez wiele dni po aresztowaniu Andersona. Dopiero później, w domu, trzymając w dłoni upragnioną „złotą odznakę”, zaczęłam odczuwać prawdziwe emocje.

- Zasłużyłam na tę odznakę - powiedziałam do To-ny'ego, który uśmiechnął się do mnie.

- Jasne, że tak.

- Nie - pokręciłam głową. - Nie o to mi chodzi. Zapracowałam sobie na nią

przed całą tą historią. To jest odznaka, którą zawdzięczam nagłówkom w gazetach - wymuszony awans. Nie mieli wyboru. Powinnam go była dostać wiele miesięcy temu za dotychczasowe osiągnięcia w pracy. Moje akta świadczą o tym. Zasłużyłam na awans już dawno - mam na koncie wystarczająco dużo aresztowań i skazań, a nie dostałabym go z pewnością, gdyby nie ten cały szum w mass mediach.

Tony, chcąc mnie uspokoić, powiedział, że nie ma to najmniejszego znaczenia - dostałam awans i Honorable Mention Award, co uprawnia mnie do członkostwa w Policyjnej Legii Honorowej. Jest to najwyższy zaszczyt, jakiego może dostąpić funkcjonariusz policji.

Zobaczyłam swoje zdjęcia na pierwszych stronach porannych gazet i na dalszych stronach w popołudniowych wydaniach - uśmiechnięta dziewczyna, trzymająca pewnie za ramię potężnego czarnego więźnia; radosna policjantka salutująca burmistrzowi, oglądająca z dumą nową odznakę detektywa. Wszystko to było fałszem. Wszystkie słowa napisane przez dziennikarzy i niefrasobliwy podziw trzech wydawców największych nowojorskich gazet: TO RUTYNOWE POSTĘPOWANIE, TWIERDZI MAŁA

200

POLICJANTKA! DOROTHY JEST DROBNĄ KOBIETKĄ, ALE HO, HO! NIGDY NIE LEKCEWAŻ SIŁY KOBIETY! Opowiadali całą historię, przekręcając fakty i szczegóły, żeby ją uatrakcyjnić, opisując moje zdumiewające wyczyny dżudo: „Dorothy powaliła zaskoczonego Andersona, stosując kombinację trzech podstawowych chwytów dżudo [i tu zamieszczone były zdjęcia, jak demonstruję te chwytów, zgodnie ze wskazówkami], a następnie dokończyła dzieła ciosem karate; zakuła go w

kajdanki i oddała półprzytomnego w ręce swego pełnego podziwu partnera". Następowo zdjęcie mojego „pełnego podziwu partnera” z oczami wychodzącymi z orbit, który patrzył na mnie dzikim wzrokiem, podobnie jak ja gapiłam się w obiektyw z drewnianym uśmiechem. Siedziałam kolejno z przedstawicielami różnych gazet, z których każdy otrzymał z biura prasowego policji wyłączność na przeprowadzenie wywiadu ze mną, i odpowiadałam na pytania chłodno, ostrożnie. Zostałam poinstruowana i pouczona. Nie było to ostrzeżenie ani też upomnienie, ale przenikliwa i bystra kierowniczka kobiecego wydziału wyczuła w moim milczeniu, podczas owego instruktażu, niejasny i pełen urazy upór.

- Rozumie pani oczywiście, że udzielając tych wywiadów, przemawia pani w imieniu dwustu pięćdziesięciu policjantek. Pani słowa są naszymi słowami, a to duża odpowiedzialność.

Czyli powiedziano mi: nie bądź sobą, masz być naszym wizerunkiem.

Właśnie z tego powodu czułam się najgorzej. Przystajesz być sobą, tracisz tożsamość. Nie mogłam się przyznać: „Tak, bałam się. Byłam tak przerażona, jak byłaby przerażona każda kobieta na moim miejscu”, ponieważ zaszkodziłoby to publicznemu wizerunkowi

201

policji. Musimy pozostać nieludzczy i wyobcowani, inny gatunek. Stawanie twarzą w twarz ze śmiercią jest tylko zwykłą rutyną, po to zostaliśmy wyszkoleni i za to nam płacą.

Telewizja była jeszcze gorsza, znacznie gorsza. Dwukrotnie wysłano mnie, bym udzieliła wywiadu porannym wiadomościom. Musiałam przyjechać do studia ciemną nocą, mimo że program był emitowany o wpół do szóstej. Siedziałam, przyglądając się temu mężczyźnie, wysokiemu,

gładkiemu, uśmiechniętemu, chociaż o tej porze każdy normalny człowiek naciąga jeszcze kołdrę na głowę. Zapowiedział z wystudiowaną jowialnością grupę dziesięciu niskich, muskularnych, nie potrafiących się wysłowić młodych zapaśników z wybranych klubów chłopięcych z całego kraju. Przyjechali do Nowego Jorku, by wziąć udział w jakimś pokazie w Madison Square Garden. Ci mali neandertalczyki prychali śliną, jękali się, podciągali spodnie i robili małpie miny do kamery, bledli, gdy prowadzący udawał strach przed ich potencjalną siłą. Podczas próby przed audycją słuchałam, siedząc z boku, ogromnie zadbanego, eleganckiego arbitra społecznego, który napisał rozmaite książki na temat życia wewnętrznego wyższych sfer, a teraz raczył mnie czymś, co uważał za fascynująco ekscentryczny materiał, na temat nazwisk, które nic dla mnie znaczyły. Natępnie uniósł wypielegnowane brwi i spytał mnie, machinalnie, kim jestem, zastanawiając się zapewne, jakie mam prawo czy powód, by dzielić z nim tę scenę. Nie byłam przecież członkiem tamtej niedużej grupki młodych osiłków. Nie mogło mi to przejść przez gardło. Odpowiedziałam cicho, że jestem policjantką. Odsunął się lekko.

- Dobry Boże - rzekł, nie bardzo umiając zareagować na tę informację. - A co takiego pani zrobiła? - Najwyraźniej nie pisano o mnie w kronice towarzyskiej.

202

- Nic wielkiego, wykonałam po prostu swoje zadanie

- odrzekłam, gasząc w ten sposób jego przelotne zainteresowanie i pozwalając mu wdać się w dalsze historie o trzeciorzędnych członkach rodziny królewskiej i Palm Beach.

Audycja została nagrana i po obejrzeniu części, otarł czoło i powiedział do

mnie szeptem:

- Gdy tylko to wyemitują, muszę zadzwonić do żony. Powie mi, jak wypadłem. A jak pani to ocenia?

Zdziwiłam się, że szukał u mnie jakiejś formy akceptacji

- być może w głębi duszy był demokratą.

Gdy przeprowadzano ze mną wywiad, prowadzący program, facet o miłej twarzy, ze środkowozachodnim akcentem, który przez cały czas mówił do mnie „Dor'thy”, kręcił wciąż głową. W pewnym momencie wyciągnął rękę i pomacał moje mięśnie.

- Boże drogi, Dor'thy - zatrajkotał - wydajesz się taka drobniutka. - Jak gdybym kurczyła się w oczach. Zmusił mnie, żebym stanęła obok niego - a miał około metra dziewięćdziesięciu - i opowiedziała swoją historię.

Odmówiłam wykutą na pamięć monotonną litanie. Próbował ją ożywić, wydając ciche okrzyki, wtrącając „mój Boże” podczas każdej krótkiej przerwy. Było mi go trochę żal. Oczekaliśmy, dopóki program się nie skończył, oglądając go na monitorze, po czym ekspert społeczny wyszedł, by zadzwonić do żony. Wrócił lekko zdenerwowany.

- Moja żona - rzekł oskarżycielskim tonem - powiedziała, że wypadła pani znacznie lepiej ode mnie. Zarzuciła mi, że zachowywałem się nerwowo.

Na miłość boską, nie miałem o tym pojęcia. Czy pani coś zauważyła?

Zapewniłam go, że nie, ale nie było to dla niego żadną pociechą. Potem zapaśnicy, przypatrując mi się jak przyszłemu lub dawnemu

przeciwnikowi, burknęli jakieś słowa

203

pożegnania, unosząc dłonie. Długie, zimne, wypielegnowane palce

eksperta społecznego wśliznęły się do mojej dłoni, życzył mi powodzenia,

patrząc gdzieś poza mnie. Myślę, że zepsułam mu dzień, ponieważ się nie denerwowałam.

Potem brałam udział wspólnie z Paulem Durkeem w telewizyjnym programie w paśmie dla kobiet, emitowanym w ciągu dnia. Była to jedna z audycji kwizowych. Mają koło, którym kręcą, a gdy się zatrzymuje, wyskakuje napisane na maszynie pytanie na wybrany temat. Prowadzący był jednym z tych wiecznie rozpromienionych facetów; miał sztucznie uszczęśliwioną minę, ale jego krótki, zadarty nos poznaczony był siateczką czerwonych żyłek. Ręce mu drżały, oczy miał zaczerwienione. Zamrugał powiekami, słysząc donośny głos Paula i widząc jego zamaszyste gesty. Nazywał się „Smiling” jakiś tam i uśmiechał się przez cały czas, chociaż wszyscy widzieli, że jego jedynym marzeniem jest przytulić głowę do czegośkolwiek i przespać cały program.

Wyraźnie niepokoił go Durkee, ponieważ Paul zgrywał się, przerywając instruktaż przed audycją głośnymi uwagami i w dodatku używając takiego języka, że wszystkim spuchłyby uszy.

- Teraz - rzekł prowadzący - przez jakieś pięć minut porozmawiamy o tym, co się zdarzyło. Myślę, że pozwolimy opowiedzieć całą historię Dorothy, a potem ty, Paul - powiedział z poufałością typową dla jego zawodu

- dodasz swoje uwagi...

- Możesz być pewien, że to zrobię - przerwał mu Paul.

- Chciałbym ci powiedzieć, że ta mała naprawdę dała mu wycisk. Ona...

Uśmiech nie zniknął całkiem z twarzy prowadzącego, ale był wyraźnie zakłopotany.

204

- Tak, świetnie. Przećwiczymy to w całości przed wejściem na antenę. A

potem zadamy Dorothy cztery pytania z puli o najwyższą stawkę i jeśli na nie odpowie, zadamy ostatnie superpytanie.

Ogarnęła mnie panika. Cała ta reklama, a ja prawdopodobnie zbląznę się na tych pytaniach. Czułam się okropnie, ale jakiś inny mężczyzna, czyjś asystent, szturchnął mnie porozumiewawczo i mrugnął do mnie. Paul zaciągnął go do jakiegoś kąta i zaczął z nim rozmawiać z ożywieniem.

- Nie martw się, dziecino - powiedział tak głośno, żeby usłyszał go prowadzący. - Tutaj wszystko jest ukartowane - podadzą ci odpowiedzi na pytania przed rozpoczęciem tej szopki.

Pan Smiling schował nos w swoich notatkach. Czterech innych członków programu zbliżyło się do mnie, szepcząc „próbne pytania”,

przećwiczyliśmy całą sytuację, a potem znaleźliśmy się na wizji.

Siedząc na twardym plastikowym krześle, opowiadałam moją historię,

Paul zaś przerywał ją co chwila uwagami, machając rękami i przewracając oczami, które szukały właściwej kamery. Prowadzący usiłował go

zagłuszyć, skoncentrowany na znakach, które dawał mu kamerzysta,

ponaglający jednocześnie nas gestami rąk. Publiczność, składająca się z

pulchnych gospodyń, które nie miały nic lepszego do roboty po południu,

klaskała gorąco i wydawała okrzyki zachwyty. Następnie pan Smiling,

przerywając Paulowi z olśniewającym uśmiechem, wstał i zaśpiewał dla

mnie krótką piosenkę słabiutkim, drżącym głosikiem. Stałam tam, czując

się jak idiotka. To bardzo kłopotliwa sytuacja, gdy mężczyzna śpiewa dla

ciebie publicznie. Nie wiedziałam, co począć z rękami, gdzie podziąć

wzrok. Gapiłam się na jego usta. Widziałam plamy od nikotyny

205

na zębach i słyszałam, jak Paul wybija stopą rytm. Wreszcie piosenka się

skończyła i rozległy się triumfalne fanfary trąbek. Podeszłam do koła, zakreśliłam nim i odpowiedziałam kolejno na cztery pytania. Oczywiście, były to „próbne pytania” i podałam odpowiedzi, które już znałam. Pan Smiling tupał nogą, dając znaki publiczności, która za każdym razem wydawała radosne okrzyki. Czułam, że twarz mnie pali, uśmiech przymarzył mi do warg. Paul przekrzykiwał wszystkich, rycząc: „Czyż nie jest wspaniała?!”, z tak szczerym zachwytem malującym się na jego twarzy, że kamera bez przerwy na niego najeżdżała. To prowokowało go tylko do dalszych wypowiedzi. Świetnie się bawił, śmiejąc im się prosto w twarz, oni zaś przyjmowali to za dobrą monetę.

Odpowiedziałam nieprawidłowo na super-hiperpytanie, tracąc w ten sposób wycieczkę do Hiszpanii i zmywarkę do naczyń. Przez jedną pełną grozy chwilę pan Smiling i ja myśleliśmy, że Paul urządzi z tego powodu awanturę, on jednak siedział sobie po prostu, robiąc miny i zacierając dłonie, patrząc przez cały czas na widownię, która reagowała żywo, wydając jęki współczucia. Paul bawił się jak nigdy w życiu. Ostatecznie wygrałam dwieście pięćdziesiąt dolarów, które mieliśmy podzielić z Paulem między siebie, flakon balsamu do włosów, detergent w proszku, papierosy mentolowe i jakieś tabletki na przeziębienie.

Musieli praktycznie ściągnąć Paula ze sceny, by zrobić miejsce dla następnych zawodników, prowadzący sprawiał wrażenie, że bez drinka nie przetrwa reszty programu. Któryś z asystentów producenta obiecał wysłać mi czek w ciągu kilku dni i poinformował, że powinnam podzielić się z Paulem wygraną. Oddałam Paulowi kartony mentolowych, on zaś trzymał je przez chwilę z obrzydzeniem w dłoniach, rozglądając się za koszem na śmieci, po czym cisnął je do niego, jak gdyby parzyły go w palce.

Asystent producenta jęknął z przerażenia i szybko wyciągnął z kosza kartony, przyciskając je do piersi niczym małe dzieci. Rozejrzał się gorączkowo i powiedział do nas szeptem:

- Jezu Chryste, nasz sponsor gdzieś tu jest - chcecie, żebyśmy stąd wylecieli?!

Paul zaczął mówić coś na temat sponsora, ale wzięłam go pod rękę i poprowadziłam do drzwi. Gdy znalazł się na schodach, przystanął i powiedział spokojnym, rzeczowym, absolutnie rozsądnym tonem:

- Czy to nie kompletny dom wariatów? Mój Boże, świat pełen jest czubków!

Wieczorem zadzwoniła do mnie jakaś kobieta. Wyrażała się bardzo sztucznie, dawało się wyczuć, że przeszła przyspieszony kurs oglądy towarzyskiej. Rozpływała się się w zachwytach, jak bardzo mieszkańcy Nowego Jorku są ze mnie dumni i jak byliby zachwyceni, gdybym zechciała wziąć udział w znanym konkursie muzycznym pod koniec tygodnia. Trzeba przebiec przez scenę w pończochach i pociągnąć za dzwonek, zanim zdąży to uczynić przeciwnik, a następnie rozpoznać melodię, którą gra orkiestra. Potem należy odpowiedzieć na pytania dotyczące składanki muzycznej i wracać do turnieju co tydzień, dopóki nie zbije się fortuny.

- A zatem, moja droga, chcielibyśmy, żeby przyszła pani jutro rano w celu odbycia instruktażu; oczywiście, uzyskaliśmy już zgodę władz policyjnych.

- Nie - powiedziałam cicho. - Niestety, nie mogę.

- Ależ nie zrozumiała mnie pani, moja droga. Rozmawiałam z inspektorem

Rodgersem z biura prasowego policji, który podał mi pani numer.

Wszystko zostało ustalone.

- Nie - powiedziałam. - Nie mam ochoty wystąpić w waszym konkursie.

Jestem zbyt zmęczona. Mam wrzód

207

żołądka i mój lekarz zabronił mi przemęczać się - żadnych stresów, żadnej telewizji. Koniec z tym.

Głos jej się załamał, ale wciąż był pogodny i pewny siebie.

- Nasza nagroda pieniężna, moja droga, jest bardzo wysoka, z pewnością wie pani o tym.

- Nie interesuje mnie to. Poza tym kompletnie nie znam się na muzyce - słoń nadepnął mi na ucho.

Śmiech w słuchawce był wszystkowiedzący, sprytny i pełen ulgi, że wyszedł na jaw prawdziwy problem.

- Nie musi się pani tym martwić, moja droga. Dobry Boże, to naprawdę głupstwo. Przed konkursem... trochę przećwiczmy... rozumie pani. -

Wydawało jej się, że jest bardzo dyskretna i dowcipna.

Chciałam to od niej usłyszeć, ale byłam naprawdę zbyt zmęczona, żeby mnie to obeszło.

- Nie, nie mam ochoty biegać po waszej okropnej scenie w pończochach, pociągać za wasz kretyński dzwonek i wygrywać waszych parszywych pieniędzy.

- Chwileczkę - powiedziała zaszokowana, pełnym urazy i oburzenia tonem. - Czy zdaje sobie pani sprawę, że mamy listę oczekujących z całego kraju, chętnych do wzięcia udziału w naszej zabawie? Czy zdaje sobie pani sprawę, że uczestniczenie w niej jest przywilejem? Czy zdaje

sobie pani sprawę, jak trudno dostać się do naszego programu?

- Świetnie - odpowiedziałam. - Proszę więc wybrać na moje miejsce kogoś z tej długachnej listy. - I odłożyłam słuchawkę.

Były też inne telefony: na przykład od jakiegoś nawiedzonego czubka, który miał dziesięć centów i książkę telefoniczną, jak również takie, w których rozmówca zaczynał od komplementowania z wyraźnym podnieceniem
208

mojej pracy, a kończył na nieprzyzwoitościach. Dzwonili również przyjaciele - w dobrych intencjach, ale też ciekawi ekscytujących szczegółów. Wreszcie Tony powiedział, że poprosi o zmianę numeru i zastrzeże go. Na razie wyłączaliśmy telefon o ósmej wieczorem.

Nazajutrz rano poszłam się zobaczyć z kierowniczką kobiecego wydziału policji.

- Odmówiłam udziału w konkursie muzycznym, ponieważ jestem chora.

Odnowił mi się wrzód i lekarz przepisał mi środki, które działają na mnie otepiająco. Bardzo mi przykro, ale nie dam rady brać nadal udziału w tych wszystkich programach.

- Czy chce pani pójść na zwolnienie? - spytała cicho.

- Nie, po prostu muszę zrezygnować z występowania w telewizji.

- Rozumiem. Oczywiście zdaje sobie pani sprawę, że w poprzednich audycjach występowała pani absolutnie dobrowolnie. Nie zaprzeczyłam.

Skinęłam głową. - Podsumujmy - wystąpiła pani w trzech programach telewizyjnych i udzieliła dwóch wywiadów radiowych, zgadza się?

Dobrze, pani Uhnak. Proszę zameldować się jutro rano w pracy, zastanowimy się nad pani nowym zadaniem.

- Przyglądała się przez chwilę swym długim białym paznokciom. - Nie

wiem, czy się pani orientuje, ale z pani nowym zadaniem wiążą się pewne trudności.

Na mojej twarzy musiało odmalować się zdziwienie, mówiła bowiem dalej, kiwając głową:

- Tak, nie bardzo wiem, gdzie mam panią umieścić. No cóż - powiedziała, przyglądając się ciekawie mojej twarzy

- stała się pani dość znaną postacią. Wiele brygad, które zatrudniają policjantki, podchodzi dość - szukała właściwego słowa - „nieufnie” do kogoś, kto pokazywał się tak często publicznie.

209

- Doprawdy? - Głos mi drżał z napięcia. - Czy szefowie detektywów uważają mnie za kogoś w rodzaju primadonny? Czy uważają, że cała ta reklama miała służyć mnie?

- Nie podaję w wątpliwość ich motywów - powiedziała ostrym tonem, jej oczy rzucały błyski, po czym dodała złośliwie: - ani pani. Przekazuję tylko tę informację. W tej chwili sprawa jest zbyt świeża.

- A może ja jestem zbyt ambitna?

- No cóż, to pani powiedziała, prawda? - Siedziałyśmy, obserwując się wzajemnie, żadna z nas nie ustąpiła ani o krok, żadna się nie odsłoniła. W końcu to ona przerwała milczenie. - Pani Uhnak, poważnie proponuję, żeby wzięła pani sobie parę dni wolnego. Ma pani nadgodziny. Może odpocznie pani trochę, a mnie pozwoli rozpracować tę sprawę? -

Słyszałam w jej głosie pewną życzliwość i być może odrobinę troski, ale jej twarz ich nie zdradzała. Mimo to czułam, że dźwiga na barkach wielki ciężar. Połączyła nas osobliwa, nieuchwytna nić współczucia. Gdyby nie była moją zwierzniczką, powinnam była walczyć.

- Tak. Bardzo mi przykro. Było tego zbyt wiele - cały ten szum. Nie czuję się zbyt dobrze i jestem zmęczona.

Otwarte zaproszenie do okazania współczucia okazało się złą taktyką, nie było mowy o żadnym koleżeństwie. Rysy jej stwardniały, skinęła głową.

- Świetnie, może pani wziąć dwa dni wolne. Proszę napisać podanie, a ja wyrażę zgodę. Poza tym zwalniam panią również dzisiaj na resztę dnia. -
Po czym zajęła się własną pracą.

Siedzieliśmy z Tonym tego wieczoru, oglądając powtórkę wiadomości.

Oto ja z przyklejonym do warg uśmiechem, mówiąca tym spokojnym, nie do zniesienia pew-

210

nym siebie tonem, w wystudiowany sposób, jak aktorka robiąca w odpowiednich miejscach pauzy. Bagatelizowałam niebezpieczeństwa, opowiadałam o wszystkim, podkreślając, że to tylko „rutynowe postępowanie”, umniejszając dla efektu swoją rolę, a podniecenie komentatora rosło, im bardziej ja byłam swobodna i spokojna.

Przyglądałam się dziewczynie, która pokazała się na ekranie zaledwie przez trzy minuty, opowiadając całą historię od niechcienia, jak gdyby nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego.

- To wszystko fałsz - powiedziałam.

Wszystko było inaczej. Nikt nie zapytał mnie, jak było naprawdę.

Wreszcie znalazłam odpowiednie słowa, popłynęły strumieniem dźwięków, wywołane burzą uczuć. Oboje na to czekaliśmy, oboje wiedzieliśmy, że ten wybuch musi nastąpić, abym mogła się od tego uwolnić. Wyrzucałam z siebie wszystko, a Tony siedział, ściskając moje dłonie i nie próbując mnie powstrzymać.

- W pewnym straszliwym momencie nic w świecie nie było realne poza nami dwojgiem, całe nasze życie sprowadziło się do tej właśnie sekundy, nic, co było wcześniej, się nie liczyło. Staliśmy naprzeciw siebie, nasza przyszłość zależała wyłącznie od nas, jak gdybyśmy byli jedynymi ludźmi na kuli ziemskiej, wszystko skoncentrowało się w tym ohydny wilgotnym tunelu, oświetlonym mdłym blaskiem żarówki. W całym moim życiu nikt nie był dla mnie tak ważny jak wtedy tamten facet. -

Przerwałam, widząc twarz Tony'ego przez łzy płynące mi z oczu. - Czy potrafisz to zrozumieć? Tylko on i ja, i życie nas obojga, zamknięte w wyłożonych kafelkami ścianach. Wszystko miało tutaj swój początek i koniec. Naprawdę przemknęło mi wtedy przez myśl, że świat ogranicza się do nas dwojga. Ta wielka ciemna twarz, spocona, dysząca,

211

i ja, czująca się jak ktoś obcy w moim własnym ciele. Byliśmy kompletnie sami, a ja nie mogłam przestać myśleć

O tym, co on czuje - to znaczy, wiem, kim on jest... wiem, co zrobił...

wszystkie te nieszczęsne kobiety... spotkałam je w sądzie, rozmawiałam z

nimi, widziałam, jak płaczą, ich mężowie ściskali mi dłonie... nie mogę

jednak nic poradzić na to, że zastanawiam się, co on teraz czuje. On też

tam był. Przeszedł dokładnie przez to samo co ja, a oni teraz to

wykorzystują, robią interes na rozpadzie czyjegoś życia. Gdyby mnie

zabił, przeprowadziliby z nim wywiad w komisariacie, poprosiliby cię o

moje stare zdjęcia do swoich historii i wszystko byłoby dokładnie tak

samo - wszystko! Może nawet historia byłaby bardziej interesująca!

Wstrząsana łkaniami, wtuliłam się w ramiona Tony'ego. Musiałam się

wypłakać, wyrzucić z siebie wszystko.

- Patrzą na mnie, jak gdybym była jakimś dziwolągiem

- zachwycają się mną i robią mnóstwo szumu. Wystawiają mnie na pokaz w szklanej klatce i zadają wciąż te same pytania: „Jak się pani czuła? Co pani czuła, gdy przystawił pani rewolwer do głowy?”. Boże, Boże, co mogłam wtedy czuć? I ta idiotka w telewizji, uśmiechająca się niemądrze i bagatelizująca całą sprawę: „To moja praca; jestem przecież policjantką, dla której to chleb powszedni”. Co oni

o tym wiedzą? Co ktokolwiek o tym wie?

Wreszcie wykrztusiłam to, o czym nie mogłam do tej pory mówić:

- A ta biedna, godna pożałowania ciężarna dziewczyna

- jego żona - w brudnej norze, z mającym się narodzić dzieckiem, podczas gdy jego ojciec siedzi w więzieniu

i spędzi tam dwanaście czy piętnaście lat, czyli okres dorastania dziecka. I tamta dziewczyna, pytająca mnie: „Co to panią obchodzi? Kim jesteśmy dla pani?”. A ja nie

212

zareagowałam na to, nie powiedziałam nic, ponieważ wmówiłam sobie, że ona ma rację. Tony odsunął mnie i spojrzał mi prosto w oczy.

- I miała rację?

- Nie - pokręciłam głową. - Myliła się. A może to ja źle robię, ponieważ mnie to obchodzi. Boże Wszechmogący, co jest ze mną nie tak? Czy muszę się przejmować wszystkim i wszystkimi? Czy muszę widzieć, jak żyją?

Czek nadszedł nazajutrz, zrealizowałam go i podzieliłam nowe szeleszczące papierki na dwie równe kupki po sto dwadzieścia pięć dolarów. Następnie kupiłam kopertę ze znaczkiem, po czym włożyłam do

niej jedną kupkę banknotów i zaadresowałam do pani Anderson. Nie napisałam nic więcej. Włożyłam dolę Paula do torebki. Wrzuciłam kopertę do skrzynki pocztowej, stuknąwszy dwa razy w pokrywę, by się upewnić, że przesyłka wpadła do środka.

W drodze powrotnej do domu zastanawiałam się, co właściwie próbuję kupić za sto dwadzieścia pięć dolarów.

10

Och, odczytaj moja przyszłość w jasnych barwach, och, spraw, by przepowiednia się spełniła

Policja nie cacka się długo ze swoimi bohaterami. Jednego dnia piszą o tobie na pierwszych stronach gazet, w artykułach wstępnych, zamieszczają twoje zdjęcia, występujesz w telewizji - a następnego dnia odbywasz zwykły patrol. W pewnym stopniu jesteś równie podejrzana. Gdybyś po sensacyjnym aresztowaniu dokonała znów czegoś niezwykłego, unoszono by brwi, ściszano głosy, wysuwano podejrzenia. Z drugiej strony, gdyby nastąpiło pewne załamanie i w twoich aktach nie przybyłoby zapisów o aresztowaniach, zaczęto by pytać, czy aby nie spoczęłaś na laurach.

Rozgłos sprawia, że zaczynają ci się przyglądać, badać cię. Przyszli partnerzy obserwują twoją reakcję na to, że stałaś się sławna. Jeśli traktujesz to zbyt obojętnie - „Kogo ona chce oszukać?”. Jeśli otwarcie się z tego cieszysz i delektujesz się sławą - „Co za nadęta cwaniaczka!”.

Moja rola „rzeczniczki prasowej” policji trwała około dwóch tygodni, po czym zostałam czasowo przydzielona

214

do służb specjalnych. Dla mnie była to jednostka elitarna, szczyt marzeń. Pracujący tam mężczyźni i kobiety otrzymują najbardziej interesujące

zadania. Ochroniają prezydenta i towarzyszą jemu oraz jego rodzinie podczas wizyt w Nowym Jorku, towarzyszą koronowanym głowom lub szefom rządów. Mimo że pracują w przedziwnych godzinach i ponoszą ogromną odpowiedzialność, mają też mnóstwo okazji, by spotykać i obracać się wśród ludzi nie tylko „ważnych”, lecz również dynamicznych, ciekawych, których zwykły śmiertelnik nigdy nie pozna. Są dobierani pod kątem osobowości i zdolności nie tylko jako funkcjonariusze policji, lecz również jako dobrze zorientowani fachowcy, wielu detektywów z tej jednostki zna perfektnie drugi język. Rzecz jasna, praca z osobistościami znanymi na polu międzynarodowym nie należy do ich głównych zadań. Służby specjalne zajmują się również tajnymi zadaniami, na przykład sprawdzają organizacje, które są podejrzane o działania wywrotowe, są na bieżąco z problemami na rynku pracy, aby policja trzymała rękę na pulsie na wypadek sytuacji kryzysowej. Na stałe było przydzielonych do służby specjalnej tylko cztery, może pięć kobiet, mnie wysłano tam, bym zastąpiła jedną z nich, która złamała nogę w niefortunnym wypadku podczas jazdy na nartach w północnej części stanu. Zjawiłam się tam, marząc o królach i królowych.

Mój partner nazywał się Charlie Hvolka. Wyjaśnił mi, że mamy prowadzić dochodzenie dotyczące Cyganów.

Większość ludzi kojarzy wróżki z wesołym miasteczkiem albo romantycznymi piosenkami, z rodzajem rozrywki wiążącej się z przyjemnościami późnego letniego popołudnia. Wróżki należą do owego tajemniczego plemienia, zwanego Cyganami, którego pochodzenie jest nieznane, dlatego bardziej egzotycznego dla osoby

wyciągającej dłoń do wróżenia. Gdy miałam około szesnastu lat, moja siostra i ja wybrałyśmy się z jej dwiema chichoczącymi przyjaciółkami do herbaciarni, jednego z tych pustych, raczej lichych lokali, mieszczącego się nad upadającym sklepem z pamiątkami, wciśniętym jakimś cudem między dwa lśniące sklepy przy Piątej Alei. Brudne schody i ciemny korytarz potęgowały jeszcze nasze podniecenie, choć prawdę mówiąc, niewiele trzeba, żeby wywołać radosną ekscytację czterech nastolatek, które mają los wypisany na dłoni i za chwilę dowiedzą się wszystkiego. Jedna z przyjaciółek mojej siostry, Miki, weszła pierwsza do małego pokoiku, zawieszzonego błyszczącymi zasłonami w wielu kolorach. Obejrzała się na nas, wkraczając do królestwa wszechwiedzącego Rahmajee. Był wszechwiedzący, ponieważ tak głosiła niewielka tabliczka nad wejściem do jego tajemniczej jaskini. W dziesięć minut później wynurzyła się stamtąd, z błyszczącymi oczami, lekko oszołomiona. Pokręciła przecząco głową, gdy zasypałyśmy ją gradem pytań, nie mogła wymówić słowa. Nie teraz. Nie teraz. Czekaając na siostrę, sączyłam letnią herbatę. Przy okazji połknęłam kilka gorzkich listków. Inna dziewczynka, nie pamiętam, kim była, powiedziała mi, żebym nie ruszała filiżanką, ponieważ z fusów herbacianych można odczytać przyszłość. Ja wchodziłam ostatnia (jak wypada najmłodszej). Usiadłam przy karcianym stoliku naprzeciwko mężczyzny nieokreślonego pochodzenia, który miał uchodzić za Hindusa dzięki szarawobiałemu materiałowi, udrapowanemu wokół głowy. Czarne oczy żarzyły mu się jak węgielki, światło padające skądś zza mojej głowy oświetlało jego twarz, błyszczącą od jakiejś tłustej substancji. Miał aksamitny, melodyjny głos, dotykał rytmicznie i niezwykle delikatnie

czubkami palców moich wyciągniętych palców. Mierzył moje życie, marzenia, nadzieje, ambicje. Następnie przepowiedział moją przyszłość, starannie dobierając słowa, tak że później, gdy dziewczęta porównały swoje notatki, wróżby różniły się na tyle, żebyśmy były pewne, iż każdej z nas wywróżył jej prawdziwe przeznaczenie. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie słowa mówi się zdyszanej szesnastolatce, która dopiero zaczyna odkrywać świat: miłość, sława, nieszczęście, odwaga, w końcu triumf. Wszystko to mieściło się w tej cudownej dłoni, niepodobnej do żadnej innej dłoni stworzonej kiedykolwiek w całym wszechświecie.

Potem zniosłam moją filiżankę z rozmokłymi fusami herbacianymi do narożnego stolika, gdzie niewiarygodnie stara kobieta zgarbiła się nad nimi, rozrzuciwszy je przed sobą na spodeczku. Nie patrząc na mnie, zaczęła z nich wróżyć tak cicho i z tak dziwnym akcentem, że do dzisiejszego dnia nie wiem, jakie miało być moje życie. Pochyliłam się ku niej tylko raz, żeby dosłyszeć jej słowa, ale owionął mnie cuchnący gorący oddech i od razu straciłam ochotę na wróżby.

Na tym zwykle kończy się nasza wiedza o Cyganach i wrózkach. Zostaje w nas naiwne, nawet podniecające wspomnienie dni, gdy chętnie akceptowaliśmy marzenie jako wyłącznie nasze i nosiliśmy je w sercu jak wielką tajemnicę.

Jednakże każda policja w każdym dużym mieście ma swoje historie o Cyganach i nie są one wcale ani romantyczne, ani zabawne.

Charlie Hvolka był mężczyzną o cichym głosie, średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Prawdopodobnie mierzył o kilka centymetrów mniej i ważył o kilka kilogramów więcej, niżby chciał. Miał okrągłą

łagodną twarz

217

i wydatne kości policzkowe, małe oczy i spierzchnięte wargi. Nie podnosił głosu i starannie wymawiał słowa, ponieważ mówił w wielu językach i zdawał sobie sprawę, że niekiedy zdarza mu się wpadać w akcent z czasów rosyjskiego dzieciństwa. W jego twarzy nie znalazłbyś śladu charakterystycznej surowości i gdyby ktoś miał odgadnąć jego zawód, prawdopodobnie powiedziałby, że jest nauczycielem szkolnym czy akademickim, bibliotekarzem lub jedną z wielu osób świadczących rozmaite usługi, których rysów nigdy się nie zapamiętuje. Był to jeden z najmocniejszych punktów Charliego. Policyjny był w nim tylko umysł, zbudowany z twardych metalowych trybików, które obracały się szybko i niczego nie przepuściły.

- Dostaliśmy cynk - powiedział Charlie, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie powie mi nic więcej o okolicznościach sprawy - że ta kobieta, madame Zoruba, kieruje siatką osób dokonujących pokątnie przerywania ciąży. To stara przebiegła wiedźma, nie mogliśmy zdobyć przeciwko niej niczego konkretnego. Mówi głównie po polsku, ale rozumie po angielsku i potrafi się porozumieć w tym języku. Jej „świątynia” czy „kościół” mieści się w górnym West Side. Zajmuje się trochę przepowiadaniem przyszłości, udaje jednak, że nie robi tego dla pieniędzy - darczyńcy wspierają jej „kościół”.

Madame Zoruba nie była oszustką, ograbiającą chciwe kobiety w średnim wieku z majątku, który świeżo odziedziczyły po zmarłych mężach. To dość powszechne działanie, bazujące na niewiarygodnej znajomości ludzkiego skąpstwa. Pracowałam nad kilkoma takimi sprawami, gdy

byłam w kobiecym wydziale policji. Cyganki stosują wobec ofiar rozmaite chwyt, układają wokół pieniędzy chusteczki, duszą kurczęta w papierowych torbach, stra-

218

szą, że klątwa wisi w powietrzu i trzeba oczyścić przeklęte pieniądze. I owe kobiety w średnim wieku poddają się temu, a jest ich naprawdę dużo i są znacznie inteligentniejsze, niżby ktoś uwierzył. Gonią za bogactwem, obiecanym przez Cygankę oszustkę, która oczywiście jako jedyna zyskuje na tych transakcjach. Cyganki są cierpliwe, czekają niekiedy miesiącami, zanim dobiorą się ostatecznie do pieniędzy, a nieszczęsna ofiara oszukuje się, że to z pewnością uczciwy interes, bo przecież w przeciwnym razie Cyganka ukradłaby pieniądze. Ona jednak trzyma je tygodniami, ale wciąż są zbrukane, więc je oddaje. Każe przynieść sobie kurczaka, którego wkłada do torby z pieniędzmi. Jeśli kurczak zdechnie, będzie wiadomo, że są nadal przeklęte. Ona je oczyści, a wtedy zostaną trzykrotnie pomnożone! Są cierpliwe, szachrajki, dla własnych celów. Ofiara zatracą poczucie czasu - nie pamięta, ile było spotkań, co się wydarzyło, kiedy właściwie pieniądze wymknęły jej się z rąk. A gdy rozhisteryzowana kobieta zjawia się zawstydzona i przerażona w biurze prokuratora okręgowego, przeinacza całą historię, nie potrafi jej dokładnie opowiedzieć i wie jedynie, że ktoś zniknął z jej piętnastoma tysiącami dolarów ubezpieczenia. Szansa wytoczenia sprawy oszustce jest niewielka, a najczęściej żadna.

Niestety, zbyt często policja wie, że zostało popełnione przestępstwo, zna sprawcę i orientuje się, w jaki sposób oszukano ofiarę, ale nie może nic zrobić. Prawo ma ściśle określone cele i z konieczności musi chronić

niewinnego. Przy okazji jednak otula ciepłym kocem nietykalności wielu przestępców. W sprawie przeciwko przestępcy policjant pragnie tylko jednego - aresztować go zgodnie z prawem i przedstawić dowody wystarczające do skazania.

Madame Zoruba nie została aresztowana, uszło jej na sucho wiele sprawek. Nie było przeciwko niej

219

ewidentnych dowodów, wiedzieliśmy tylko, że między innymi jest zamieszana w pokątne aborcje. Mieliśmy również pewne informacje o osobie dokonującej przerwania ciąży. Potrzebna nam była sprawa nie budząca wątpliwości.

Charlie Hvolka poinstruował mnie i zaczęliśmy uczyć się naszych ról z takim zapałem jak aktorzy. Podstawową sprawą w życiu każdego detektywa, który pracuje w przebraniu, jest zdolność przybierania nowej tożsamości. Detektywowi nie wolno udawać, musi żyć swoją nową rolą, wierzyć w nią, niezależnie od sytuacji, w jakiej się znajdzie.

- Musisz być tą dziewczyną - wyjaśnił Charlie. - Musisz stać się tą dziewczyną polskiego pochodzenia i zapamiętaj, że wychowałeś się w sierocińcu w północnej części stanu, dlatego nie mówisz po polsku.

Wyglądasz na Polkę ze swoimi jasnymi włosami i oczami. Musisz czuć, że płynie w tobie polska krew.

Nie miałam pojęcia, co to oznacza, że mam czuć się Polką, ale zaczęłam „myśleć po polsku”, przyglądając się twarzy Charliego, jego gestom, gdy krążył po małym pokoju, mówiąc do mnie w tym języku, gestykulując, roztaczając wokół mnie coś, co nazywał „klimatem”, co pomagało mi wczuć się w moją rolę. Było to coś w rodzaju przyspieszonego kursu

„polonizacji”.

- Nikt nie może przyłapać cię na kłamstwie, gdy jesteś kimś innym, ponieważ nie masz autentycznego pochodzenia - musisz stworzyć je zgodnie ze swoimi potrzebami, a wtedy cię nie zdemaskują, albowiem nic nie jest prawdziwe, czyli wszystko jest prawdziwe.

Początkowo wydawało mi się, że to zawracanie głowy, ale im dłużej nad tym pracowaliśmy, dziewczyna stawała się coraz bardziej realna, stawała się mną, a może ja nią.

220

Zacząłam odczuwać smutek, żal nad sobą z powodu goryczy i pustki w moim życiu. Charlie zadawał mi pytania - nie podając odpowiedzi. Znajdź je sama, to twoje życie, nie moje. Uwierzę w to, co mówisz, jeśli ty wierzysz, że to prawda.

- Nie mów zbyt dużo - ostrzegł mnie. - Im mniej mówisz, tym mniej musisz pamiętać, a im mniej musisz pamiętać, tym mniejsze ryzyko, że cię na czymś przyłapią. To wszystko wychodzi od ciebie - czegokolwiek dowiedzą się o tobie, wychodzi od ciebie, ponieważ ty o tym opowiesz.

I tak to w tydzień później zostałam Helen Wróblewski, dwudziestotrzyletnią ekspedientką w tanim sklepie przy rogu Broadwayu i Czterdziestej Piątej Ulicy; samotna; ciężarna; skrzywdzona przez Charliego, który jest żonaty i o dwadzieścia lat starszy ode mnie; pracuje na stanowisku kierownika działu w moim sklepie. Jest jednak dla mnie dobry, próbuje mi pomóc i zechciał mi towarzyszyć. Moja przyjaciółka, Mary Rosiński, z działu kosmetyków, namówiła mnie, żebym udała się do madame Zoruby, ponieważ przyjaciółka kuzynki przyjaciółki powiedziała: „Jeśli masz ten rodzaj kłopotu, idź do madame Zoruby”.

- Jeśli nas przyjmie - powiedział Charlie - nie będziemy na nic naciskać. Wydaje mi się, że nie wyglądasz na glinę, to samo można powiedzieć o mnie, ale ona może uważać, że oboje mamy to wypisane na czole.

Wymyślimy coś na poczekaniu i zobaczymy, co się będzie działo.

Do madame Zoruby nie wchodziło się od frontu prosto z ulicy, lecz po sześciu stopniach w dół. Lokal, który zajmowała, mieścił się w suterenie lichego, niegdyś eleganckiego budynku z piaskowca przy Zachodniej Dziewięćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Nad wejściem, znajdującym się pod schodami na parter, była umieszczona żelazna krata.

221

Na małej tabliczce nad dzwonkiem i większej na drzwiach obłożonych z farby był wygrawerowany napis: MADAME ZORUBA, a nad nim widniał żółty symbol półksiężyca w otoczeniu pięciu gwiazd. Zadzwoniliśmy po raz drugi, a gdy drzwi się otworzyły, Charlie położył dłoń na moim ramieniu. Madame Zoruba obrzuciła nas szybkim spojrzeniem, po czym powiedziała coś po polsku do Charliego.

Charlie odpowiedział z wahaniem. Domyśliłam się, że zapytała, kim jesteśmy i czego od niej chcemy. Rozmawiali przynajmniej przez trzy minuty, a ja nie popatrzyłam jej w oczy, które przyglądały mi się badawczo. Wreszcie wysunęła stanowczo brodę do przodu, tymczasem Charlie, odwrócony teraz do mnie twarzą, tłumaczył mi ich rozmowę. Następnie otworzyła drzwi i pozwoliła nam wejść do ciemnego korytarza. Posuwaliśmy się prawie po omacku. Burknęła pod naszym adresem jakieś wskazówki i Charlie rozsunał zasłonę z koralików wiszącą w łukowatym przejściu do małego dusznego pokoju, zagraconego starymi, wytartymi meblami z pluszową tapicerką - duża kanapa, trzy fotele, podnózek

wielkości fotela klubowego. Kiedyś zapewne były zielone, teraz miały szarawy kolor, na dole pozostały tu i ówdzie resztki złotych frędzli. W pokoju znajdowało się kilka stołów, na każdym z nich stały masywne brzydkie lampy, żadna nie była zapalona. Ściany aż do niskiego sufitu, z którego obłaziła farba, były chaotycznie zawieszane ciemnobrązowymi fotografiami starych ludzi patrzących obojętnie w obiektyw jakiegoś starodawnego aparatu.

W ponurym półmroku pokoju madame Zoruba była uderzająco podobna do mebli, którymi się otoczyła. Była niską kobietą o obfitych kształtach, ubraną w mnóstwo nijakich spódnic oraz grubą bluzkę z ciężkiego taniego

222

atłasu, który najwyraźniej niegdyś, w zamierzchłej przeszłości, był biały. Wyglądała jak żywy sklep z tandetną biżuterią. Przy każdym poruszeniu brzęczała, szczekała i grzechotała, tak była obwieszona najprzeróżniejszymi przedmiotami (z szyi zwisały jej długie metalowe pętle ozdobione paciorkami, na wybrzuszenia bluzki opadały niezliczone sznury zmatowiałych koralu i ściemniałe łańcuchy z przyczepionymi gęsto amuletami). Na zewnętrznych szwach bluzki i na jej przodzie pozostały strzępki wypłowiałego maszynowego haftu, który kiedyś zapewne miał jasne, oślepiające kolory.

Głowę madame Zoruby ciasno spowijała brudna zniszczona szmata, spięta wielką agrafką. Spod niej wymykały się kosmyki włosów, zlepione od domowych środków do trwałej ondulacji i czarnej farby.

Miała okrągłą twarz, pociemniałą ze starości, worki pod oczami i bruzdy wokół ust. Ale jej oczy były pełne życia, same wydawały się zdolne do słuchania. Poruszające się bez przerwy usta stanowiły brązową dziurę w

twarzy, zamiast zębów pozostały tylko nieliczne poczerwiałe pieńki, nierówne i zniekształcone, które stuknęły o siebie głośno w nieregularnych parach. Pomyślałam z rozpaczą o tamtych dziewczynach i kobietach, które przychodziły do niej, aby znaleźć rozwiązanie przytłaczających je problemów.

Głos Charliego był chrapliwy, nabrzmiały troską, mój partner wtrącał od czasu do czasu polskie zwroty, przypominające mi nieco język słowacki rodziców mego męża. Dziewczyna... bardzo młoda... znowu dziewczyna. Za każdym razem zwracał twarz ku mnie. Madame Zoruba przyglądała się bacznie nam obojgu, przenosiła szybko wzrok z Charliego na mnie, ze mnie na Charliego, oceniając nas, taksując.

Gdy się wreszcie odezwała, nie można było rozróżnić słów. Był to strumień mokrych, śliskich, gardłowych

223

dźwięków, wypluwanych przy akompaniamencie stukotu zębów i brzęku paciorków, które kołysały się od gwałtownej gestykulacji. Nagle, bez ostrzeżenia, a przynajmniej bez ostrzeżenia, które potrafiłabym zrozumieć, obróciła się ku mnie z furkotem spódnicy i przysunawszy twarz blisko mojej, zajrzała mi w oczy, badając to, co w nich zobaczyła. Wreszcie skinęła gburowato głową i odsunęła się. Wskazała mi gestem krzesło, sama zapaliła żółtą lampę i usiadła na podnóżku, z rozłożonymi szeroko kolanami, spódnice rozpostarły się wokół niej na podłodze. Skinęła, bym podała jej rękę, po czym odepchnęła moją lewą dłoń i chwyciła prawą. Umieściła ją między swoimi dłońmi i potarła ją gwałtownie. Skórę miała twardą i szorstką jak tarka, czułam niemiłe drapanie. Następnie, trzymając lekko moją dłoń, mrużyła nad nią oczy i marszczyła brwi, sunąc po liniach

papilarnych od początku do końca żółtym grubym paznokciem. Zgarbiła się, odchrząknęła, a ja byłam prawie pewna, że splunie mi w dłoń, ona jednak wydała z siebie tylko charkot, jak gdyby się dusiła. Wpatrywała się w moją dłoń z takim natężeniem, mamrocząc coś pod nosem i mrużąc oczy, że zaczęło mi się wydawać, że coś jest tam wypisane, coś, czego ja nie potrafię odczytać, ale ona widzi. Sprawiała wrażenie całkowicie skoncentrowanej, wbijała mi swój gruby i krótki paznokieć coraz głębiej w skórę, następnie przekręciła mi dłoń grzbietem do góry, potarła ją szorstkimi palcami, po czym odwróciła ją znowu i ukryła w niej twarz. Czułam jej gorący, wilgotny, plugawy oddech, miałam wrażenie, że spływa mi po rękach aż do szyi i ramion, siedziałam jednak sztywna, nie poruszając się.

Wreszcie odsunęła moją dłoń - zobaczyła wszystko, co chciała zobaczyć. Po raz pierwszy przemówiła do mnie, a jej angielski był tak samo gardłowy i prawie niezrozumiały jak polski.

224

- To mieć dwa miesiące?

To nie było właściwie pytanie, lecz stwierdzenie. Skinęłam głową. Świadczyło ono o jej przebiegłości - dwa miesiące to najbardziej prawdopodobny okres ciąży. W pierwszym miesiącu mężczyzna powiedziałby kobiecie, że może po prostu miesiączka jej się spóźnia, może jest podenerwowana. Ale po upływie drugiego miesiąca mają już pewność i jeśli coś ma być zrobione, to właśnie jest odpowiednia pora, gdy zaczyna się trzeci miesiąc ciąży.

Potem przestała w ogóle zwracać na mnie uwagę, nie zaszczyliła mnie nawet przebiegłym spojrzeniem spod zmrużonych powiek, zwracała się

wyłącznie do Charliego, który stał niezręcznie, przestępując z nogi na nogę i miętosząc kapelusz w obu rękach. Mówili cicho, wyłączając mnie z rozmowy, po czym madame Zoruba odwróciła się i wyszła z pokoju, kołysząc się w biodrach i ciągnąc za sobą zawieszony w przejściu koraliki. Zerknęłam na Charliego, ale on stał ze wzrokiem wbitym w stopy. Po chwili wróciła, wyciągając ku mnie rękę. Gdy otworzyła dłoń, zobaczyłam dwie białe tabletki leżące na skrawku różowej chusteczki higienicznej. Pochyliła twarz nisko nad nimi, mruczając coś i przyskajac na nie śliną, po czym ujęła moją dłoń, położyła na niej tabletki, chuchnęła kilka razy, jej mokre usta poruszały się bezgłośnie, wreszcie zacisnęła moją dłoń w pięść.

- Dzisiaj - powiedziała. - Dziewiąta wieczorem. Brać. Może nie być więcej kłopotu. - Wzruszyła ramionami. - Albo nie pomoże. Kto to wie? Charlie znów coś do niej powiedział, a ona jeszcze raz wzruszyła ramionami i pokręciła głową, nie dając mu żadnych gwarancji, po czym skinęła na nas, żebyśmy udali się za nią do drugiego pokoju za zasłoną z koralików.

Pokój był pomalowany na jakiś ciemny kolor, w oknach wisiały czarne lub granatowe zasłony z ciężkiego materiału,

225

prawdopodobnie z aksamitu. Na podłodze leżało zniszczone linoleum, ale w pokoju było tak ciemno, że nie potrafiłam odgadnąć jego koloru. Na jednej ścianie znajdowało się coś w rodzaju ołtarza, zbieranina półreligijnych przedmiotów. Był wśród nich krucyfiks ze strasznie wyglądającą postacią Chrystusa z wyszczerbionego gipsu. Chrystus miał przeguby i czoło pomalowane na czerwono farbą imitującą krew. Wzdłuż

ołtarza były ustawione różnokolorowe sztuczne kwiaty w rodzaju tych, które ludzie składają na grobach w Dniu Pamięci, obrus zdobiły haftowane groteskowe postacie i wzory. Tkanina za krucyfiksem była udekorowana gwiazdami, półksiężycami i dziwnymi symbolami. Na ołtarzu spoczywał mosiężny dzwon i stało kilka słoików z wonnymi świecami, żadna z nich nie była zapalona. Pośrodku ołtarza było umieszczone duże mosiężne pudełko z wielką kłódką i szeroką szczeliną. Do kłódki była przyczepiona mała kartka, prawdopodobnie ze słowami prośby w języku polskim. Pokój był ciasny i duszny; w suchym, zatechłym powietrzu unosił się kurz. Madame Zoruba wręczyła każdemu z nas długą cieką świecę, a następnie zapaliła je. Potem wskazała świece na ołtarzu, a gdy je zapaliliśmy, wydała dziwny okrzyk.

Stała za mną ze wzniesionymi nad moją głową rękami i twarzą zwróconą ku sufitowi, zawodząc grubym głosem. Charlie patrzył na nią, nie potrafiłam wyczytać nic z jego twarzy oświetlonej pełgającym blaskiem świecy. Wreszcie skończyła wymawiać magiczne słowa i powiedziała coś do Charliego, wskazując swój przenośny sejf. Charlie wyjął z portfela banknot pięciodolarowy. Chwyciła w powietrzu jego dłoń i zagadała gwałtownie, mrużąc oczy. Mój partner sięgnął znowu do portfela i wydobył z niego tym razem dwudziestodolarówkę. Madame Zoruba obejrzała ją

226

dokładnie, popluła na nią i umieściła w mosiężnym pudełku, mamrocząc pod nosem jakieś słowa. Następnie zdmuchnęła świece, ale obrzydliwy słodki zapach zdążył już przeniknąć nasze ubrania, włosy, skórę. Gdy wróciliśmy do pierwszego pokoju, madame Zoruba ujęła mnie szorstko za

ramię.

- Brać pigułki - powiedziała. - Czekać dwa dni. Nic się nie stanie - przychodzić do mnie jeszcze raz.

Skinęłam głową i ruszyłam za Charliem w stronę drzwi prowadzących na ulicę, gdy nagle kobieta znów chwyciła mnie za ramię, odwracając ku sobie. Zaglądając mi w twarz jasnymi okrutnymi oczami, powiedziała:

- To tutaj - szturchnęła mnie w brzuch - niedobre, rozumiesz? - Określiła twarz dłonią, po czym dźgnęła się w oczy kciukiem i palcem wskazującym. - Niedobre. Nie mieć oczu. Jakie to słowo? Ślepe. To tutaj - powtórzyła, znowu szturchając mnie w brzuch - ślepe. Niedobre. Nie mieć oczu!

Wyszliśmy w milczeniu na ulicę, patrząc przed siebie. Kręciło mi się w głowie od zapachu i atmosfery tego miejsca. Szliśmy powoli, ciężko, każde z nas próbowało uporać się po swojemu z sytuacją. Gdy jechaliśmy z powrotem do biura służb specjalnych, zauważyłam, że Charlie ma szarą, mizerną twarz, kąciki ust opuszczone ku dołowi.

Okazało się, że tabletki są zwykłą aspiryną. Nie można było aresztować madame Zoruby za aplikowanie leków bez zezwolenia. Każdy może dać ci aspirynę.

Pieniądze, których zażądała od Charliego, były datkiem na jej cele religijne. Nie można było jej więc aresztować za przepowiadanie przyszłości za opłatą.

Dwa dni później zjawiliśmy się znów w przybytku madame Zoruby.

Ponowna wizyta w jej siedzibie wystarczyła, bym poczuła się chora.

Najwyraźniej mój wygląd ją

zadowolili, ponieważ przyjrzała mi się bacznie, kiwając głową, po czym odsunęła się ode mnie i zaczęła rozmawiać o mnie z Charliem, jak gdybym była jakimś przedmiotem. Charlie miał głowę spuszczoną, szurał czubkiem buta po podłodze, miętosząc w dłoniach kapelusz i kręcąc głową. Madame Zoruba cmokała, przelykała głośno, mówiła coś do Charliego, wskazując wysuniętą brodą na mnie, machając rękami i uderzając się w brzuch. Potem wskazała mi krzesło. Wyszła na chwilę, kołysząc się jak kaczka, następnie wróciła z kartką papieru i ołówkiem, który wycelowała we mnie. Spojrzała na Charliego i nakazała mu gestem, żeby wyszedł do drugiego pokoju, i stała, patrząc na kołyszące się koraliki, dopóki całkiem się nie uspokoiły.

- Zapisać to - szepnęła do mnie. - Tak, pisać teraz. Zachodnia Osiemdziesiąta Siódma Ulica 426, mieszkania 16 A. Za dwa dni od dziś. - Kręcąc głową z pewnym zakłopotaniem, zaczęła liczyć na placach. - Dwa dni: dzisiaj wtorek. Środa. Czwartek. Pisać, pisać.

Zapisałam.

Patrzyła na słowa, wychodzące mi spod ołówka, następnie potrząsnęła mnie za ramię i podniosła do góry dłoń z rozcapierzonymi palcami.

- Pięćset, przynieść pięćset. On mówić... tamten mężczyzna mówić dobrze. Skinęłam głową.

Odsunęła się ode mnie i znów poprowadziła mnie do swego sanktuarium, gdzie czekał Charlie. Jeszcze raz przeszliśmy przez tę samą procedurę, Charlie rozstał się z kolejną dwudziestodolarówką i przesiąkliśmy duszącym zapachem świec.

Zanim wyszliśmy, podeszła do mnie blisko i zmrużyła oczy tak silnie, że prawie zniknęły w siateczce zmarszczek.

- To tutaj - powiedziała, gestykulując żywo - niedobre. Ślepe, ślepe, nie mieć oczu, nie widzieć.

Wyszliśmy od madame Zoruby; miałam w torbie adres mężczyzny zajmującego się pokątną aborcją - ale był to adres napisany moją ręką i bez świadków.

Był to budynek z pokojami wynajmowanymi przez tych bezimiennych, znużonych życiem przejezdnych, którzy pojawiają się pewnego dnia, mając dość pieniędzy na tygodniowy czynsz, wtapiają się w ponure otoczenie, a następnie znikają, jak gdyby nigdy ich tu nie było. Gdy wyszliśmy od madame Zoruby, Charlie zadzwonił w kilka miejsc i wyjaśnił mi krótko, co załatwił. Sprawdzono teren i okazało się, że lokal 16 A został wynajęty na dłużej i przebywa w nim od czasu do czasu „pan Dormanski”. W chwili obecnej nie ma go w domu i kilka dolarów dane dozorczy oraz spreparowana historyjka da naszym ludziom czas na „przygotowanie wszystkiego”.

Wiedziałam, że „przygotowanie wszystkiego” oznacza, że zamierzamy założyć podsłuch w pokojach. Charlie nie zdradził mi zbyt wielu szczegółów, ponieważ w takich sprawach im mniej osób je zna, tym lepiej. Wiedziałam jedynie, że do czasu mojej wizyty zostanie zainstalowany podsłuch i inni funkcjonariusze policji będą czekali na swoich posterunkach, by podjąć właściwą akcję we właściwym czasie. Tylko tyle musiałam wiedzieć i tylko tyle powiedział mi Charlie.

W środę w nocy nie mogłam zasnąć, ponieważ myślałam w kółko o tym, co ma się zdarzyć jutrzejszego wieczoru. Byłam umówiona na wpół do ósmej na zabieg. Moje krążenie po pokoju nie pozwalało zasnąć również

To-ny'emu, o co prawdopodobnie mi chodziło, ponieważ wreszcie wstał i zaparzył dla mnie herbatę. To właśnie robi zawsze mój mąż, gdy jestem zmęczona, rozdrażniona,

229

podniecona, niemiła, rozkoszna, szczęśliwa, nieszczęśliwa, kłótniwa.

Przeżyłam połowę życia w środku filiżanki cierpkiej herbaty bez cukru, z odrobiną mleka. Nigdy nie pyta, czy mam ochotę na herbatę - nigdy nie mam nawet pojęcia, że ją parzy. Po prostu podaje mi filiżankę, a ja wypijam herbatę, mówiąc wtedy zwykle to, co mam do powiedzenia.

Gdybym spróbowała określić dla naszego małżeństwa jakiś symbol miłości, oddania i zrozumienia, to byłaby nim filiżanka herbaty.

Myślałam o moim zadaniu przez cały następny dzień, miotając się z kąta w kąt w naszym małym mieszkaniu i spoglądając co chwila na zegarek.

Dzieliło mnie jeszcze wiele godzin od momentu, gdy stąd wyjdę, wykonam moje zadanie, po czym wrócę i będzie po wszystkim. Tony zadzwonił w południe. Powiedziałam, że czuję się dobrze i że zostawiam mu obiad w lodówce. Musi go tylko podgrzać. Mięso jest gotowe.

Podziękował mi i zapewnił, że będzie czekał na mój powrót do domu.

Gdyby zasnął, mam go obudzić, nieważne, która będzie godzina.

Charlie zadzwonił do mnie o wpół do szóstej i oznajmił, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik i nie muszę się

o nic martwić. Wraz z trzema innymi policjantami zajęli stanowiska na drugim piętrze. Lokal 16 A mieści się na parterze, od tyłu. Składa się z małego frontowego pokoju

1 większego, od podwórza. Podsluch założono w obu pokojach. Wkroczą w chwili, gdy będą mieli to, czego chcą. Poleciał mi, bym przyszła pięć

minut przed umówioną wizytą, i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Jego głos był całkiem spokojny, przebijała z niego zawodowa pewność siebie policjanta. Pocieszałam się myślą, że będzie blisko mnie.

Zawsze jednocześnie się pocę i mam dreszcze. Zęby mi szcękają, muszę je mocno zaciskać, jeśli bowiem od-

230

dycham przez usta, stukają głośno jak u dziecka w zimowy dzień. Nie było zbyt zimno. W ostatnich dniach marca czuło się już tchnienie wiosny w wieczornym powietrzu. Frontowe drzwi budynku były otwarte. Weszłam do typowego wąskiego ciemnego korytarza. Oświetlała go jedyna żółta żarówka, odsłaniając wszystkie wybrzuszenia i odpryski świecącej brązowej farby na ścianach. Linoleum na podłodze było dość czyste, ale w niektórych miejscach popękane. Z dużej dziury w podłodze wyłaził robak. Przycisnęłam ręce do boków. Nigdy nie można pozwolić, by otrzeć się ubraniem o ściany, poza tym trzeba uważać na karaluchy spadające z sufitu. Mieszkanie 16 A znajdowało się tuż za wysokimi schodami, numer na drzwiach był prawie zatarty. Dzwonka nie było, zapukałam więc. Może nikt mi nie otworzy. Drzwi otworzyły się nagle i stanęła w nich kobieta.

- Słucham?

- Ja... ja miałam tutaj przyjść.

- Słucham? - spytała znowu.

- Ja... madame Zoruba powiedziała, że mam być o wpół do ósmej.

Kobieta otworzyła drzwi, ale nie odsunęła się i musiałam prawie przecisnąć się bokiem obok niej. Zamknęła za mną drzwi, usłyszałam szcęk kilku zasuwek.

- Zostań tutaj - powiedziała, wychodząc do drugiego pokoju. Gdy

otworzyła drzwi, zobaczyłam, że pokój jest mocno oświetlony, mignęła mi męska ręka, usłyszałam zniżone głosy. Pokój, w którym się znajdowałam, był bardzo mały i nie miał okna. Stałam pośrodku, nie chcąc usiąść na ciężkiej, zapadniętej kanapie. Minęło kilka minut, przysiadłam na brzegu drewnianego krzesła, nie interesując się szczegółami pokoju, lecz starając się usłyszeć rozmowę w sąsiednim pokoju. Toczyła się najwyraźniej

231

w obcym języku, ponieważ dźwięki przypominały śpiewne buczenie. Dwa głosy męskie, jeden kobiecy. Rozejrzałam się po pokoju, zastanawiając się, gdzie umieszczono mikrofon. Zerwałam się na równe nogi, gdy kobieta otworzyła drzwi.

Trzymała w ręku kartkę. Podeszła do małego stolika pod ścianą i przywołała mnie gestem, pokazując, żebym przyciągnęła krzesło. Zapaliła małą lampkę na ścianie. Była to jarzeniówka i w fioletowawoniebieskim świetle jej rozjaśnione, przycięte krótko włosy miały prawie zielony kolor. Kobieta była niska i gruba, miała małe brudne stwardniałe dłonie, ubrana była w niechlujną podomkę w kwiaty, człapała po podłodze w popękanych białych butach na gumowej podeszwie, powypychanych w miejscu małych palców.

- Nazywam się Poland - powiedziała. - Teraz odpowiesz na kilka pytań.

Jesteś mężatką?

- Nie - odrzekłam głośno. Spojrzała na mnie ostro, a ja przypominałam sobie, że zainstalowane mikrofony są su-perczułe. Splatałam i rozplatałam nerwowo palce, gdy ona notowała coś na kartce.

- Kiedy była ostatnia miesiączka?

- Na początku stycznia.

- Jesteś zdrowa? - Zmierzyła mnie baczny spojrzeniem z miną kiepskiej, nieczulej nauczycielki, która trafiła do zawodu przez pomyłkę, miną, z jaką mogłaby powiedzieć do płaczącej uczennicy: „Twoje łzy mnie nie wzruszają, młoda damo, nie robią na mnie najmniejszego wrażenia”, albowiem sama nigdy nie płakała. Jej małe oczka w obramowaniu nierównych rzęs, pod niskimi, nie wyskubanymi brwiami, miały podły wyraz. Twarz kobiety nie wyrażała żadnego zainteresowania, patrzyła na mnie, nie widząc mnie. Musiałam odpowiedzieć na całą serię pytań.

Wzrost metr sześćdziesiąt dwa, waga pięćdziesiąt

232

siedem kilo, żadnych kłopotów z sercem, ciśnienie krwi w normie, nie podatna na omdlenia.

- I nie awanturujesz się, prawda? - spytała ochryplym szeptem. - Nie robisz zamieszania?

- Nie rozumiem, o co chodzi.

- Miewasz skurcze przy okresie?

- Czasami.

- To dobrze, bo przynajmniej wiesz z grubsza, jak to wygląda. Będiesz miała skurcze, kilka nawet bardzo silnych i bolesnych. Dam ci coś, żeby mniej bolało, ale ostrzegam cię teraz. Zapamiętaj to sobie.

Mówiła to wszystko zimnym tonem, pochylona do przodu, wycelowawszy we mnie długopis. W jej małych oczkach i zaciśniętych ustach czaiła się groźba.

- W tamtym pokoju ma być kompletna cisza, kompletna. - Wskazała na sąsiedni pokój, jak gdyby to była cela, w której dokonuje się egzekucji. - Doktorzy są dobrymi ludźmi i wiedzą, co robią, ale nie będą tolerować

żadnych wygłupów. Muszą mieć ciszę, jeśli więc zaczniesz płakać lub hałasować, jeśli tylko piśniesz, rozgniewają się i nie wyjdzie ci to na dobre. Zrozumiałaś?

Skinęłam głową. Zimny lepki pot spływał mi wzdłuż boków.

- Tak.

- Wobec tego daj mi pieniądze.

Sięgnęłam do torebki, w której nie było rewolweru ani odznaki, ani też dowodu tożsamości, i wyjęłam z portfela pięć studolarowych banknotów. Były pokryte środkiem chemicznym, który zostawia na dłoniach niewidoczną fosforyzującą powłokę, ujawniającą się pod wpływem działania światła specjalnej lampy. Spisano również ich numery. Gdy tylko podałam jej pieniądze, do pokoju z drugiego pokoju wypadł mężczyzna.

Podszedł do niej

233

i sprawdzał, jak liczy banknoty. Odwróciła się do niego z miną pełną nienawiści.

- Pięć - parsknęła ze złością. - Co ty sobie myślisz - że cię oszukuję?

Popchnęła pieniądze w jego stronę, on zaś wyszedł z pokoju, burcząc coś pod nosem. Na mnie nawet nie spojrzał.

- Jeszcze jedno - powiedziała pani Poland. - Po wszystkim zostaniesz tutaj jeszcze przez godzinę. Wypijesz kawę, którą ci przyniosę, i...

- Nie mogę pić kawy - rzekłam z jakiegoś niezrozumiałego powodu - mdli mnie po niej. Czy mogłabym dostać herbaty?

Popatrzyła na mnie, mrużąc oczy.

- Kawa jest środkiem pobudzającym - wypijesz ją jako lekarstwo, a potem tu zostaniesz. Później wyjdiesz stąd sama, nie robiąc hałasu, i pójdziesz

powoli do rogu, gdzie stoi mnóstwo taksówek. Pojedziesz, dokąd zechcesz. I nigdy - zniżyła głos, pochylając się do przodu, tak że jej twarz znalazła się blisko mojej - nigdy tu nie wrócisz ani nie będziesz nas szukała. Tutaj nas nie będzie. I nie opowiesz o tym nikomu albo znajdziesz się w wielkich tarapatach. Rozumiesz?

- Tak.

- Zaczekaj tu. - Znów wyszła z pokoju i natychmiast wróciła ze strzykawką podskórną w rękę. Podniosła ją do światła. Wypełniał ją jakiś lśniący żółtawy płyn.

- Podwiń rękaw - poleciła, ujmując mnie za prawe ramię. Zesztywniałam cała, od szyi w dół, nie mogłam się poruszyć, nie chcąc zastrzyku, cokolwiek by się znajdowało w strzykawce, ona jednak odsunęła szorstko rękaw mojego swetra i wbiła mi igłę w ramię.

234

- Co to było? - spytałam. - Co to za zastrzyk? - (Och, Charlie, usłysz moje słowa. Naszpikowali mnie czymś).

- To cię rozluźni. Zadajesz zbyt wiele pytań. Chodź. Drugi pokój był jasno oświetlony. Dwóch mężczyzn

w krótkich białych kitlach krzątało się przy długim stole. Pośrodku pokoju stał drugi stół z cienkim twardym materacem. Pani Poland podała mi biały szlafrok.

- Zdejmij ubranie i włóż to, rozciągnij do tyłu i połóż się na stole.

Zobaczyłam brudne wiadro na podłodze obok stołu. Kopnęłam je, a może to wiadro kopnęło mnie. Czułam coraz bardziej działanie narkotyku, robiłam się senna, było mi niedobrze.

- Po co jest to wiadro? - spytałam, z trudem wymawiając słowa.

- A jak myślisz, po co? - rzekła pani Poland. - No, szybciej, rozbieraj się. Stałam oparta o stół, ze wzrokiem wlepionym w wiadro. Zdawałam sobie sprawę, że płaczę, ponieważ czułam łzy spływające mi po policzkach i wstrząsające mną łkania. Nie pamiętałam jednak, kiedy zaczęłam płakać. Słyszałam, jak pani Poland rozmawia z lekarzami, przygotowującymi się do zabiegu. Wiadro jest na moje dziecko, powiedziałam, wiadro jest na moje dziecko, ponieważ usuną mi ciążę i nikt mi nie pomoże, nikt ich nie powstrzyma, to się stanie. Ona powiedziała, że moje dziecko nie ma oczu; ona powiedziała, że moje dziecko jest ślepe.

Jeden z „lekarzy” stanął przede mną i popatrzył mi w oczy. Nie odzywał się do mnie, nie wypowiedział nawet jednego słowa, tylko patrzył mi w oczy. Widziałam jego twarz w powiększeniu, zwłaszcza okropne szczegóły. Krzaczaste czarne brwi schodzące się nad nosem opadały

235

mu na czarne oczy. Na nosie i policzkach miał małe ciemne dzioby, sama twarz była zamazana, jak za mgłą. Przycisnęłam dłonie do brzucha, płacząc rozpaczliwie i nie widząc Charliego i innych policjantów, którzy wtargnęli nagle do pokoju. Słyszałam, a raczej czułam jakiś ruch, zamieszanie, lekarze znaleźli się pod ścianą, pani Poland przeklinała piskliwym głosem, obrzucała mnie wyzwiskami, klęła na obu mężczyzn, oskarżając ich, oskarżając mnie. Oparłam się bezsilnie o ramię Charliego, który uśmiechał się i mówił coś do mnie. Jedyna myśl, która kołatała mi się w otumanionej głowie, to że moje dziecko nie może być niewidome i nie może skończyć w tym brudnym wiadrze na podłodze.

Nikt nie wiedział, że spodziewam się dziecka. Naprawdę nie można było tego wiedzieć z całą pewnością, ale ja wiedziałam. Powiedziałam o tym

Tony'emu tamtej nocy, gdy było już po wszystkim. Mimo że okres spóźnił mi się zaledwie o dziesięć dni, wiedziałam, że jestem w ciąży. Wiedziałam o tym od chwili poczęcia, wiedziałam przez cały czas, gdy madame Zoruba przyglądała się mojej dłoni, mamrocząc pod nosem, i gdy przepowiedziała mi, że moje dziecko będzie ślepe. Czułam, że moje dziecko rośnie, kształtuje się, a ona mówiła mi te wszystkie straszne rzeczy. Pijąc herbatę, opowiadałam mężowi, jakie przerażające chwile przeżyłam. Naprawdę byłam samotną dziewczyną, wydaną na pastwę tamtych ludzi.

Pierwszy z dwóch mężczyzn był nielegalnym imigrantem, który przedostał się do Stanów przez Meksyk. Przyjechał z Europy do Kanady, potem na Kubę, stamtąd do krajów panamerykańskich, Meksyku, Stanów Zjednoczonych, do Nowego Jorku na Zachodnią Osiemdziesiątą Siódmą ulicę do mieszkania 16 A. Drugi był lekarzem, który stracił prawo wykonywania zawodu wiele lat temu

236

za wykonywanie zabiegów usuwania ciąży i z powodu podejrzenia o nielegalne rozprowadzanie narkotyków. Pani Poland była praktykującą pielęgniarką, wynajmowała pokoje mieszkalne i sprzedawała buty w sklepie specjalizującym się w wykonywanym na zamówienie obuwiu przy różnych problemach ze stopami. Mężczyźni oraz pani Poland zostali oskarżeni o próbę aborcji, uznani za winnych i wszyscy skazani na rok więzienia. Nielegalny imigrant dostał wyrok w zawieszeniu i został przekazany Urzędowi Imigracyjnemu.

Madame Zoruba wykręciła się sianem - nie mieliśmy przeciwko niej dość silnych zarzutów, by wytoczyć jej proces. Prawdopodobnie nadal

przepowiada przyszłość, mamrocząc swoje przerażające wróżby i podając szeptem adres, czas i miejsce strapionym dziewczynom i porzuconym kobietom.

Wzięłam urlop w lipcu, a nasza córka urodziła się w listopadzie. Gdy znalazła się w moich ramionach, zobaczyłam, że ma duże niebieskie oczy, i że zmarszczki pod nimi zapowiadają, że będą większe i szersze - by móc objąć wzrokiem cały otaczający ją świat, by patrzeć, widzieć, odkrywać i pytać. Przytulając do siebie Trący, której twarzyczka była delikatną miniaturką twarzy To-ny'ego, czułam smutek i ogromne współczucie dla wszystkich kobiet, dla wszystkich młodych dziewczyn, które odwiedziły mieszkanie numer 16 A i podobne pokoje, samotne, zostawiając swoją przyszłość, swoje marzenia i nadzieje w brudnym wiadrze na podłodze.

11

Wyszczerbione oko sprawiedliwości

Gdy moja córka miała prawie sześć miesięcy, wróciłam do pracy i spędziłam dwa tygodnie w kobiecym wydziale policji, zanim przydzielono mnie do jednostki rozpracowującej kieszonkowców. Na dworze panowała wiosna i czułam ulgę, mogąc wyjść z biura i oddychać łagodnym powietrzem w parku. Mój partner był sympatycznym, powolnym mężczyzną, który nie spieszył się i zdawał się rozumieć, że mam lekkie trudności z powrotem do policyjnej rzeczywistości. Miałam opóźniony refleks, zbyt powolne ruchy. Musiałam uczyć się od nowa tego, co kiedyś było całkiem naturalne - szybkie spojrzenie ogarniające tłum, błyskawiczne określenie miejsca, na którym muszę się skoncentrować.

- Rozluźnij się - powiedział mój partner - to tak jak z pływaniem. Możesz nie robić tego przez dwadzieścia lat, ale gdy ktoś wrzuci cię do wody,

przez chwilę czujesz się niepewnie, badasz grunt, a potem pływasz, jak gdybyś nigdy nie miała przerwy.

Podczas naszego czwartego dyżuru zaczęliśmy nadawać na tej samej fali.

Wypatrzyliśmy go jednocześnie - „nie-

238

właściwy" element w tłumie. Dla innych zwiedzających zoo był niewidzialny, po prostu nie istniał, my jednak zauważyliśmy w nim to „coś", niezwykle trudne do określenia. Był młodym portorykańskim kieszonkowcem, a my przyłapaliśmy go na dużej kradzieży. Ponieważ nie miał możliwości zapłacenia kaucji, wyznaczono sprawę przeciwko niemu za tydzień. Po raz pierwszy brałam udział w rozprawie sądowej z udziałem przysięgłych i po raz pierwszy w życiu spotkałam sędziego Melvina Goldhabera. Oczywiście, słyszałam o nim przedtem.

Sędzia Melvin Goldhaber był majestatycznie wyglądającym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce, miał gładką różową twarz i gęste srebrzystobiałe włosy, długie, wycieniowane za uszami. Plotka głosiła, że strzygł je sam. Z jego jasnoniebieskich oczu wyzierała próżność, przejawiająca się również w jego pewnej sobie pozie, a mianowicie trzymał brodę uniesioną nieco zbyt wysoko, po to, żeby widzowie mogli w pełni podziwiać jego prawie doskonały profil. Miał długie szczupłe palce, jak pianista, i czy to trzymał w nich ołówek, czy bębnił nimi o blat biurka, czy też dźgał powietrze dla wzmocnienia argumentu, jego gesty były obliczone na efekt, hipnotyzujące. Jednakże iluzja piękna fizycznego przyskała w chwili, gdy zaczynał mówić, ponieważ jego burkliwy, chropowaty głos był świadectwem dzieciństwa spędzonego w dolnym East Side. Żadne studia nie zdołały złagodzić tego brzydkiego dźwięku. Słyszając tylko głos

(zamknawszy oczy), człowiek wyobrażał sobie mówcę jako niskiego, przysadzistego, muskularnego mężczyznę z czarną szczecina na brodzie i policzkach. Wstrząs był tym większy, że wdzięczne gesty rąk nie pasowały do sposobu mówienia. Sędzia sprawiał wrażenie dziwnie „nie dokońzonego”, zdawał się jednak rozkoszować wrażeniem, jakie robił na innych.

239

Goldhaber był przez bardzo wiele lat (co mu się zapewne wydawało wiecznością) sędzią pokoju w sądach niższej instancji. Być może dla zabicia nudy starał się ożywić weekendowe wieczorne sesje. Wyczuł pozytywną reakcję ze strony młodych studentów, pragnących się zabawić tanim kosztem, i zaczął stroić sobie niskie żarty z rozmaitych wyrzutków społeczeństwa stających przed jego obliczem. W efekcie uważano go za „sposób” na spędzenie nudnego piątkowego lub sobotniego wieczoru. Grając coraz bardziej przed swoją widownią, sędzia Goldhaber podawał swoją wersję sprawiedliwości, która miała być dobra dla „publiczności”. Zaczął wtrącać żartobliwie złośliwe krótkie mówki i uwagi na stronie (dając znak ręką stenografistce, żeby przerwała pisanie, ilekroć było to konieczne). Wszyscy najwyraźniej doceniali jego wysiłki - wszyscy, z wyjątkiem oskarżonych, którymi zwykle byli jacyś zamroczeni pijacy, nie bardzo pewni, jaka jest ich rola w całym postępowaniu prawnym. Nie było chyba policjanta w Nowym Jorku, który nie uraczyłby kolegów historyjką z repertuaru „Goldiego”.

Gdy w końcu, wskutek politycznych machinacji, jego rozmaite starania, dobra prasa i cierpliwość zostały nagrodzone sędziowaniem w sądzie karnym orzekającym na kwartalnych sesjach, „Goldie” znalazł się nagle

przed znacznie szerszym audytorium. Fakt, że adwokaci występujący w różnych sprawach nie widzieli nic zabawnego w jego niezbyt subtelnym prowadzeniu sprawy, nie wpłynął na niego w żaden sposób, machał tylko swą piękną dłonią, oddalając protesty, uzasadnione lub nie. W ciągu pięciu lat był ośmio- lub dziewięciokrotnie wezwany przed oblicze różnych komisji za różne formy niestosownego zachowania, ale nie przejmował się tym ani trochę. Miał swoje zdanie o tych prawnikach. Znał ich dobrze

240

i nie uważał ich za wiele lepszych od śmieci, których reprezentowali. Wiedział, którzy z nich są mąciwodami, a którzy nieustannie próbują go przyszpilić (nikomu się nie udało: niech sobie próbują!).

Sędzia Goldhaber miał prawdziwe wyczucie czasów i ludzi. Określał hołotę stającą przed nim jako „chuliganów”. W jego sądzie to było jego przedstawienie, ponosił odpowiedzialność wobec ludzi, których lubił nazywać „naszym szlachetnym miastem”. Wiedział, że postępuje słusznie, miał bowiem całą kolekcję wycinków prasowych - artykuły redakcyjne z największego nowojorskiego dziennika, przytaczające jego wysiłki na rzecz surowszych wyroków i przyspieszenia postępowania sądowego. Brał udział w różnych programach radiowych, z chłodnym spokojem i pewnością siebie, nie przejmując się własnymi rynsztokowymi tonami w potępianiu wszelkiego robactwa pustoszącego nasze szlachetne miasto - brzmiał dla całego świata jak jakiś zbiegły skazaniec, ale miał oparcie w swej powierzchowności.

Sędzia Goldhaber pałał słusznym obywatelskim oburzeniem na chuliganów i bandziorów, którzy wpędzają „mieszkańców tego miasta” w koszty sądowe, gdy w sposób oczywisty są wszyscy winni. Jego

zaprzysięgłym wrogiem - jako przedstawiciela społeczeństwa i narzędzia sprawiedliwości - był każdy drań, który stawał przed nim, oskarżony o przestępstwo pierwszego stopnia, i odrzucał propozycję przyznania się do winy i zmniejszenia zarzutu. Goldie opuszczał nieco swą rzeźbioną brodę, ściągał srebrzyste brwi i czynił wzgardliwy ruch wytwornymi palcami w kierunku protestującego opryszka. Wobec tego staniesz przed sądem, warczał, moim sądem, i gwarantuję, że dostaniesz najwyższy wyrok. Zawsze spełniał tę obietnicę.

241

Mądry był obrońca, któremu udało się namówić swego klienta do przyznania się do winy w sądzie „Goldiego”.

Jednakże Minnie Drexel nie była mądrym obrońcą w oczach swych kolegów, a wręcz idiotką w oczach sędziego Goldhabera. Jej klienci z Pomocy Prawnej, którzy nie płacili za obronę, do stracenia mieli jedynie czas i zawsze liczyli na cud (który nigdy się nie zdarzył w królestwie sędziego Goldhabera), od czasu do czasu trwali przy zarzucie niewinności. Wszyscy znaliśmy panią Drexel - biedną starą Minnie. Niezależnie od tego, czy ludzie opowiadali, jak wygrała sprawę, przedstawiała swoje argumenty, ryczała na policjanta lub płakała otwarcie na sali sądowej nad oskarżonym, czy też podziwiali ją niechętnie za nieustępliwą lojalność wobec klientów albo wyśmiewali jej emocjonalizm w przypadku przegranej sprawy, zawsze nazywali ją „biedną starą Minnie”. Nie dlatego, że była stara. Moim zdaniem należała do osób wiecznie młodych, kipiała energią, była szybka i ostra, czego raczej nikt nie spodziewał się, widząc jej nieco przysadzistą, pełną figurę. Miała dość donośny głos, ale brakowało mu pełni i rezonansu, jakimi charakteryzowały się głosy jej

kolegów z zespołu Pomocy Prawnej. Jej sposób mówienia przypominał matczyne reprimendy - strofowała, powtarzając w kółko te same zwroty, dopóki nie zadowolila jej odpowiedź albo dopóki prokurator okręgowy nie wniósł sprzeciwu do sędziego o szklistym spojrzeniu, że świadek odpowiedział już na pytanie. Wtedy biedna stara Minnie okręcała się wokół własnej osi, piorunując prokuratora wzrokiem i krzycząc: „Ale odpowiedź mnie nie zadowala! Nie zadowala!”.

W jej oczach każdy funkcjonariusz policji był podejrzany. Zarzucała nam perfidię, którą ona musi rozwik-ływać punkt po punkcie. Próbowwała dotrzeć do ukrytych

242

motywów, które są nierozłącznie związane z aktem oskarżenia wędrownego robotnika o kradzież, niepiśmiennej dziewczyny o prostytutkę, dziewiętnastoletniego imigranta o gwałt. Jej metoda obrony polegała na wściekłym oskarzeniu; znał ją każdy policjant i podchodził nieufnie do Minnie. Biedna stara Minnie i jej stadko ofiar życiowych. Nigdy nie zetknęłam się z panią Drexel, stojąc na miejscu dla świadków, ale często widywałam to małe piskliwe dynamo w akcji, patrzyłam, jak czerwony jak burak policjant wpada bezradnie w zastawione przez nią pułapki, gdy tymczasem jego koledzy na sali sądowej jęczą bezgłośnie, słysząc, jak jeden z ich braci daje się sprowokować do nieostrożnych wypowiedzi czy uwag, które biedna stara Minnie natychmiast wytyka z triumfem i miażdżącą pogardą.

W bezpośrednim zeznaniu opisywałam szczegóły aresztowania - mój partner i ja zauważyliśmy, że oskarżony wyciąga portfel z kieszeni niczego nie podejrzewającego ojca dwóch małych chłopców, którzy przyglądali się

fokom w zoo w Central Parku. Odpowiedziałam na ożywione pytania prokuratora okręgowego, który skinął głową i uczynił gest w stronę pani Drexel. Odchyliłam się lekko do tyłu w fotelu dla świadków, biorąc głęboki oddech i przesuwając spojrzeniem po sali. Jasny promień słońca przecinał środek sali sądowej, sprawiając, że nie dające się odróżnić postacie siedzące w dębowych ławkach przypominały martwe manekiny w oknie wystawowym domu towarowego. Kilku adwokatów siedziało w pierwszym rzędzie, tuż za barierą oddzielającą rozmaite stoły, krzesła i ławki zarezerwowane dla adwokatów rozpoznających sprawy, oskarżonego, świadków, policjantów i powodów. Sąd przysięgłych stanowił dla mnie niewyraźną plamę

243

twarzy po mojej lewej stronie. Prokurator okręgowy, mężczyzna o gęstych jasnych włosach i posturze trochę zbyt drobnego futbolisty, odchylił się w swym fotelu, rozmawiając z jakąś kobietą ubraną w drogie ciuchy, która opierała się o barierę z wdziękiem znudzonej młodej matrony z towarzystwa.

- Detektyw Uhnak? Hmm, tak. Panna czy pani Uhnak?

- Pani - odpowiedziałam.

Pani Drexel sprawiała wrażenie lekko roztargnionej, przyglądała się dokumentom, które trzymała w ręku, nie podnosząc na mnie wzroku.

- Dobrze, wobec tego pani Uhnak. Od jak dawna pracuje pani w policji?

- Prawie trzy lata.

- A od kiedy jest pani detektywem? - Wciąż miała spuszczoną głowę.

- Około roku.

- Czy jest pani dobrą policjantką? - spytała pani Drexel, podnosząc w

końcu wzrok.

- Tak mi się wydaje. Próbuję nią być.

W głosie pani Drexel zabrzmiało zniecierpliwienie, machnęła leżącymi przed nią papierami.

- O, tak, jest pani dobrą policjantką - widywałam panią w sądzie, dzień po dniu, składającą zeznania. Sesje nadzwyczajne. Widywałam panią.

Ta uwaga była oskarżeniem - widywałam panią! Zesztywniałam, obserwując twarz kobiety - zmienną, ruchliwą, drżącą, gdy wyrzucała z siebie słowa. Pani Drexel rozpoczęła swój krzyżowy ogień pytań gniewnym tonem, jakiego adwokaci płci męskiej zwykle używali dopiero po gładkich, przesłodzonych uprzejmościach rozpoznania. Pani Drexel nie miała jednak czasu na powolne budowanie

244

napięcia i zaczynała od gniewu, który często prowadził ją do wybuchów wściekłości.

- Zaraz, niech sprawdzę. Zauważyła pani tego chłopca - rzekła, odwróciwszy się do oskarżonego i machając papierami w jego stronę - po raz pierwszy siódmego czerwca o trzeciej po południu, przy stawie z fokami w zoo w Central Parku, tak?

- Nie - odpowiedziałam. - Aresztowaliśmy go o trzeciej. Po raz pierwszy zauważyłam go o drugiej dwadzieścia przy klatce z lwem.

Minnie Drexel zmarszczyła brwi, zmrużyła oczy, na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

- Przy klatce z lwem? Nie słyszeliśmy przedtem słowa

o klatce z lwem. Co robił przy klatce z lwem?

- Przyglądał się lwu - odrzekłam cicho.

Na sali sądowej rozległ się lekki szmer rozbawienia

1 pani Drexel obrzuciła obecnych szybkim spojrzeniem, pochylając głowę i patrząc znad okularów, po czym odwróciła się z powrotem do mnie.

- I to wydało się pani niezwykle? Obserwowała go pani, ponieważ przyglądał się lwu?

- Nie. Zaczęłam obserwować go przy klatce, a potem odszedł od niej, kierując się ku...

Minnie uniosła do góry obie ręce, kartka papieru wypadła jej z dłoni, lądując nie zauważona na podłodze obok stóp.

- Chwileczkę, chwileczkę. Zauważyła go pani przy klatce lwa. Kogo jeszcze pani tam widziała?

- Innych ludzi.

- Proszę ich opisać. Jak wyglądali? Kim byli ci inni ludzie? Co robili?

Wzruszyłam ramionami, kręcąc głową. Nie rozumiałam sensu jej pytań.

245

- Po prostu inni ludzie. Nie przyglądałam im się szczególnie, ponieważ nie wzbudzili moich podejrzeń.

- Ale oskarżony wzbudził pani podejrzenia, chociaż tylko stał, patrząc na lwa?

- Wzbudził moje podejrzenia, gdy odszedł od klatki.

- Nie, nie, chwileczkę. Cofnijmy się trochę. Chcę wiedzieć, jak to było dokładnie - powiedziała pani Drexel, kładąc nacisk na ostatnim słowie, jak gdyby było kluczem do kłopotliwej i ważnej tajemnicy. - Dlaczego wypatrzyła pani właśnie jego w gęstym tłumie ludzi stojących przed klatką i robiących dokładnie to samo co on, czyli gapiących się na lwa? Dlaczego to on zwrócił pani uwagę?

- Tłum wcale nie był gęsty - powiedziałam spokojnie. - Było tam może pięć, sześć dorosłych osób, kilkoro dzieci. I oskarżony.

- Tak, tak, proszę mówić dalej - ponagliła mnie pani Drexel, mrugając niecierpliwie powiekami.

Wzięłam głęboki oddech, bardzo powoli.

- I potem oskarżony odszedł od klatki...

- Nie, nie! - tupnęła nogą pani Drexel. - Chcę wiedzieć, co robił, zanim odszedł...

Prokurator okręgowy uniósł dłoń do góry, prosząc mnie gestem, żebym się chwilę wstrzymała od wypowiedzi, i wstał, skubiąc wargę.

- Wysoki Sądzie, obawiam się, że pani Drexel będzie nas trzymać cały dzień przy klatce z lwem. Czy można przyjąć, że funkcjonariuszka policji zauważyła oskarżonego przy klatce z lwem, a następnie oskarżony odszedł stamtąd?

Sędzia mruknął coś dudniącym głosem, ignorując wściekłe spojrzenie pani Drexel. Wyciągnął w kierunku przysięgłych dłoń z rozłożonymi palcami i wzruszył lekko,

246

bezradnie ramionami. Przysięgli wyrazili cicho swą aprobatę. Gdy kobieta zaczęła znów mówić, powstrzymał ją gestem i pochyliwszy się ku miejscu dla świadków, spytał mnie cicho, spokojnie, co kontrastowało z tonem pani Drexel:

- Dlaczego wśród tylu osób stojących przed klatką z lwem zwróciła pani uwagę właśnie na oskarżonego?

- Przyciągnął moją uwagę swoim zachowaniem - odpowiedziałam sędziemu, nie patrząc na panią Drexel, ale czując jej wzrok na twarzy. -

Był zdenerwowany, niespokojny, podniecony. Po prostu nie wyglądał uczciwie.

Sędzia skinął na panią Drexel i odchylił się do tyłu w fotelu.

- Nie wyglądał uczciwie? - przyczepiła się natychmiast Minnie do mojego ostatniego sformułowania. - Nie podobał się pani jego wygląd? - Nie poczekała na odpowiedź, lecz bombardowała mnie nadal gniewnymi pytaniami: - Był brudny? O to chodzi? Nie pasował do tego miejsca? Czy wśród ludzi przyglądających się lwu był jeszcze jakiś Portorykańczyk? Czy był tylko ten jeden?

Ach, więc taka jest twoja linia obrony. Zacisnęłam zęby, po czym wycedziłam powoli, panując całkiem nad głosem.

- Na które pytanie mam odpowiedzieć, pani Drexel? Trochę się w tym pogubiłam.

Wysunęła brodę do przodu, jak gdyby mnie ostrzegała: nie próbuj mnie przechytrzyć.

- Tylko na jedno. Czy był tam jedynym Portorykańczykiem?

Sędzia uderzył stanowczo dłonią w blat ławy.

- Proszę, proszę, pani Drexel, żadnych takich - rzekł niegrzecznie.

- Chcę wiedzieć. To ma związek ze sprawą. Czuję, że ma.

247

Nie czekałam na żadne znaki, lecz odparłam szybko, zimnym tonem:

- Nie potrafię powiedzieć, pani Drexel.

- Cóż, oskarżony jest Portorykańczykiem, prawda? Tyle może pani powiedzieć?

- Tak.

- Każdy mógłby to zobaczyć, nawet w tłumie, prawda? Sędzia przemówił

tak nagle i tak głośno, że drgnęłam na dźwięk jego głosu. Wskazał szorstko na oskarżonego, przysięgli powiedli wzrokiem za jego wyciągniętą ręką.

- Każdy widzi, że jest Portorykańczykiem. W porządku, pani Drexel? - Po czym zawołał do oskarżonego: - Czy jest pan Portorykańczykiem? He? Mówi pan po angielsku?

Oskarżony, dwudziestotrzyletni chłopak o ziemistej cerze, uświadomił sobie nagle, że to do niego się zwracają, a ponieważ nic nie zrozumiał, uśmiechnął się głupio, podniósł ze zmieszaniem dłonie, półsalutując sędziemu, i pokiwał głową w niemym pozdrowieniu.

- Tak, jest Portorykańczykiem. Właśnie to powiedział. W porządku, pani Drexel?

Na twarz kobiety wypłynął ciemny rumieniec, trzepnęła o udo plikiem trzymany w ręku papierów.

- Sędzio Goldhaber, protestuję! - wykrzyknęła. - Protestuję przeciwko takiej taktyce i zamierzam...

- A ja protestuję przeciwko pani taktyce. - Donośny głos sędziego wypełnił salę sądową. - Proszę kontynuować. Wszelkie sprzeciwy proszę zgłosić później, w formie pisemnej, jak to zwykle pani robi. Proszę kontynuować, proszę kontynuować.

Pani Drexel stała jak wmurowana, kompletnie bez ruchu, utkwivszy wzrok w sędzim. Patrząc na jej twarz, poczułam ściskanie w dołku, nie mogłam oderwać od niej

248

oczu i spojrzeć na sędziego, przysięgłych czy widzów. Wiedziałam, że się sama czerwienię, doznałam dziwnego, nieznanego uczucia upokorzenia.

Ale gdy pani Drexel odwróciła się do mnie powoli, miała całkowicie spokojną twarz normalnego koloru.

- Wobec tego dobrze - powiedziała chłodno. - Gdy już nabrała pani podejrzeń wobec niego, ponieważ stał przed klatką, przyglądając się lwu, co wtedy pani zauważyła?

- Chwileczkę - przerwał jej głośno sędzia, zwracając się do przysięgłych. - Policjantka nabrała podejrzeń, ponieważ oskarżony był zdenerwowany, niespokojny, podniecony. - Odwrócił się do mnie z uśmiechem. - Czy nie tak? Czy nie takiego właśnie użyła pani sformułowania?

Nie chciałam mieć tego sprzymierzeńca, nie chciałam być jego partnerką. Nie widząc przed sobą nic poza zamazanymi twarzami, odpowiedziałam:

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Świetnie. Proszę kontynuować - powiedział Goldie, machnąwszy dłonią do pani Drexel.

Pani Drexel mówiła dalej, jak gdyby w ogóle jej nie przzerwano.

- Co pani wówczas zauważyła?

- Oskarżony przeszedł do klutek z małpami i... Ostry głos wdarł się w moje słowa.

- Czy inni ludzie również przyglądali się małpom? Miałam dziwne uczucie, że znajduję się bardzo daleko od osoby zadającej mi pytania, jak gdyby napływały one z jakiegoś odległego, pustego miejsca, moje odpowiedzi też brzmiały głucho.

- Tak, a wtedy on...

- A ci inni ludzie? - przerwała mi pani Drexel. - Jak wyglądali? Kim byli?

249

Minnie Drexel zadawała pytania, kompletnie nieświadoma cichych,

pełnych oczekiwania pomruków dobiegających z sali. Patrzyłam na nią, zastanawiając się, jak ta kobieta może sama podkładać się czającemu się na nią sędziemu. Wszyscy wstrzymali oddech, wszystkie oczy były zwrócone w stronę ławy sędziowskiej.

Nie odpowiedziałam. Moje milczenie było niemal przewidywaną pauzą, jak gdybyśmy byli aktorami w jakiejś sztuce. Następna kwestia należała do sędziego. Siedział w milczeniu, budując majestatycznie swój gniew, dopóki nie skupił na sobie oczu wszystkich zebranych. Tylko pani Drexel, pozornie nie zdając sobie z tego sprawy, czekała na moją odpowiedź.

- O, nie - rzekł sędzia płaczliwym, żalonym tonem, dopiero wówczas ściągając na siebie spojrzenie pani Drexel. - O, nie. Nie będziemy jeszcze raz bawić się w tę samą grę. Już to przerabialiśmy. Nie będzie pani stosować swoich sztuczek wobec tego sądu!

Minnie Drexel patrzyła na niego z nie udawanym zdumieniem.

- Próbuję ustalić pewne fakty, Wysoki Sądzie. Chcę wydobyć od świadka pewne rzeczy. Chcę wiedzieć, co jest tak strasznego w tym, że młody Portorykańczyk przygląda się w zoo małpom i lwom, dlaczego policja uważa to za podejrzaną sprawę. Tego właśnie usiłuję się dowiedzieć.

Słyszałam odgłosy kłótni, ostry, wysoki, wymagający ton Minnie i gruby, silny głos sędziego, nie docierały jednak do mnie słowa, albowiem zaczynałam rozumieć metodę pani Drexel. Ta kobieta próbowała urobić mnie według własnego szablonu. Poczulałam przypływ oburzenia na tę kobietę, dalekiego od głębokiej pogardy dla sędziego i pogardliwego rozbawienia zachowaniem przysięgłych. Otwarcie, bez powodu ani bez jakiegokolwiek uzasad-

nienia, pani Drexel robiła ze mnie rasistkę. Popatrzyłam na ławę przysięgłych, a następnie na oskarżonego, siedzącego przy długim błyszczącym stole i pocierającego bezmyślnie palcami gładką powierzchnię. Odniosłam wrażenie, że jakoś wyblakł, poszarzał w areszcie. Oczy miały tępy wyraz, nie było w nich śladu błysku. Ubranie, prawdopodobnie dostarczone przez jakiegoś krewnego, było wymięte i za duże dla niego. Chuda szyja wystawała z białego pożółkłego kołnierzyka, ściągniętego szerokim krawatem w jaskrawy niebiesko-zielony deseń. Przy swoich dwudziestu trzech latach miał twarzyczkę starego dziecka; zrezygnowanego dziecka; uśmiechał się szybko, ilekroć pani Drexel spoglądała na niego lub woźny sądowy szturchał go. Po chwili jego twarz przybierała z powrotem obojętny, nic nie rozumiejący wyraz. Sala sądowa była dla niego tylko miejscem, podobnie jak cela więzienna.

Popatrzyłam na ławę przysięgłych, która składała się z równych mu osób - do tego miał prawo. Gruba kobieta, wachlująca spoconą twarz upierścienioną dłonią, rozparta w krześle i przytłaczająca zadbaną panią w średnim wieku, która prawdopodobnie pachniała jakąś owocową wodą toaletową. Wyglądała na osobę, która świadomie wypełnia swój obywatelski obowiązek. W fotelu przewodniczącego zasiadał siwowłosy mężczyzna. Jego zaczerwieniona, poznaczona żyłkami twarz i opuchnięty nos zaskakująco kontrastowały z białymi włosami, które opadały w strąkach na srebrną, błyszczącą oprawkę okularów. Od czasu do czasu odgarniał niecierpliwie kosmyki długimi czystymi palcami. Pochyliwszy się, szeptał coś do mężczyzny siedzącego obok. Obaj nie spuszczaali wzroku z Paco Hernandez, który był zagapiony gdzieś w przestrzeń. Reszta przysięgłych zdawała się słuchać uważnie słów sędziego, zdając

sobie sprawę ze swej pozycji, wiedząc, że

251

sławny człowiek odgrywa to przedstawienie dla nich. Doceniając ten zaszczyt, reagowali szybko - zduszonym śmiechem, surowym, pełnym dezaprobaty milczeniem. Prokurator okręgowy zerkał na zegarek, obserwując smugę światła słonecznego, padającą z okna umieszczonego wysoko pod sufitem. Sędzia Goldhaber toczył swą walkę dla siebie. Nie czułam solidarności z nikim na sali. Byłam gdzieś daleko od kłótni, która toczyła się wokół mnie.

Wreszcie ostry głos umilkł, ucichło też dudnienie sędziego. Pani Drexel zbliżyła się do mnie, świeża, gotowa do dalszej walki.

- Dobrze, jesteśmy więc przy klatkach dla małp. A więc, co zrobił oskarżony?

Zamrugałam oczami, starając się skoncentrować, wrócić do chwili obecnej.

- Ta-ak, oskarżony przyglądał się przez chwilę małpom, a następnie zaczął się kręcić wśród ludzi stojących w pobliżu.

- I to było podejrzane? Ze się odrobinę przesunął?

- Dla mnie tak - odpowiedziałam stanowczo. - Wiedziała, czego szuka.

Minnie Drexel przeszywała mnie w milczeniu spojrzeniem, twarz miała spokojną i surową. Wreszcie jej głos zazgrzytał ostro jak głos nauczycielki karcącej niesforną klasę za jakieś oszustwo.

- Mogła pani widzieć, że przyglądał się ludziom, ale proszę mi nie wmawiać, że wiedziała pani, co się dzieje w głowie tego chłopaka! Czułam rosnące oburzenie. Chciałam uwolnić się od tej kobiety, jej spojrzeń i niemiłych, uprzykrzonych słów. Wiedząc jednak, że nie

kontrolowany gniew byłby niebezpieczny, kolidowałby z moimi słowami, mówiłam ostroż-

252

nie, świadomie i z ogromnym wysiłkiem starając się opanować drżenie głosu, by mnie nie zdradził w żaden sposób.

- Rozglądał się dookoła w sposób, który uznałam za podejrzany. Potem śledziłam go, gdy szedł w stronę basenu z fokami. - A następnie, z przyczyn, których nie potrafiłam zgłębić, a może bez przyczyny, lecz popadając po prostu w stereotyp panujący na tej sali, powiedziałam cicho, skandując rytmicznie słowa: -1 nie mam pojęcia, ile osób tam stało ani jak wyglądały, kim były i czy byli wśród nich Portorykańczycy!

Sędzia wybuchnął gromkim śmiechem, któremu zawtórowały ciche śmieszki na całej sali.

- Serdeczne dzięki - powiedział sędzia, chwyając spazmatycznie oddech - oszczędziła nam pani długiej dyskusji na ten temat.

Natychmiast pożałowałam moich słów, spłonęłam rumieńcem wstydu, a na twarzy pani Drexel odmalowała się czysta nienawiść i wstręt.

- Proszę mówić dalej, co pani wtedy zauważyła?

- Zauważyłam, że oskarżony przybliżył się do niezidentyfikowanej kobiety i położył dłoń na zamku jej torebki. Potem odsunął się i...

- Chwileczkę, chwileczkę. - I znów spytała stanowczym tonem, drażąc, starając się dokopać ukrytej gdzieś w niewidocznym miejscu prawdy: - Widziała pani, jak oskarżony kładzie rękę na torebce kobiety? Jakiej kobiety?

- Niezidentyfikowanej.

Pani Drexel potarła gwałtownie brodę.

- Widziała pani, jak oskarżony kładzie rękę na torebce kobiety? Jest pani policjantką? Jakie działania podjęła pani w tej chwili?

253

- Kontynuowałam obserwację i...

- Nie, nie, nie! - Pani Drexel kręciła głową i wymachiwała rękami, w których trzymała papiery różnego formatu. - Czy zna pani paragraf 722-6 Kodeksu karnego? Wie pani, co stanowi?

- Tak - odpowiedziałam. - Znam ten paragraf. - Tym razem to ja zastawiłam pułapkę, a ona wpadła w nią zbyt łatwo.

- Czy zaobserwowała pani, że oskarżony pogwałcił postanowienia tego paragrafu dotyczące usiłowania kradzieży - umieścił rękę w bezpośredniej bliskości torebki kobiety, co zgodnie z paragrafem 722-6 Kodeksu karnego jest wykroczeniem?

- Tak.

- Czemu więc nie aresztowała go pani? Za usiłowanie kradzieży? Za mniejsze przestępstwo, wykroczenie?

Mój głos brzmiał surowo i stanowczo, a odpowiedź potrafił przewidzieć każdy policjant na sali sądowej.

- W czasie gdy oskarżony dopuścił się wykroczenia, w najbliższym sąsiedztwie znajdowało się wiele innych niezidentyfikowanych osób, w tym kilkoro dzieci. Mój partner i ja zbliżyliśmy się do oskarżonego z zamiarem aresztowania go, on jednak wtopił się w tłum. Nie chcieliśmy podejmować żadnej nagłej akcji, która mogłaby spowodować, że ucierpiałby, a może został ranny niewinny świadek - wyrecytowałam.

Pani Drexel skinęła głową, a następnie pokręciła nią raczej ze znużeniem niż gniewem. Głos jej brzmiał teraz poważnie i smutno.

- A więc obserwowała go pani, dopóki nie dopuścił się cięższego przestępstwa, poważnej kradzieży?

- Tak jest, proszę pani. To stało się zaledwie w sekundę później. Po tym jak dobierał się do torebki, gdy wreszcie

254

zdażyłam do niego dobiec, wyciągał właśnie portfel z prawej tylnej kieszeni spodni pana Ludwiga, który złożył skargę w tej sprawie.

- Można powiedzieć, że jest pani bardzo ostrożną policjantką, prawda? - Pytanie było pogardliwe, ton ob-raźliwy.

- Gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo niewnnych ludzi...

- Och, tak, w dodatku bardzo powolną i tak ostrożną, że zgodnie z pani zeznaniem pozwoliła pani wymigać się oskarżonemu z zarzutu o wykroczenie po to, żeby aresztować go za poważniejsze przestępstwo. Nie odpowiedziałam.

- Chcę wiedzieć, czemu nie aresztowała go pani za wykroczenie! Prokurator okręgowy zawołał ze swego miejsca, że funkcjonariuszka policji podjęła zadowalające działania i odpowiedziała we właściwy sposób na pytanie, ale Min-nie Drexel, w nowym wybuchu oburzenia, zagłuszyła go, wykrzykując własne oskarżenia.

- Postanowiła pani sama dać mu dłuższy sznur, prawda?

I w tym momencie nie wytrzymałam, odszczeknęłam się ostro:

- Tak, ma pani rację, pani Drexel, a on się na nim powiesił!

Moja odpowiedź, jak również wściekłe uwagi pani Drexel utonęły w głośnych krzykach prokuratora okręgowego oraz sędziego. Sądowa stenografistka zdjęła chwilowo ręce z maszyny i oglądała własne paznokcie.

Dalsze przesłuchanie było szybkie i nerwowe. Pani Drexel poruszyła sprawę przewalkowaną już wcześniej z moim partnerem, który zeznawał pierwszy, oraz

255

z mężczyzną, który wniósł skargę, oszołomionym, skruszonym, który chętnie zapomniałby o całej sprawie z chwilą zwrotu portfela.

- Teraz porozmawiajmy o sprawie z paragrafu 1897

- posiadanie niebezpiecznej broni. Podczas przeszukania oskarżonego przez pani partnera znaleziono w kieszeni jego spodni nóż o dziesięciocentymetrowym ostrzu, tak?

- Owszem, nóż sprężynowy - odpowiedziałam.

- Dobrze. To brzmi znacznie groźniej, prawda?

- Nie wiem. Sądzę, że nóż z dziesięciocentymetrowym ostrzem w rękach kogoś takiego jak oskarżony stanowi dość duże niebezpieczeństwo, bez względu na to jak pani nazwie ten nóż.

Zignorowała moją uwagę.

- Czy gdy spytała pani oskarżonego o nóż, odpowiedział pani, że jest pakowaczem i używa go w pracy?

- Nie, początkowo mówił co innego. Twierdził, że nie ma pojęcia, skąd wziął się nóż w jego kieszeni. Ze to nie jego własność.

- Czy oskarżyła go pani, że użył noża podczas rzekomego napadu? Czy nie wtedy przestraszył się i powiedział, że nigdy nie widział tego noża?

- Przesłuchując oskarżonego w kwestii noża, spytałam, czy użył go podczas napaści na dziewczynę w parku, on zaś zaparł się, jakoby należał do niego.

Pani Drexel zrobiła pełną zdumienia minę.

- Czy dziewczyna została zaatakowana w parku przed aresztowaniem oskarżonego? Czy miała pani jakiegokolwiek podstawy, by podejrzewać, że to on dokonał tej napaści?

- Pani Drexel - powiedziałam, tracąc cierpliwość

- chciałam uzyskać od oskarżonego oświadczenie co do posiadania przez niego noża. Najpierw twierdził, że nie należy do niego, potem, po kilku kolejnych pytaniach,

256

przyznał się, że używał go do samoobrony w walkach gangów czy coś w tym rodzaju.

Przewodniczący ławy przysięgłych skrzywił się w chwili, gdy Paco odwrócił twarz w ich stronę. Uśmiechnął się promiennie, kiwając głową, na co przewodniczący parsknął pogardliwie i wzruszył ramionami.

- Skłamała pani, wypytyując go o dziewczynę i rzekomą napaść. Skłamała pani, prawda?

- Jakim sposobem kłamstwo może mieć formę pytającą? Mogłaby pani powiedzieć, że zmusiliśmy go podstępem do przyznania się.

- Tak, mogłabym to powiedzieć, jak również, że wrobiliście go w poważną kradzież, co wynika z pani własnych zeznań.

- Proszę bardzo, niech pani to powie, pani Drexel. Faktem jest, że oskarżony dopuścił się poważnej kradzieży i 1897.

Jej pogarda dorównywała mojej.

- Tak, daliście mu popalić - mruknęła do siebie pod nosem i machnęła ręką w stronę prokuratora, który zaczął się podnosić, nawet na niego nie patrząc. - Niech pan sobie daruje, panie Langton, niech pan sobie daruje, już z nią skończyłam. Napawa mnie to wszystko obrzydzeniem - oba

oskarżenia są nieuzasadnione. Dalej, dalej, pani Uhnak, ma pani swoje aresztowanie za poważną kradzież i paragraf 1897. Zaraz, chwileczkę. Jeszcze jedno pytanie - powiedziała ostrym jak brzytwa tonem, przeszywając mnie lodowatym spojrzeniem. - Czy zalicza się pani dwa aresztowania, czy jedno?

- Zadowolę się jednym skazaniem, pani Drexel - odpowiedziałam cichym, opanowanym głosem, patrząc na nią spokojnie.

Przez chwilę mierzyłyśmy się nawzajem jak zahipnotyzowane wściekłymi spojrzeniami, nie widziałam na sali

257

niczego poza płonącymi, rzucającymi gniewne błyski, powiększonymi przez szkła okularów oczami. Wstając z krzesła, poczułam, że noga nie trafia mi na stopień podwyższonego podium, przytrzymałam się po omacku barierki i wreszcie odwróciłam się od pani Drexel. Przeszłam koło niej i usiadłam obok mojego partnera.

- Chryste - szepnął, zasłaniając usta dłonią - ona płonie! Popatrz na biedną starą Minnie, dymi jej się z uszu!

Niech szlag trafi biedną starą Minnie. Pytania, którymi mnie wymaglowała, kłębiły się w mojej głowie, słyszałam nadal jej wredne insynuacje: czy był jedynym Portorykańczykiem? Czy był brudny i nie pasował do tego miejsca, stojąc tam między tymi miłymi, czystymi, szacownymi obywatelami? Miałam wrażenie, że za chwilę wybuchnę wszystkimi nie wypowiedzianymi dotąd słowami. To było całkiem nie tak. Ja nie jestem taka. Czułam gorący rumieniec na policzkach i gorzki smak gniewu w ustach.

Pani Drexel podeszła do klienta i pochyliła się nad nim, szepcząc mu coś

poważnie do ucha. Głowa Paco podskakiwała do góry i w dół, twarz wykrzywił zakłopotany uśmiezek. Potem powiedział do niej cicho kilka słów, gestykulując niepewnie. Pani Drexel najwyraźniej odpowiedziała na jego wątpliwości, ponieważ skinął głową i uśmiechnął się szeroko chyba do swoich myśli.

Wśród świadków pani Drexel znajdował się szczupły wysoki mężczyzna w jasnoszarym garniturze i odpowiednio dobranym krawacie. Był to pan Gerstein, pracodawca Paco. Zeznał, że Paco pracował u niego jako pakowacz od czterech miesięcy, zarabiał czterdzieści dolarów tygodniowo i że chłopcy używali noży przy tej pracy. Twierdził, że nie może powiedzieć złego słowa o Paco. Z jego zachowania wynikało, że wolałby nigdy o nim nie słyszeć.

258

Prokurator okręgowy zadawał pytania cicho, trzymając w dłoni wyciąg z akt Paco. Spytał pana Gersteina, czy wie, że Paco był dwukrotnie skazany za usiłowanie kradzieży. Pan Gerstein odparł ze szczerym zdumieniem, że nie miał o tym pojęcia. Następnie prokurator zadał panu Gersteinowi pytanie, czy nadal uważa Paco za uczciwego chłopca, na co pan Gerstein, podenerwowany i bardzo poruszony, odparł: „No cóż, o ile wiem”.

Prokurator uśmiechnął się i podziękował mu. Pan Gerstein wrócił do jakiegoś ciemnego kącika, kiwając ze skrepowaniem głową, gdy mijał Paco, który obdarzył go szerokim uśmiechem.

Ojciec Fernando zeznał, że Paco jest dobrym, spokojnym chłopcem, który przychodzi na mszę, może niezbyt często, ale przynajmniej od czasu do czasu. Mieszka z krewnymi i zarabia na życie, pracując jako pakowacz. Na ile go zna, Paco jest łagodnym, spokojnym chłopcem. Prokurator

podziękował ojcu Fernando przyjaznym gestem dłoni - potrafił zdobyć się na wielkoduszność. Następnie zaprosił panią Drexel, ona jednak rzekła z lodowatą miną: „Obrona nie wzywa dalszych świadków”, kładąc opiekuńczo dłoń na ramieniu Paco i oddając go „na pożarcie” prokuratorowi okręgowemu.

Przysięgli wrócili po dwudziestu minutach, czyli po czasie wystarczającym na wypalenie papierosa. Werdykt brzmiał: winny obu zarzutów. Sędzia Goldhaber piorunował wzrokiem Paco, który wysłuchał werdyktu z tępych wyrazem pobladłej twarzy. Brwi sędziego zbiegły się nad nosem, z jego ust wydobywały się ostre, nieartykułowane dźwięki. Wreszcie, po konsultacji z urzędnikiem sądowym, wyznaczył datę odbycia wyroku. Następnie wygłosił krótką mowę do przysięgłych, kierując ją głównie do przewodniczącego, który kiwał energicznie głową na znak 259

pełnej aprobaty. Mówił o społeczeństwie, podłych złodziejach, bandziorach, łobuzach i chuliganach. Przez cały czas dłoń pani Drexel spoczywała na ramieniu Paco, dopóki nie strącił jej gwałtownie, z pełną zrozumienia i goryczy miną, nagle poszarzały na twarzy. Gdy sędzia zakończył przemowę, skinął na woźnego sądowego, warcząc: „Zabrać go stąd!”. Pani Drexel zaczęła mówić coś szybko do Paco, którego wyprowadzał woźny. Poklepała go po ramieniu, po ręce, kiwając po matczynemu głową. Paco unikał spojrzenia jej w oczy, ona zaś stała, odprowadzając go wzrokiem, dopóki nie zniknął za okratowanymi drzwiami aresztu. Potężne dębowe drzwi zatrzasnęły się znowu, dopasowując się idealnie do kształtu sali.

Wyszedłszy wreszcie z sali sądowej do wyłożonego marmurem korytarza,

poczułam w ustach i gardle suchy, gorzki smak papierosów i dodające bodźca podniecenie, które zawsze pomagało mi przetrwać proces. Byłam lepka i mokra od potu, czułam się zmęczona, a jednocześnie ogromnie podekscytowana. Z powodu głębokiej urazy ścisnęło mnie w dołku, w prawym boku czułam ostry kłujący ból. Wiedziałam, że ustąpiłby po kilku godzinach, gdybym napiła się letniego mleka, rozgryzła parę pigułek o smaku kredy i przestała palić. Był jednak na tyle silny, że czoło pokryło mi się kroplami zimnego potu, ręce zaczęły drżeć.

- Słuchaj - powiedziałam szybko do mojego partnera, obawiając się, że za chwilę zwymiotuję - muszę się trochę odświeżyć. Spotkamy się za dziesięć minut przy automacie z napojami.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciłam się i odeszłam szybkim krokiem. Toaleta damska świeciła pustkami. Było to długie pomieszczenie, wyłożone białymi kafelkami, z dwiema niezbyt czystymi umywalkami, czterema kabi-

260

nami o szarych drzwiach i z podłużnym lustrem w chromowanej oprawie, biegnącym przez całą ścianę nad umywalkami. Puściłam zimną wodę na nadgarstki, po czym ochlapałam nią czoło i policzki, chłodząc przez chwilę oczy. Nabrałam chłodnej wody do ust ze stulonych dłoni i smakując ją językiem, starałam się nie myśleć o niczym poza przyjemnym uczuciem świeżości i czystości. Patrzyłam, jak woda kapie z moich otwartych ust. Gdy nabierałam kolejną garstkę wody, drzwi się otworzyły i do toalety weszła Minnie Drexel.

Połknęłam wodę jednym łykiem, zachłystując się, i zaczęłam wycierać twarz papierowym ręcznikiem. Pani Drexel stanęła przy sąsiedniej

umywalce, kładąc torebkę na wąskiej półeczce pod lustrem. Przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze, osuszając krople wody wokół ust, ale moje spojrzenie podążało nieodparcie ku twarzy pani Drexel. Bez okularów jej oczy były zaskakująco małe. Tarła je bezlitośnie palcami, jak gdyby chciała wepchnąć je w głąb oczodołów, zmuszając zmęczenie do odwrotu. Wyczyściła byle jak szkła okularów bibułką. Gdy umieściła z powrotem okulary na nosie, odwróciłam się ku niej. Widziałam na szklach smugi i krople wody.

Pani Drexel przyglądała mi się otwarcie. Jej oczy wypełniały całe soczewki, jak gdyby były namalowane. Nawet gdy mrużyła powieki, wydawały się okrągłe. Przez chwilę żadna z nas nie odzywała się, zobaczyłyśmy siebie w całkiem innym otoczeniu. Byłam zdziwiona, że pani Drexel wydała mi się niższa, że miała zmarszczki wokół ust i trochę zwiotczałą szyję, typową dla kobiety w średnim wieku. Ale pani Drexel, która taksowała mnie wzrokiem, zdawało się nic nie dziwić.

- Och, znam takie jak pani, pani Uhnak - powiedziała nagle, jak gdyby kontynuując przerwana na chwilę

261

rozmowę. - Jest pani młoda, inteligentna i bardzo szybka, siedzi pani sobie na miejscu dla świadków i myśli: „Ja jej pokażę! Nie da mi rady!”.

Wszystko jest dla pani zabawą - rywalizacja, walka na inteligencję, którą musi pani wygrać. Opuszczając to miejsce, czuje pani, że wszyscy na sali sądowej przyglądają się pani, wiedząc, jaka jest pani bystra, jaka pewna siebie.

Nie odpowiedziałam, ale ręce mi drżały, siłą woli zgięłam palce i opuściłam ręce wzdłuż boków, starając się, by wyglądało to naturalnie.

Zacisnęłam zęby, żeby opanować krzyk narastający w moim gardle.

- A teraz triumfuje pani, jest pani z siebie ogromnie zadowolona.

„Dołożyłam temu staremu babsztylowi. Jest wściekła jak diabli i niech idzie do diabła!”. - Pani Drexel nie milkła nawet na chwilę. Mówiła cicho, ale jej głos był silny i jękliwy, można było pomyśleć, że spieszy się, by powiedzieć jak najwięcej, wyrzucić z siebie wszystko, zanim jej przerwą. - Tak, przegrałam z panią. Zaliczyła pani swojego skazanego i może pani teraz wrócić do pracy i opowiedzieć kolegom, jak zdenerwowała się stara biedna Minnie, jak się wściekała, ale coś pani powiem! - Pani Drexel zniżyła głos, syczała teraz jak wąż. - Nie pobiła mnie pani, tak jak nie pobiła pani tego nieszczęsnego małego Portorykańczyka. On został pobity dzień wcześniej, nim się urodził, a ja tego samego dnia, gdy zaczęłam pracować w Pomocy Prawnej. Zawsze bronimy osób na straconych pozycjach, nie może więc nas pani pokonać. To wy ponosicie porażkę - wy wszyscy młodzi, inteligentni ludzie, za każdym razem, gdy zajmujecie miejsce dla świadków, albowiem wydaje wam się, że bierzecie udział w grze, którą musicie wygrać, niezależnie od ceny, jaką ktoś inny zapłaci za wasze zwycięstwo. Musicie wygrać, nie ustąpicie na krok!

262

- Czy miałam pozwolić mu odejść z portfelem tamtego mężczyzny? - spytałam głuchym głosem, który brzmiał dziwnie obco.

Twarz pani Drexel wykrzywił grymas wściekłości, zaczerwieniła się jak burak.

- Och tylko proszę mnie nie częstować taką gadką! Niech pani nie obraża mojej inteligencji. Niech mi pani nie mówi, że pani wykonuje swoją pracę, a ja swoją. Proszę mną nie manipulować, pani Uhnak, na to jestem zbyt

starym wygą. Za często się z tym w życiu spotykałam. Doskonale pani rozumie, o czym mówimy. Grozi mu siedem i pół roku do dziesięciu lat, a ten drań Goldhaber zasądzi mu najwyższy wymiar kary. Jestem tego pewna i pani również. Nie powinna mu była pani pozwolić, by dotknął tego portfela. Powinna była pani aresztować go za usiłowanie kradzieży. - Pani Drexel wciągnęła ze świstem duży haust powietrza, podnosząc dłoń, by powstrzymać mnie od komentarza. - Och, jest pani śliczną małą dziewczynką, pani Uhnak, ma pani młodą, delikatną buzię, ale to potrwa jeszcze najwyżej dwa lata. A potem się zacznie. Nieczułość. Widać ją na waszych twarzach, ślicznotki. Najpierw w oczach, a potem w ustach. Z waszych twarzy wyziera gorycz, cynizm. Przekłęta nieczułość i bezduszność. - Usta pani Drexel wykrzywił grymas, rozejrzała się nerwowo, sięgnęła po torebkę i zaczęła grzebać w niej niecierpliwie, wreszcie zatrzasnęła zamek. - Znam takie jak pani - powtórzyła szeptem, bardziej do siebie niż do mnie.

Dotknęła bardzo czułego punktu, żywego, obnażonego, bolesnego nerwu, nie mając o tym pojęcia. Znam takie jak pani. Przez całe życie bałam się takiego zaszufładowania - jedna z nich, jedna z tamtych, znam takie jak ty. Czułam, że blednę jak ściana, oblizalam suche wargi. Pani

263

Drexel podniosła oczy i zobaczywszy moją twarz, zmrużyła przenikliwie oczy.

- Ach, więc nie podoba się to pani? Uważa pani, że to jej nie dotyczy? Jest pani inna? Ha! - prychnęła pogardliwie.

Czułam potrzebę usprawiedliwienia się, określenia siebie. Ale czemu?

Wobec kogo? Wobec tej kobiety, która szafuje opiniami o ludziach, nie

znając ich? Gdy jej odpowiedziałam, w moich słowach znalazło wyraz oburzenie, a nie inne uczucia, kłębiące się we mnie.

- Pani Drexel, czy oczekuje pani po mnie, że będę się rozczuła nad małym kanciarzem o imieniu Paco? Pierwszy by mnie wyśmiał. Pierwszy wyśmieje panią i pani ogromną troskę.

Moje słowa ugodziły celnie kobietę, zamrugła gwałtownie powiekami. Zrozumiałam, że ją zraniłam.

- Proszę bardzo - powiedziałam - jeśli chce pani walić głową o kamienny mur, proszę bardzo. Ja tego nie zamierzam robić.

Nie to chciałam powiedzieć. Chciałam powiedzieć zupełnie co innego, zacząć od czegoś innego, ale nasze spotkanie nastąpiło tutaj, na sali sądowej. To arogancka, zadowolona z siebie, wszystkowiedząca mina tej kobiety sprowokowała te przykre słowa. To poobijane, miękkie, stare krwawiące serce!

Wstrząsnęłam się wewnątrz, gdy mój mózg formułował te słowa. Mój Boże, mój Boże. To nie ja myślę w ten sposób. To nie ja mówię do niej w ten sposób.

- Och, rzeczywiście jest to kamienny mur i rzeczywiście walę weń - przyznała pani Drexel, muskając dłonią ciemne potargane włosy. - Mury więzienne też są z kamienia i nie ustąpią ani o milimetr, gdy się wali w nie pięściami. Czy zna pani tego chłopca, którego posłała pani za kratki? Zna pani Paco?

264

Podniosłam oczy do góry i westchnęłam głośno. Był to długi, obraźliwy, pełen irytacji dźwięk.

- Och, jasne, zna go pani. To mały ulicznik, który miał już na sumieniu

inne grzeszki, co zostało odnotowane w jego kartotece, ma pani rację. Jest po prostu małym, brudnym, śmierdzącym „meksykiem”.

- Proszę posłuchać, pani Drexel...

- Och, przepraszam - powiedziała pani Drexel z wyszukaną ironią. - Nie nazwałaby go pani „meksykiem”. Proszę mi wybaczyć. To określenie wypsnęło mi się niechcący, być może nie należy do pani słownictwa. Niech będzie wobec tego mały portorykański ulicznik. Ale coś pani powiem: urodził się jako mały brązowy niechciany bękart i jego matka porzuciła go, zostawiła u babki wraz z gromadką innych brązowobiałoczarnych bękartów, a sama uciekła, by załatwić sobie jeszcze parę innych. Babka wyrzuciła je, gdy tylko nauczyły się chodzić i kraść jedzenie, kraść chleb, kraść wszystko, co im wpadło w ręce, ponieważ te nieszczęsne, głupie bękarty, niech Bóg ma je w swojej opiece, chciały żyć. Proszę mnie nie pytać, dlaczego - to wieczna tajemnica życia - ale chciały żyć i jakoś im się to udawało. Ledwie. Paco przyjechał tutaj, gdy miał dwanaście lat, w poszukiwaniu matki, sam, w jednej koszulinie. Odnalazł ją, ona zaś spojrzała na swego małego, wychudzonego, krostowatego syna i kazała mu się wynosić do diabła i zostawić ją w spokoju. Udał się więc do jakichś krewnych, którzy go przyjęli. Latem sypiał na schodach przeciwpożarowych, a zimą w zatłoczonym łóżku z innymi. Powiedzieli mu, że musi żywić się gdzie indziej, bo mają dość kłopotu z zapewnieniem jedzenia własnym dzieciom. Och, proszę mrugać oczkami, pani Uhnak, proszę mrugać, to nie ma znaczenia, prawda, ponieważ Paco jest małą szumowiną, zwykłym włóczęgą.

265

Podniosłam oczy do góry i westchnęłam głośno. Był to długi, obraźliwy,

pełen irytacji dźwięk.

- Och, jasne, zna go pani. To mały ulicznik, który miał już na sumieniu inne grzeszki, co zostało odnotowane w jego kartotece, ma pani rację. Jest po prostu małym, brudnym, śmierdzącym „meksykiem”.

- Proszę posłuchać, pani Drexel...

- Och, przepraszam - powiedziała pani Drexel z wyszukaną ironią. - Nie nazwałaby go pani „meksykiem”. Proszę mi wybaczyć. To określenie wysnęło mi się niechcący, być może nie należy do pani słownictwa. Niech będzie wobec tego mały portorykański ulicznik. Ale coś pani powiem: urodził się jako mały brązowy niechciany bękart i jego matka porzuciła go, zostawiła u babki wraz z gromadką innych brązowobiałoczarnych bękartów, a sama uciekła, by załatwić sobie jeszcze parę innych. Babka wyrzuciła je, gdy tylko nauczyły się chodzić i kraść jedzenie, kraść chleb, kraść wszystko, co im wpadło w ręce, ponieważ te nieszczęsne, głupie bękarty, niech Bóg ma je w swojej opiece, chciały żyć. Proszę mnie nie pytać, dlaczego - to wieczna tajemnica życia - ale chciały żyć i jakoś im się to udawało. Ledwie. Paco przyjechał tutaj, gdy miał dwanaście lat, w poszukiwaniu matki, sam, w jednej koszulinie. Odnalazł ją, ona zaś spojrzała na swego małego, wychudzonego, krostowatego syna i kazała mu się wynosić do diabła i zostawić ją w spokoju. Udał się więc do jakichś krewnych, którzy go przyjęli. Latem sypiał na schodach przeciwpożarowych, a zimą w zatłoczonym łóżku z innymi. Powiedzieli mu, że musi żywić się gdzie indziej, bo mają dość kłopotu z zapewnieniem jedzenia własnym dzieciom. Och, proszę mrugać oczkami, pani Uhnak, proszę mrugać, to nie ma znaczenia, prawda, ponieważ Paco jest małą szumowiną, zwykłym włóczęgą.

Ma pani rację, jest złodziejaszkiem i ukradłby pani górne kły, gdyby tylko otworzyła pani usta!

Słuchając tego potoku słów, płynącego bez chwili przerwy z ust kobiety, płakałam w głębi serca - ale nie z powodu pani Drexel. Znam Paco, mówił mój wewnętrzny głos, pracowałam z nim w domu opieki społecznej przez ponad rok, tylko że miał na imię nie Paco, lecz Luis. Miał osiem lat.

Pewnego dnia zauważyłam nad jego okiem wielką ciętą ranę. Wyjaśnił mi, że ojciec rzucił w niego butem. A gdy mi o tym mówił, w jego głosie nie było oburzenia - ojciec robił tak, gdy był pijany lub wściekły albo po prostu tak mu się podobało. Zabrałam Luisa do szpitala, gdzie lekarz zszył mu ranę bez żadnych środków znieczulających, po prostu założył kilka szwów, mówiąc: „Ci ludzie są jak świnie!”. Luis siedział w milczeniu, bez jednego słowa, znosząc dzielnie ukłucia i gadanie lekarza. Kupiłam mu lody, ponieważ jego świat był taki nie do zniesienia, a ja nie miałam pojęcia, co mogłabym dla niego zrobić. Rozpromienił się, jak gdyby był najszczęśliwszym dzieckiem na świecie. Był dumny ze swoich szwów, ja zaś czułam się wewnętrznie rozdarta.

Właśnie że znam Paco, ale pani nie zna mnie i nie ma pani prawa mnie osądzać.

Gdy wreszcie się odezwałam, nie powiedziałam tego, co chciałam powiedzieć. Znów usłyszałam zimny obcy głos - słowa i ton sprowokowane przez oskarżenia tej płonącej gniewem, prawej kobiety.

- Pani Drexel, czemu nie namówiła go pani do przyznania się do winy, nie wywalczyła drobnej kradzieży i nie pozwoliła kuratorowi sądowemu opisać historię Paco? Tak było przedtem. Czemu dopuściła pani do

rozprawy sądowej? - Po czym, wyczuwając okrutnie, że trafiam w jej
czuły punkt, dodałam z potrzeby zemsty: - A może

266

nie chciała pani dać satysfakcji sędziemu Goldhaberowi? Może
rozgrywała pani swoją grę?

Pani Drexel zacisnęła kurczowo obie ręce na torebce i rzuciła ją na
umywalkę.

- O, nie - zawołała zduszonym głosem - nie będzie pani kwestionowała
motywów mojego postępowania. Nie pozwolę na to. Próbujemy, to
wszystko. Chłopiec upierał się, że jest niewinny, a w tej sytuacji nie
mogłam nakłaniać go, by przyznał się do winy.

Cera Minnie miała szarawy, niezdrowy odcień osoby przebywającej w
więzieniu. Spędziła w murach zbyt wiele lat, w murach, które sama
wzniosła - żyła w nich, oddychała nimi, spała w nich. Przemawiała wiele
razy z wielką mocą w imieniu nieznanym, niechcianym, znajdujących się
w beznadziejnej sytuacji. Nigdy nie miała zwycięzcy. Gdy rozmawiała ze
swoimi klientami, jej słowa trafiały do głuchych albo intrygantów.

Wiedziała, że wszyscy są kłamcami, oszustami, złodziejami, degeneratami
i przestępcami, że bynajmniej jej nie kochają, wykorzystują ją i gardzą nią.
Wszystkie te lata rozmów z nimi i walki o nich, odcisnęły na niej poważne
piętno. Ta kobieta dźwigała swoje brzemie bez odrobiny nadziei, rysowało
się ono na jej twarzy, przebijało w jej głosie.

- Pani Drexel - powiedziałam cicho, ze współczuciem, smutkiem i
poczuciem winy, które kryły się na dnie wszystkich moich uczuć do tej
kobiety - ja jestem urzędnikiem aparatu prawa, pani jest urzędnikiem
sądowym. Mamy ustanowione prawa, których powinni przestrzegać

ludzie, mamy system prawa i... - machnęłam ręką, szukając odpowiedniego słowa - sprawiedliwości!

Pani Drexel westchnęła głęboko, najwyraźniej ozywając na nowo.

267

- O, tak - powiedziała. - O, tak. Sprawiedliwość.

- Wymówiła to słowo rozwleknie, zaciskając wargi i kiwając głową. Oparła się o umywalkę, nie zauważając, że brudzi sobie spódnicę o mokry, zachlapany mydłem brzeg. - Powiem pani coś na temat „sprawiedliwości”. Wrzuciłam niecierpliwym gestem do kosza na śmieci zmięty w kulkę kawałek wilgotnego papierowego ręcznika, który trzymałam przez cały czas w ręku, i pokręciłam głową.

- Nie dzisiaj, pani Drexel, mój partner czeka na mnie.

- Nie - powiedziała kobieta, gdy ruszyłam ku drzwiom.

- Zajmę pani tylko chwilę. - W jej głosie brzmiały dziwne, niemal błagalne nuty. Choć bardzo pragnęłam wyjść z toalety, znaleźć się jak najdalej od pani Drexel i jej szalonych, powiększonych oczu, stałam jak wmurowana w posadzkę.

- Sprawiedliwość - pani Drexel powtórzyła to słowo chrapliwym, ostrym jak tarka głosem. - Tradycyjnie przedstawiana jest jako ślepa - wysoka, kształtna, postawna kobieta, trzymająca przed sobą wagę, ważąca fakty, ślepa na jakiegokolwiek uprzedzenia czy ograniczenia. Liczą się tylko fakty. Żadne okoliczności łagodzące - tylko ocena faktów wobec wymogów prawa. Uczymy naszych młodych studentów prawa i, tak, wszystkich młodych policjantów, że jest to właściwe i słuszne, że tak powinno być. - Pani Drexel podniosła głos, chyba ku własnemu zdziwieniu, odbił się bowiem głośnym echem od kafelków, którymi wyłożone były ściany.

Zmitygowawszy się, powiedziała ciszej, ale głosem nadal nabrzmiałym od emocji i lekko drżącym: - A ja pani powiem, że sprawiedliwość nie powinna być ślepą kobietą. Powinna mieć oczy szeroko otwarte, bystre i przenikliwe, widzące coś więcej poza człowiekiem, który staje przed sądem i będzie sądzony za jedno konkretne przestępstwo. Sprawiedliwość po-

268

winna wejrzeć w jego życie, zobaczyć, co go dotknęło, co mu zrobiono, co go ukształtowało na takiego człowieka, jakim się stał.

Pani Drexel stykała się z chłopcami w rodzaju Paco przez całe życie.

Nieznośne cierpienie, udręka i smutek malowały się na jej twarzy, wyzierały z płonących oczu. Wygięła się lekko, jak gdyby próbując odpędzić ból, który sama sobie zadawała.

- Sprawiedliwość? Nie ma znaczenia, nie istnieje. Nie w naszych sądach, nie w naszym życiu. Sprawiedliwość, pani Uhnak, nie jest ani ślepa i bezstronna, ani wszytkowidząca i współczująca. Oko sprawiedliwości jest wyszczerbione!

Pani Drexel potrząsnęła głową. Odniosłam wrażenie, że to określenie przyszło jej do głowy właśnie w tej chwili i sama zdziwiła się, jak prawdziwe i oczywiste były jej słowa.

- Tak, właśnie tak. Wyszczerbione. Tak jak rozbite szkło. Ostre, okrutne i zniekształcone, widzące sytuację w sposób bezlitosny, bez odrobiny współczucia, osądzające na poczekaniu odosobniony postępki i na tej podstawie skazujące człowieka. Sprawiedliwość jest narzędziem politycznym klauna-sędziego pokoju, który od lat popisuje się na wieczornych sesjach i czyta recenzje o sobie w gazetach niczym artysta

estradowy, który mierzy efekt swojego wystąpienia w sądzie wybuchami śmiechu, jakie wywołał. No i co teraz pani na to odpowie?

Przesunęłam językiem po spieczonych wargach, ale język też był zaschnięty i lepki. Ta kobieta najwyraźniej cierpiała katusze. Siła, energia i żywotność chyba znów ją opuściły. Zauważyłam, że poplamiła sobie spódnicę po lewej stronie wodą i zielonym mydłem w płynie.

- Pani... spódnica - rzekłam, wskazując na wilgotną plamę. - Jest mokra, pani Drexel.

269

Wpatrywała się we mnie nieprzytomnym wzrokiem, jak gdybym mówiła do niej w obcym języku. Pokazałam na spódnicę jeszcze raz. Spojrzała z roztargnieniem w dół.

- Ach, tak, zamoczyłam ją - powiedziała cicho i zaczęła wycierać plamę palcami, w próżnym wysiłku. Podałam jej czystą chusteczkę.

- Proszę lepiej zmoczyć chusteczkę i zetrzeć mydło, inaczej zostanie plama.

- Tak, tak, oczywiście. - Pani Drexel zmoczyła chusteczkę pod zimną wodą i zaczęła trzeć nią plamę na wysokości uda, ale plama robiła się coraz większa. Następnie spróbowała osuszyć zaciek nie zmoczoną częścią chustki, po czym zwinęła ją i oddała mi, mówiąc: - Jest mokra. Przepraszam.

Ta nagła całkowita zmiana tematu sprawiła, że poczułam lekki zawrót głowy. W toalecie było duszno, pani Drexel wydała mi się całkiem obcą osobą, kimś zakłopotanym, komu brakuje słów z powodu mydlanej plamy na spódnicy.

- Nieważne - odparłam, wkładając mokre zawiniątko do torebki.

- Ma pani rację. Nieważne, prawda? - Słowa pani Drexel nie odnosiły się do chusteczki. Mówiła je raczej do siebie, do swoich własnych myśli, znużona, wyczerpana, pokonana. Westchnęła głęboko ze smutkiem. Przejrzała się krytycznie w lustrze, podniosła rękę, by poprawić włosy, nie zauważając kosmyka, który zaczepił się o oprawkę okularów. - Nieważne - powtórzyła.

- Pani Drexel - zawołałam, nie wiedząc sama, co chcę powiedzieć.

- Tak? - Odwróciła się z czujną miną, znowu pełna życia, napięcie ustąpiło w cudowny sposób.

- Chciałam, żeby pani wiedziała, że... żywię dla pani wielki podziw. I szanuję pani uczucia. Ale... cóż, każda z nas ma swoje zadanie do wykonania.

270

- Tak, każda z nas ma swoje zadanie do wykonania - powtórzyła obojętnym tonem, chyba rozczarowana, jak gdyby spodziewała się usłyszeć coś innego.

Przejrzałam się w lustrze, en face i z obu profilów, przesunęłam palcem po brodzie, oblizalam wargi i przeszłam obok pani Drexel, która stała bez ruchu, przyglądając mi się. Ujęłam klamkę, odwróciłam się jednak, ponieważ pani Drexel powiedziała coś do mnie cicho. Patrzyła mi prosto w oczy.

- Pani Uhnak, jestem... jestem dzisiaj zmęczona. - Po raz pierwszy głos jej się załamał. Roześmiała się krótko, gorzko, niewesoło. - Dzisiaj. Sądzę, że jest pani zapewne przemiłą, ciężko pracującą i bardzo poważną dziewczyną. Myślę, że traktuje pani swoją pracę niezwykle serio i to bardzo dobrze. Ale - powiedziała ochryplym głosem, podnosząc palec do

góry - mamy do czynienia z istotami ludzkimi. Gdy dostają się w pani i moje ręce, mają wykreślone z życiorysu długie lata. Niech pani o tym nie zapomina, moja droga. Nigdy!

Skinęłam głową, mruczając coś pod nosem, jak dziecko, odpowiadające starej nauczycielce o dużym autorytecie, którą z jednej strony podziwiała, ale też jej współczuje i boi się jej.

Wyszłam, zostawiając panią Drexel przed lustrem. Patrzyła w nie z nieobecną miną. Mój partner stał oparty

o ścianę na korytarzu, obok zbiornika z pitną wodą,

1 czytał zmięte poranne wydanie „News”, paląc papierosa. Zdeptał niedopałek swym wielkim butem, gdy tylko zobaczył, że idę w jego stronę.

- Zastanawiałem się, co się dzieje. Widziałem, jak biedna stara Minnie wchodzi za tobą do toalety. Stoczyła całą walkę od początku, co? -

Roześmiał się krótko, nieprzyjemnie.

271

- Nie - odparłam, nie patrząc na niego. - Nie rozmawiałam z nią. Myła twarz - ignorowałyśmy się wzajemnie.

Roześmiał się znowu.

- Nieźle jej dzisiaj dołożyłaś.

Przyjrzałam mu się bacznie, widząc jego uśmiech, wklęsłe policzki, zmrużone oczy o surowym, smutnym wyrazie.

- Tak - powiedziałam cicho. - Bez wątpienia dołożyłam starej biednej Minnie, prawda?

I nie mówiłam już więcej ani o sprawie, ani o Minnie Drexel, ponieważ w końcu obie byłyśmy pokrewnymi duszami. Ona próbowała kupić za cenę

życia to, co ja spróbowałam kiedyś nabyć za sto dwadzieścia pięć dolarów.

Epilog

Właśnie niedawno porucznik, który znał mnie od moich najwcześniejszych dni pracy w policji, wspominał swoją pierwszą ocenę mojej osoby.

- Dot - powiedział - byłaś naiwną idealistką, zawsze spodziewającą się po ludziach najlepszego i zawsze wstrząśniętą, gdy twoje oczekiwania się nie spełniły. Zasufladkowałam cię jako urodzoną społecznice. - Roześmiał się i rzekł w zamyśleniu: - Nie myśl, że choć trochę się zmieniłaś.

Był to rodzaj komplementu, ponieważ uczuciowa idealistką ma ciężki orzech do zgryzienia w policyjnej codzienności. Mylił się jednak, mówiąc, że ani trochę się nie zmieniłam, i próbowałam podsumować te zmiany, które były rezultatem mojej kariery policyjnej. Mogę spojrzeć wstecz z dogodnego punktu, ponieważ w tej chwili od kilku lat nie biorę udziału w akcjach policyjnych w terenie, i być może dlatego moja ocena jest bardziej obiektywna. Interesujące, że nowsi znajomi oskarżają mnie o cynizm. Położyłam więc na dwóch szalach obie opinie, żeby wyciągnąć jakieś wnioski.

To, co powiedział porucznik, że zawsze spodziewam się po ludziach najlepszego i jestem wstrząśnięta, gdy mnie zawodzą, jest prawdziwe tylko w pewnym stopniu.

273

W latach wczesnej młodości byłam perfekcjonistką, dążącą do ideałów, i oceniałam innych według mojego własnego systemu wartości.

Spodziewałam się, że ludzie będą odpowiadali mojemu wyobrażeniu doskonałości i tak też będą postępowali. Z pewnością dojrzałam do tego,

by czuć odpowiedzialność za swoje postępowanie, ale uświadomiłam sobie, że nie mam prawa osądzać innych. To była długa, trudna lekcja i niezwykle ważny fakt do zaakceptowania. Stałam się realistką, jeśli idzie o ludzi, i nauczyłam się z własnego doświadczenia, że bardzo dobrzy ludzie są zdolni do bardzo złych postępów, a bardzo źli ludzie do bardzo dobrych uczynków. Nauczyłam się, że istoty ludzkie są najbardziej skomplikowane ze wszystkich żyjących istot. Niegdyś wierzyłam, że wszystkim nam dano do wyboru dwie drogi, dobrą lub złą, teraz wiem, że życie wiedzie nas krzyżującymi się, krętymi, splątanymi ścieżkami, w kierunkach, które niełatwo jest określić czy rozdzielić. Niegdyś wierzyłam, że każdy człowiek ma wolny wybór, może sam zaplanować swoje przeznaczenie i realizować je, teraz zdaję sobie sprawę, że wszyscy żyjemy pod presją z zewnątrz i od wewnątrz, co skłania nas do zachowań niemal od nas niezależnych, i że nasza zdolność do prowadzenia przyzwoitego życia często jest ważniejsza od drobnego triumfu. Jeśli rzeczywiście jestem cyniczna, to wyłącznie dlatego, że nauczyłam się patrzeć realnie na „układy”, które rządzą naszym życiem. Nie wierzę w pobożne, pompatyczne słowa, wyryte na budynkach, gdzie głosi się sprawiedliwość. Nie wierzę, że sprawiedliwość jest egzekwowana w właściwy sposób - uczciwie i w pełni. A mimo to dojrzałam na tyle, by wierzyć, że mamy najlepszy system, jaki potrafił wynaleźć człowiek - choć daleki od ideału. Wiem, że sprawiedliwość nie istnieje w codziennym życiu,

274

odkryłam, że życie nie jest systemem kar i nagród wymierzanych nam jako nieunikniony rezultat naszych uczynków.

Jednakże nie jestem naprawdę cyniczna, albowiem nadal oczekuję, że pewnego dnia wszyscy będziemy lepsi, niż jesteśmy. Wierzę, że wciąż się rozwijamy jako istoty ludzkie i mimo że posuwamy się do przodu w sposób niemal niezauważalny, pewnego dnia poznamy się i uczynimy większy wysiłek, by zrozumieć i zaakceptować się wzajemnie. Moim odwiecznym wrogiem, zarówno wówczas, gdy byłam młodą dziewczyną, jak i teraz, gdy jestem dojrzałą kobietą, było wrogie uogólnienie, rzucona podsumowująca uwaga, która masowo ocenia, rani i kała wielkie grupy ludzi. Jako młoda dziewczyna kwestionowałam takie uogólnienia instynktownie, teraz potępiam je jako dorosła kobieta, która miała do czynienia przez wiele lat z ogromną liczbą ludzi różnego pochodzenia. Jeśli nabrałam nieco sceptycyzmu i uodporniłam się na pewne sprawy, to był to konieczny proces dojrzewania, ponieważ policjant nie może być gąbką wchłaniającą wszystkie nieszczęścia i upodlenie, z którymi się styka. Z drugiej strony, jednak nie może dopuścić, żeby ten nieuchronny pancerz stał się czymś więcej. Nie może pozwolić, by zawładnęła nim całkowicie nieczułość, bo wówczas zatraci ludzkie cechy.

Jeśli w ciągu tych lat przeżyłam wstrząsy, straciłam złudzenia czy napawali mnie obrzydzeniem ludzie, z którymi się zetknęłam, albo sytuacje, w których się znalazłam, nie żałuję, że wybrałam pracę w policji, albowiem bardzo wiele się nauczyłam.

Zebrałam w tym czasie sporo różnych historii - ciekawych, zabawnych, osobliwych, przerażających - mogę więc teraz opowiadać je podczas spotkań towarzyskich. Ale nie to jest najważniejsze.

275

Czasami w chwilach spokoju, gdy jestem sama, potrafię obecnie ocenić,

jak bardzo wzrosło moje zrozumienie, tolerancja i akceptacja nie tylko dla innych, lecz i dla siebie, i jestem świadoma moich obowiązków jako człowieka.

I to jest ważne.